

PRZE KROJ

nr 46 (3513), 12 listopada 2012, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl



Nowe picie, stary kac

→ 28

Radio
ZETmuzyka
informacje
Zabawamuzyka
Radio ZET
vol. 4

Imany

Rihanna

Lana Del Rey

Gusttavo Lima

Radio
ZETmuzyka
informacje
Zabawa

Już jest!

Najnowsza muzyczna składanka Radia ZET
„Muzyka Radia ZET vol. 4”.Największe polskie i zagraniczne przeboje
ostatnich miesięcy na dwóch płytach.

Lana Del Rey Rihanna

Robbie Williams Shakira

Gusttavo Lima Jessie Ware PSY

PRZE
KROJW tym tygodniu
nie piszemy...

... o największym wydarzeniu świata medialnego, jakim są zmiany w naszym wydawnictwie po publikacji tekstu sami-wiecie-jakiego. Choć dookoła naszych biur huczy i buczy, na łamach „Przekroju” mówimy „no comment”.

... o celebrytach, którzy układają się z tabloidami. Za kilka groszy donoszą na swoich kolegów, partnerów z branży, kochanków. Bo zrobiła to już nas Krystyna Janda na swoim blogu.

... o „Kierskim karaoke” w wykonaniu Roberta Biedronia. Na antenie Eska TV posel przeszedł przez „ścieżkę zdrowia” skonstruowaną między innymi z restauracyjnych odpadków oraz pieluch. Po obejrzeniu fragmentów tego wstrząsającego programu już jesteśmy chorzy.

... o tym, że można zostać wyzuczoną z pokładu samolotu z powodu książki. A konkretnie – książki tak dużej, że nie mieści się w bagażu podręcznym. Spółka to pasażerkę linii Ryanair w hiszpańskiej Walencji. Ktoś tam chyba jednak odleciał.

... o Janie Kobylańskim, polskim przedsiębiorcy, który wspiera media ojca Rydzyka, hobbystycznie zaś tropi Żydów w państwowych instytucjach. Kobylański trafił do Komitetu Honorowego tegorocznego Marszu Niepodległości. A to Polska właśnie.

NA POCZĄTEK

ZUZANNA ZIOMECKA



Salman Rushdie polubiłby Rafała Dutkiewicza. Poszłyby chłopaki na chai i porozmawiałyby o tym, co tak doskonale rozumieją – że politycy znikają z kart historii o wiele szybciej niż wielkie dzieła sztuki.

Salman napisał nieskuteczny list w tej sprawie do Rajiva Gandhiego, ówczesnego (kojarzy go ktoś?) premiera Indii, gdy ten zakazał dystrybucji „Szatańskich werstów” na terenie kraju. Dziś fatwa już Salmanowi nie grozi, a jego nowa biografia, zatytułowana „Joseph Anton”, miesiąc temu wjechała na półki księgarskie na całym świecie. Dutkiewicz zaś zaprzął kulturę do roboty na rzecz swojego miasta z pełną premedytacją – dzięki tej strategii Wrocław szykuje się do objęcia tytułu Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 r., a Dutkiewicz jest prezydentem miasta nieprzerwanie od roku 2002. Jak pokazuje nasz najnowszy Temat Numeru, w tej historii negatywnym bohaterem jest Warszawa, w której kultura ugania się za chaotycznie porzucanymi banknotami, a politycy nawet nie znają smaku herbaty chai.

RACZKOWSKI



MARCIN PROKOP



Zacznę optymistycznie. Nie brak w Polsce zdolnych, czasem genialnych naukowców i innowatorów. Wśród nich wielu młodych, do których należyć będzie przyszłość. Na tym jednak optymizm się kończy.

Większość, która nie chce spędzić reszty życia na ślęczeniu w niedofinansowanych laboratoriach, zarabiając grosze i szybko tracąc poczucie sensu swojej pracy, wyjeżdża za granicę. Jak mówi w rozmowie z „Przekrojem” prof. Dominika Latusek-Jurczak z Uniwersytetu Stanforda, kalifornijska Dolina Krzemowa wita ich z otwartymi ramionami. Tymczasem w Polsce naukowcami, którzy opracowali unikalną, najtańszą metodę przemysłowej produkcji grafenu (niemal cudownego materiału: przewodzącego prąd, stukrotnie wytrzymalszego od stali, bardziej elastycznego niż kauczuk i tak cienkiego, że jego jeden gram wystarczyłby na pokrycie stu boisk piłkarskich, więc w sumie mogącego zrewolucjonizować świat), nie zainteresował się pies z kulawą nogą. Ale spokojnie. Z pewnością zrobią to za nas Chińczycy lub Koreańczycy.

FRANUSZEK MAZUR (2)

AKTUALNOŚCI

- 6 → **TEMAT TYGODNIA** Kulturalne awantury Wyścig polskich miast według Anny J. Dudek
- 10 → **ZBLIŻENIE** Pan Wrocław O rządach prezydenta Rafała Dutkiewicza pisze Mike Urbaniak
- 16 → **AKTUALNOŚCI** Dwa oblicza Ameryki
- 26 → **POWIĘKSZENIE** Garbarek, Coltrane, czyli „Dżemborka” Marek Romański

GRUBE SPRAWY

- 28 → **OBYCZAJE** Pijani trzydziestoletni Piciu de luxe przygląda się Karolina Sulej
- 32 → **GOSPODARKA** Na kłopoty: kosmici, iPhone i wielka bazooka Spór ekonomistów o to, jak walczyć z kryzysem, ostatecznie rozstrzyga Marek Pielach
- 36 → **SUBKULTURY** W podróży za piłką O kibicach idealnych pisze Urszula Szewczyk
- 40 → **BUDOWNICTWO** Kurna chata wraca do łask Urszula Hollanek



- 44 → **ANOMALIE** Adrenalina prosto z nieba Łowców burz tropi Tomasz Pankiewicz
- 47 → **EWOLUCJE** Na Alasce wyrosną palmy Wojciech Mikołuszek

ZAWODÓWKA

- 48 → **WYWIAD** W Dolinie powstają rzeczy jeszcze nienazwane Z Dominiką Latusek-Jurczak rozmawia Marek Kozubal
- 50 → **COACHING** Pracownik marnotrawny O bezproduktywne pogaduchy oskarża nas Katarzyna Świerczyńska
- 53 → **WARSZTAT MISTRZA** Rugbysta z Żywca Michał Małtan
- 54 → **PLAN B** Gwatemala dla odważnych Dorota Chojnowska

RACZKOWSKI



- 56 → **RETRO/FUTURO** Maciejówki i manekiny Czapniczkę oraz dekoratorkę przedstawiają Agata Napiórska i Marta Mach
- 58 → **TŁUM SZALEJE** Zażalenie pokojem O zrzutce na kampanię „Israel Loves Iran” pisze Karolina Przewrocka
- 60 → **MANNA Z NIEBA** Maraton po własny start-up Akceleratorzy dla biznesu sprawdza Aleksandra Stanisławska

KULTURA



MACIEJ JARZEBINSKI/FORUM

- 62 → **ARCHITEKTURA** Ikony i ruiny Polski modernizm do rozbiórki opisuje Grzegorz Piątek
- 66 → **FANTY I FETYSZE** Na siodełku i w siodle O swoich ulubionych miejscach, rzeczach i zjawiskach Karolinie Sulej opowiada Dominika Dymińska
- 68 → **LITERATURA** Apokalipsa dla nieletnich Cezary Polak
- 72 → **FILM** Anderson kontra Anderson Paweł T. Flis
- 74 → **FILM** Sześć powodów, żeby zapasać w amerykański sen Dorota Chrobak

ROZMAITOŚCI

- 78 → **KUCHNIA** Narodowy ptaszek na telefon Polska gęsią stoi – przypomina Małgorzata Minta
- 80 → **WINO** Więcej niż wino Pijęc je w Palermo, Wojciech Bońkowski padł z wrażenia

FELIETONY

- 18 → **JAROSŁAW LIPSZYC GOŚCINNIE** O wolność waszą i naszą
- 25 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Kapitał społeczny, czyli paraliż obywatelski
- 43 → **TYMON TYMAŃSKI** Rękawica, piłka i kropidło
- 76 → **MACIEJ NOWAK** Dlaczego Żadara to sukinkot?

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00
www.przekroj.pl, e-mail:
doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop

Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(Redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Zawodówka:
Grażyna Raszewska

Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek

Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czamecka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Kuba
Dąbrowski, Mateusz Ferenholt,
Paweł T. Felis, Karolina Kotowska,
Aga Kozak, Marek Kozubal,
Angelika Kucińska, Marta Mach,
Monika Maciejewska, Michał
Małtan, Wojciech Mikołuszek,
Agata Napiórska, Agata Nowicka,
Grzegorz Piątek, Cezary Polak,
Anna Przybył, Marek Raczkowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stach Szablowski, Mike Urbaniak

Projekt graficzny: Magdalena Piwowska

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotoredakcja: foto@przekroj.pl,
Karolina Sekula, Katarzyna Serek

Obróbka zdjęć: Bogumiła
Kreczmańska, Bartosz Wójcik,
Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszutek

Korekta: Ling Brett

Strona internetowa: KRCMedia.pl

Wydawca: Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Agnieszka Gajzler – Dyrektor
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biuro reklamy:
Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
faks: 22 621 46 58, 22 625 61 57

Dyrektor działu agencyjnego:
Filip Weichert – 22 463 01 88
(reklamainfo@presspublica.pl)

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

Prenumerata redakcyjna
Cena prenumeraty 2012 r.:
roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł,
kwartalna: 41,60 zł

Zamówienie na prenumeratę należy
składać: e-mailem: prenumerata@
przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61

Dodatkowe informacje
pod nr. tel. 800 120 195

Prenumerata kolporterska
oddziały Ruch SA, www.prenumerata-
ruch.com.pl, urzędy pocztowe

Prenumerata e-wydania www.egazety.pl

Prenumerata zagraniczna Ruch SA
www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22
693 67 82, 22 693 67 18

Dostęp na stronie WWW i wersji na IPADA

Prenumerata redakcyjna
Cena abonamentu na IPADA
i w Internecie:
tygodniowy – 3,69 zł,
kwartalny – 30,75 zł – 99 zł
roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł

Do wykupienia na www.przekroj.pl
oraz w App Store.

Informacje: wsparcie@przekroj.pl

Ilustracja na okładce:
Ada Buchholz
www.illo.pl

PRZEKROJ numer 46

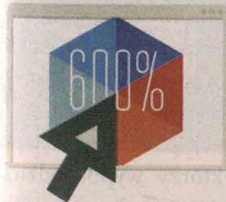
POZNAJ SWOJEGO
NOWEGO SZEFA.

W mądrzejszym świecie
przedsiębiorstwa coraz częściej
zastanawiają się, jak najlepiej
wykorzystać rosnącą ilość
informacji generowanych przez
dzisiejszych konsumentów.

Odpowiedź na to wyzwanie
w dużym stopniu zależy od
dyrektorów marketingu. Badanie,
które przeprowadziliśmy wśród
1700 dyrektorów marketingu
ujawnia, że zauważają oni, jak
duże zbiory danych, nowe
narzędzia mobilne i rosnąca rola
portali społecznościowych
dogłębnie zmieniają sposób ich
działania. Nowa generacja
dyrektorów marketingu potrafi
dopasować się do zachodzących
zmian i na nowo zdefiniować
pojęcie swojej pracy.

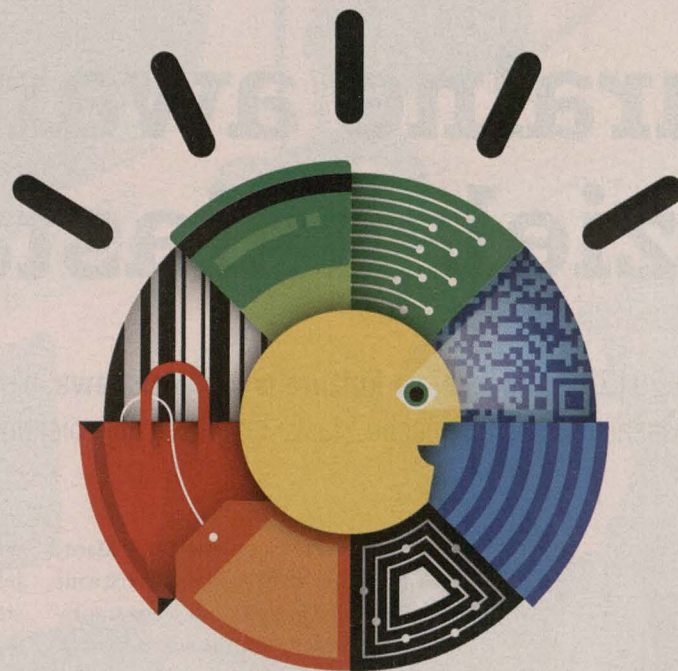
JEDEN Z MILIONA.

Ogromne ilości danych
generowanych dziś przez



Bank First Tennessee uzyskał ponad
600% zwrot z inwestycji (ROI) dzięki
wykorzystaniu analizy predykcyjnej,
która pozwala na bardziej inteligentne
dopasowywanie ofert do konsumentów.

konsumentów pozwalają
specjalistom do spraw
marketingu pojmować swoich
klientów w kategoriach
pojedynczych, a nie grupowych.
Odnajdujący się w dzisiejszych
realiach dyrektorzy marketingu
łączą w całość dane pochodzące
z transakcji, społeczności, usług
oraz wyszukiwania i coraz lepiej
rozumieją swoich konsumentów.
Dzięki temu mogą skuteczniej
decydować, do kogo chcą dotrzeć.

JEST NIM
TWÓJ KLIENT.

DANE PRAGNIĘĆ.

Dotychczas dyrektorzy
marketingu zajmowali się
kształtowaniem potrzeb
i pragnień konsumentów.
Teraz starają się je przewidywać.
Zaawansowane techniki
analizy pomagają im spojrzeć
na konsumenta z szerokiej
perspektywy i tworzyć
nowe sposoby interakcji.

Dzięki danym dyrektorzy
marketingu nie są skazani na
pobieżne poznanie swoich
konsumentów.

Dostają ich dokładny obraz,
a każda następna interakcja
sprawia, że staje się on jeszcze
bardziej szczegółowy.



Dzięki analizie portali
społecznościowych i dostępności swoich
produktów wiodące przedsiębiorstwo
odzieżowe zwiększa sprzedaż poprzez
optymalne umieszczanie wyrobów na
swojej stronie internetowej.

BRANDING KULTUROWY.

Wglądowi przedsiębiorstw
w zachowanie konsumentów
towarzyszy wgląd konsumentów
w działania przedsiębiorstw.
Dyrektorzy marketingu
odgrywają kluczową rolę
w połączeniu wartości marki z jej
obietnicą. Coraz częściej
odpowiadają na pytanie „kim
jesteśmy” – a nie tylko „co
sprzedajemy” – i sprawiają, że ich
przedsiębiorstwa wkraczają na
nowy poziom świadomości oraz
odpowiedzialności społecznej.
Dane pozwalają specjalistom do
spraw marketingu wpływać na
wszystkie aspekty swojej
działalności. Począwszy od tego,
jak marka wchodzi w interakcję
z konsumentem, a kończąc na
tym, co oferowane przez nich
produkty i usługi mogą dać
kulturze przedsiębiorstwa. Na
nowo definiując sposób działania,
dzisiejsi dyrektorzy marketingu
osiągają lepszy zwrot
z poczynionych inwestycji
marketingowych i udowadniają,
że marketing nie musi być
narzucającą się koniecznością,
a może stać się subtelną, osobistą
usługą.

Dołącz do dyskusji na

ibm.com/swiat/pl/handel lub na
facebook.com/madrzejszy.swiat

RAZEM ZBUDUJMY
MĄDRZEJSZY ŚWIAT.



ANNA J. DUDEK

Kulturalne awantury dzielą miasta

Miasta ustalają budżety na 2013 r. **Najwięcej na kulturę wyda Warszawa**, ale najsensowniej pieniądze ulokuje Wrocław. Bo to właśnie w stolicy Dolnego Śląska urzędnicy najlepiej dogadują się z artystami.

Budżet Warszawy na kulturę w ostatnich latach przekraczał kilkaset milionów złotych. W tym roku wynosi 409 mln, czyli więcej niż połączone budżety Lublina, Katowic, Bydgoszczy i Wrocławia. Stołeczni władze przeznaczają najwięcej pieniędzy na współpracę z organizacjami pozarządowymi. Utrzymują m.in. 19 teatrów, na które wydali w bieżącym roku 80 mln zł, finansują też orkiestrę i 18 bibliotek. Co nie dziwi, Warszawa ma najwięcej sal kinowych, teatralnych, wystawowych i koncertowych. W tym roku przeznaczy 84 mln zł na budowę Muzeum Warszawskiej Pragi i Muzeum Historii Żydów Polskich. Gdyby więc układać ranking miejskich mecenasów kultury wedle kryterium finansowego, Warszawa powinna znaleźć się na pierwszym miejscu. Ale jeśli idzie o najlepiej skrojoną ofertę kulturalną, dzięki której skuteczniej przyciąga się turystów, inwestorów i artystów, stolicę wyprzedzają mniej zamożne miasta. W końcu w 2016 r. to Wrocław, a nie Warszawa, zostanie Europejską Stolicą Kultury.

Fajerwerki nad bibliotekami

Stołeczni animatorzy kultury są zgodni, że stolica nie wykorzystuje swoje-

go gigantycznego potencjału. – Mamy tu dotowane przez państwo teatry, a nie istnieje choć jedna dobra scena impresaryjna. Brakuje też miejsca na koncerty i na prezentację teatru tańca – wylicza Alina Gałązka z warszawskiej Komisji Dialogu Społecznego ds. Kultury. I dodaje: – Nie powstał, jeśli idzie o przestrzeń, porządny inkubator dla młodych artystów, choć istnieje cykl finansowanych przez miasto bardzo dobrych szkoleń.

Jednak lista skarg jest znacznie dłuższa: warszawscy urzędnicy mają zniechęcać najlepszych artystów i animatorów kultury, którzy coraz częściej wybierają inne miasta; nie stawiają na innowacyjność; marnotrawią publiczne pieniądze na projekty czysto rozrywkowe. Na potwierdzenie zarzutów Alina Gałązka opowiada historię Romana Gutka, który starał się w Warszawie rozkręcić na powrót kino Wars na Nowym Mieście, ale zniechęcony brakiem pomocy ze strony miasta wyjechał do Wrocławia. Tworzy tam awangardowe kino Helios, które niedawno zmieniło nazwę na Nowe Horyzonty.

Stolica ma też bezdomne muzeum, jak się mówi dziś w Warszawie o Muzeum Sztuki Nowoczesnej, które po-

wstało w 2005 r. Jego siedzibę zaprojektował szwajcarski architekt Christian Kerez. W 2008 r. władze miasta podpisały z nim umowę na wykonanie projektu budynku, który miał powstać na pl. Defilad w latach 2012–2016. Ale w tym roku urząd miasta zerwał umowę z architektem. Kiedy placówka ulokowała się w końcu w dawnym pawilonie meblowym Emilia, została stamtąd wyrzucona.

– Negocjujemy z właścicielami pawilonu, którzy wypowiedzieli MSN umowę najmu – tłumaczy się Marek Kraszewski, dyrektor warszawskiego Biura Kultury. Zapewnia, że miasto powołało w tej sprawie specjalny zespół.

Muzeum to niejedyna instytucja bez stałego meldunku. Wcześniej siedzibę przy ul. Czackiego stracił też teatr Kwadrat. Władze miasta planują podobno umieścić Kwadrat w dawnym kinie Wars. Niepewny los czeka również Nowy Teatr Krzysztofa Warlikowskiego, jedną z najciekawszych stołecznych scen. Jej nowa siedziba miała powstać na Mokotowie. W zeszłym roku Warlikowskiemu przekazano nawet uroczyste budynki po Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania przy ul. Ma-

daleńskiego. Ale skończyło się na przecięciu wstęg.



W Warszawie mieszka też bezdomna orkiestra. To Sinfonia Varsovia, która po latach tułania się po stolicy od niedawna ćwiczy przy ul. Grochowskiej, w dawnym budynku SGGW. Czeka na budowę centrum muzycznego prawdziwego zdarzenia. Oczekiwanie miało osłodzić namiot. Taki na 600 osób, w którym orkiestra mogłaby tymczasowo koncertować. Termin? Wiosna przyszłego roku. Już dziś wiadomo, że nie da się go do tego czasu postawić.

Władze stolicy wszystkie te niepowodzenia tłumaczą najczęściej brakiem środków. Krytycy reagują na takie argumenty alergicznie. I twierdzą, że miasto ma dość pieniędzy, lecz niewłaściwie je wydaje. Co roku przeznacza np. kilka milionów złotych na transmisję wieczoro-

ru sylwestrowego. – A to nie jest przecież wydarzenie kulturalne, tylko czysta rozrywka. I, umówmy się, nie najwyższych lotów. Przecież tego typu imprezy można realizować za prywatne pieniądze, a nie sięgać do kieszeni podatników – oburza się Alina Gałązka z Ngo.pl. Twierdzi ona, że te pieniądze powinny trafić do bibliotek publicznych, którym notorycznie obcina się budżety.

Marek Kraszewski, dyrektor warszawskiego Biura Kultury, uważa jednak, że w pojemnym worku z kulturą zmieszczą się zarówno przaśny sylwestrowy wieczór, jak i Warszawski Festiwal Filmowy czy organizowany przez Elżbietę Penderecką Wielkanocny Festiwal Beethovena. Miasto dotuje festiwal w 30 proc., czyli dokłada co roku kilka

milionów złotych. – A pieniądze na kulturę pochodzą m.in. z podatków mieszkańców. Jest więc oczywiste, że kultura musi angażować wszystkich obywateli – tłumaczy Kraszewski. Urzędnik broni też noworocznej imprezy: – Pieniądze na warszawskiego sylwestra pochodzą z budżetu Biura Promocji Miasta i w żaden sposób nie pomniejszają puli przeznaczonej na działalność kulturalną. Zresztą samorządy innych miast również organizują takie koncerty.

To nie przekonuje krytyków. – Dobry mecenas nie finansuje wszystkiego po trochu, tylko stawia na wybrane, wartościowe projekty – argumentuje Gałązka. Według niej urzędnik, który zna się na kulturze, jest realistą. Nie usiłuje ze stolicy zrobić nagle miasta zabytków,

W ub.r. prezydent Warszawy uroczystie przekazała Krzysztofowi Warlikowskiemu na teatr halę po warszawskim MPO. Niestety, od tamtego czasu dzieje się niewiele. Miasto nie ma kasy.



TOMASZ ADAMOWICZ/FORUM

takiego jak Kraków, przygotowuje długoterminową strategię i jej się trzyma. Tymczasem warszawski urząd miasta nie ma wizji polityki kulturalnej.

Według Marka Kraszewskiego zmasowany atak krytyków jest dla Warszawy niesprawiedliwy. – W każdym mieście są grupy ludzi niezadowolonych z polityki kulturalnej. Nie wszędzie jednak, tak jak w Warszawie, za otwarte, ale konstruktywne krytykowanie władz można zostać zaproszonym do kreowania polityki kulturalnej miasta – przekonuje Kraszewski, który zapewnia, że wysłuchuje zarówno mieszkańców, jak i artystów.

Alina Gałązka przyznaje, że uczestniczyła w tworzeniu Programu Rozwoju Kultury. Trwało to jednak kilka lat. W ubiegłym tygodniu powołano wreszcie Społeczną Radę Kultury. – Cieszę się, że rada w końcu powstała, ale za długo to odkładano. Kultura zdecydowanie nie jest priorytetem miasta i nie jest to nawet wojna urzędników. To skalkulowany wybór polityczny – mówi twardo. Może dlatego Warszawa dobrze wygląda jedynie w statystykach. To trzeba przyznać. Najnowszy raport sporządzony przez firmę doradcą PwC opisuje „Kapitał Kultury i Wizerunek” (KKW) największych polskich miast. Kapitał jest według nich miarą

tęgo, jak miasto jest postrzegane i przez mieszkańców, i osoby z zewnątrz. (...) bierzemy pod uwagę trzy cechy: generalne opinie o mieście, kulturę wysoką oraz kulturę życia codziennego” – czytamy w raporcie. Przy średnim poziomie KKW dla 11 miast równym 100, KKW we Wrocławiu wynosi 110,3. Analogiczny wskaźnik dla Warszawy to aż 207,9, a Krakowa 248,4.

Artyści przyciągają turystów

Kraków ma do dyspozycji znacznie mniej pieniędzy na działalność kulturalną niż Warszawa. Wprawdzie od 2002 r. krakowski budżet na kulturę wzrósł prawie czterokrotnie i dziś wynosi ponad 184 mln zł, ale olbrzymią część tej sumy, w tym roku 69 mln zł, miasto musi przeznaczyć na ochronę zabytków. Mimo to dawna stolica Polski wypracowała jedną z mocniejszych marek kulturalnych kraju. Tajemnicą sukcesu Krakowa i kilku innych polskich miast – Wrocławia, Lublina, Bydgoszczy – są menedżerowie, którzy rozumieją kulturę. W Krakowie jest nim wiceprezydent Krakowa Magdalena Sroka, która nie tylko zna się na sztuce, ale potrafi też o niej myśleć w kategoriach finansowych. Sroka jest też znana z tego, że lubi artystów i cieszy się z ich sukcesów, a kiedy trzeba, wyklóca się

Kiedy urzędnicy ogłosili, że kosztem dotacji dla teatrów znaleźli 25 mln zł na Strefę Kibica, nerwy puściły muzykom Warszawskiej Opery Kameralnej, protestowali pod gołym niebem.

o nich z innymi urzędnikami. W dniu w którym do niej dzwonię, jest zajęta inauguracją projektu Studio Otworzone Mirosława Bałki, autora instalacji przestrzennych. Znajduje jednak czas na rozmowę. – Miasta muszą podejść do zagadnień związanych z kulturą z szacunkiem – twierdzi Sroka po czym prezentuje definicję współczesnego mecenasa. – To partner, a nie tylko instytucja, która dba o umieszczenie logo miasta na materiałach promocyjnych. To osoba, która podejmuje ryzyko artystyczne i rozumie jego naturę. Przykład Krakowa pokazuje, że to ryzyko się opłaca.

W 2003 r. powstało pierwsze opracowanie dotyczące promocji Krakowa, z którego jednoznacznie wynikało, że najlepszym sposobem na stworzenie międzynarodowej marki dawnej stolicy Polski jest właśnie inwestowanie w kulturę. – I to się potwierdziło – mówi Sroka. – Jeszcze kilka lat temu turyści przyjeżdżali do nas na dwa-trzy dni, dlatego chcieliśmy, żeby ten czas się wydłużył. Dziś nasi goście zostają w Krakowie nawet sześć dni.

Kolejnym miejskim urzędnikiem, który nie musi nawracać się na kulturę, jest Anna Czekanowicz, dyrektorka Biura Prezydenta ds. Kultury Gdańska, które od 2002 r. prawie sześciokrotnie

nie zwiększyło swój budżet na kulturę. Powołuje się przy tym na badania Instytutu Eurotest, według których w zeszłym roku Gdańsk odwiedziło prawie 6 mln turystów. Aż 36,2 proc. z nich jako główny cel przyjazdu wskazało kulturę, rozrywkę i sport.

– Kwestia opłacalności inwestowania w kulturę nie powinna budzić najmniejszych wątpliwości – zapewnia Czekanowicz. Jej zdaniem urzędnicy w Polsce zaczynają już rozumieć mechanizmy tzw. przemysłu kreatywnego i dostrzegają jego wpływ na rozwój miasta. – Sądzę, że w powszechnej świadomości już na trwałe zakorzenił się termin „klasa kreatywna”, stworzony przez amerykańskiego ekonomistę Richarda Florydę. Ten termin oznacza grupę naukowców i artystów, którzy razem tworzą siłę napędową miast. Czekanowicz opowiada też o własnych doświadczeniach. – Najważniejsza jest kreatywność. Bez niej nie można organizować wydarzeń kulturalnych i tworzyć polityki kulturalnej miasta. Druga sprawa to wciąganie do tworzenia kultury wszystkich mieszkańców.

Wrocław rozumie kulturę

Tę ostatnią zasadę dobrze rozumieją wrocławianie. W związku z nominacją miasta na Europejską Stolicę

Kultury w 2016 r. długoterminowym celem władz jest zwiększenie liczby mieszkańców uczestniczących w wydarzeniach kulturalnych. Już dziś odbywa się tu nie tylko kilkadziesiąt festiwali, w tym kilka o światowej randze, ale powstają też aktywizujące wrocławian laboratoria sztuki. W kulturze mają szansę uczestniczyć także najmłodsi mieszkańcy. Na pomysł, który to umożliwi, wpadł Roman Gutek, który we Wrocławiu stworzył kino z ambitnym repertuarem. Dla najmłodszych wymyślił program edukacyjny „Nowe Horyzonty Edukacji Filmowej”. Program w 25 proc. wspiera finansowo miasto. Jak tłumaczy Gutek, NHEF nie jest jednorazowym wyjściem do kina, tylko przemyślanym w szczegółach programem dla szkół, który można wprowadzić już w podstawówce, a skończyć w klasie maturalnej.

– Dobrze się zrozumieliśmy z miastem – cieszy się Gutek. Miejski Wydział Oświaty pomaga w promocji NHEF. Na początek prezydent Rafał Dutkiewicz wysłał w tej sprawie list do szkół. Gutek przyznaje, że sztuką jest rozpoznanie potencjału zgłoszonego do finansowania przez miasto projektu. Jak podkreśla Gutek, wrocławscy urzędnicy naprawdę to potrafią. Prezydent Wrocławia wydaje książkę „Nowe Horyzonty”, poświęconą polityce kulturalnej miasta. Przekonuje w niej, że dobrze skrojona oferta kulturalna przyciąga i biznes, i studentów, i turystów.

Roman Gutek przyznaje, że we Wrocławiu spotkał się z dużą życzliwością urzędników, choć – jak mówi – nie działali oni bezinteresownie. Ale to nie zarzut. Jego zdaniem władze Wrocławia zdają sobie sprawę, że inwestują w kulturę w dobrze pojętym interesie miasta. To dlatego festiwal filmowy Nowe Horyzonty odbywa się dziś we Wrocławiu. Prezydentowi Rafałowi Dutkiewiczowi udało się przechwycić organizację tego wydarzenia w momencie, kiedy burmistrz Cieszyna, dotychczasowy patron tej imprezy filmo-

Jak miasta dbają o kulturę

Wydatki w mln zł

	2011 r.	2012 r.
Warszawa	456	409
Wrocław	135	297
Kraków	219	184
Gdańsk	110,8	159

Przykładowe koszty festiwali:

- XVI Międzynarodowy Festiwal Szekspirowski 2012, Gdańsk – 1,395 mln zł, w tym 205 tys. zł z budżetu miasta
- festiwale we Wrocławiu – od 30 tys. zł do 4 mln zł
- Festiwal Solidarity of Arts 2012 – 1 mln zł z budżetu miasta
- Wielkanocny Festiwal Beethovena, Warszawa – 30 proc. kilkumilionowych kosztów finansuje budżet miasta

wej, był zajęty reelekcją. Nowe Horyzonty świetnie przyjęły się w nowym miejscu. Naturalną konsekwencją decyzji władz Wrocławia było już potem wsparcie kina Nowe Horyzonty.

Idą ciężkie czasy

Odpowiedzialny za kulturę w urzędzie miejskim Wrocławia Jarosław Broda nie popada jednak w samozadowolenie.

– Wrocław też ma problemy, tak jak Warszawa i każde inne miasto w Polsce. Pozostało naprawdę sporo do zrobienia – podkreśla. I nie jest to kokieteria. Kryzys gospodarczy może zagrozić najambitniejszym kulturalnym planom miejskich urzędników. Jak zauważa Magdalena Sroka, wiceprezydent Krakowa, rząd wszędzie szuka dziś oszczędności. I dlatego coraz więcej finansowych obowiązków spada na samorządy. – Trudno jest inwestować przecież ograniczone środki tam, gdzie by się chciało, skoro trzeba je przeznaczyć przede wszystkim na to, czego wymaga od nas rząd – wyjaśnia Sroka. Pani wiceprezydent przypomina, że od niedawna samorządy są praktycznie odpowiedzialne również za edukację. I próbuje tłumaczyć urzędników: – Jeśli ograniczymy finansowanie instytucji pozarządowych, konsekwencji prawnych nie będzie, ale gdyby pensji nie dostali nauczyciele, skutki byłyby poważne.



MATERIAŁY PRASOWE ERA NOWE HORYZONTY

MIKE URBANIAK

Pan Wrocław

19 listopada minie dokładnie 10 lat, od kiedy **Rafał Dutkiewicz** rządzi stolicą Dolnego Śląska, i jest to niewątpliwie, uwzględniając także niepowodzenia, „złoty wiek” wrocławskiej kultury.

Zadne chyba polskie miasto nie miało takiego szczęścia do prezydentów, którzy rozumieliby znaczenie kultury. Wrocławiem rządziło ich w wolnej Polsce zaledwie dwóch (to znaczy trzech, ale krótkie, półtoraroczne urzędowanie Stanisława Huskowskiego należy uznać za interregnum), bo prawdziwymi władcami byli najpierw Bogdan Zdrojewski (11 lat), a potem Rafał Dutkiewicz. Obydwaj w dużej mierze postawili na dziedzinę, której zwykle samorządowi politycy: a) nie rozumieją, b) boją się, c) nieustannie zabierają i tak śmieszne pieniądze. Dziedzinę, która traktowana jest zwykle jak dopust boży – kulturę. Ale dopust boży dla jednych okazał się motorem napędowym dla drugich, bo to właśnie dzięki kulturze Wrocław wyrósł na trzecią, po Warszawie i Krakowie, najatrakcyjniejszą polską metropolię. Zdeklasował Łódź i Gdańsk, Poznań i Katowice. Wskoczył na podium i ma zamiar, tego możemy być pewni, zaciekle bronić swojej pozycji w „wielkiej trójce”.

Kierunek: kultura

Rafał Dutkiewicz rozpoczął swoje urzędowanie w 2001 r. namaszczony przez Bogdana Zdrojewskiego, który zajął się tzw. wielką polityką i po rozlicznych partyjno-politycznych perypetiach został – nomen omen – ministrem kultury i jest nim nieustannie, od pięciu lat, do dzisiaj. Dutkiewicz, z wykształcenia matematyk i filozof (doktorat na KUL)

oraz były harcerz o światopoglądzie raczej konserwatywnym, zabrał się za Wrocław bardzo energicznie. Pozbawiony jakichkolwiek kompleksów wobec byłej i obecnej stolicy zaczął budować potęgę swojej własnej.

– Tradycją kontynentalnej Europy jest publiczny mecenat nad kulturą i Wrocław wpisuje się w nią. To jest bardzo ważne, bo po pierwsze – przestrzeń kultury jest najlepsza do indywidualnego rozwoju człowieka, a po drugie – nie jest tajemnicą silna korelacja między kulturą a innowacyjnością. Wraz z uczestnictwem w kulturze wzrasta także poziom zadowolenia z życia – mówi prezydent. I od razu dodaje: – Całe nasze dziedzictwo zbudowane jest na kulturze. Kiedy zadać pytanie, z czego znany jest Wrocław, to jedna z pierwszych odpowiedzi brzmi: Grotowski.

Rzeczywiście, marka miasta to kultura. Ludzie kojarzą Wrocław z rozlicznymi świetnymi festiwalami i instytucjami artystycznymi, choć nie wszystkie przecież są miejskie. Ludność, szczególnie pozawrocławska, nie wgrzyza się w szczególności prawno-organizacyjne i niekoniecznie musi wiedzieć, że na przykład czołowa krajowa scena, Teatr Polski we Wrocławiu, podlega marszałkowi Dolnego Śląska, a nie miastu. Musi to przyprawiać o gwałtowne skoki ciśnienia wojewódzkich włodarzy, który nie potrafią wyjść z cienia gwiazdy, jaką jest Rafał Dutkiewicz.

Opozycja oskarża Rafała Dutkiewicza o dyktatorskie rządy i zarzuca mu, że miasto ma przez niego kłopoty finansowe.





RAFAŁ DUTKIEWICZ

– stynie z pisanie
fraszek i wygłaszania
ich przy różnych
oficjalnych okazjach.

– Prezydent przejął filozofię prowadzenia miasta od Bogdana Zdrojewskiego i zaproponował Wrocławowi pewną perspektywę ideologiczną, którą wdraża żelazną ręką. Jednym może się to podobać, innym nie – tłumaczy Krzysztof Mieszkowski, dyrektor Teatru Polskiego. – Ale trzeba powiedzieć, bez względu na to, co myślimy o prezydencie, że jest bardzo skuteczny. Wrocław został przez kulturę wypromowany i z kulturą jest kojarzony.

Filmowa stolica Polski

Przyczyniło się do tego z pewnością przejęcie najlepszego polskiego festiwalu filmowego, czyli T-Mobile (niegdyś Era) Nowe Horyzonty, który zaczął się dusić w niewielkim Cieszynie i szukał nowej lokalizacji. Rafał Dutkiewicz zadziałał błyskawicznie. – Prezydent po prostu do mnie zadzwonił i zaproponował zrobienie festiwalu filmowego – mówi Roman Gutek, szef Nowych Horyzontów. – A ponieważ mieliśmy zamiar ewakuować się z Cieszyna, zaproponowałem przeprowadzkę. Pan Dutkiewicz wiedział, z kim rozmawia i co ja robię. Zaimponował mi tym. Rozmowa była krótka i na temat. Spytał, ile pieniędzy potrzebujemy, powiedziałem kwotę, a prezydent się zgodził. To mi się bardzo spodobało. Kiedy potem zaproponowaliśmy panu prezydentowi zorganizowanie American Film Festival, powiedział, że pomysł jest świetny, ale kasy mało. Ale w końcu kasa się znalazła i festiwal ruszył.

American Film Festival był pierwotnie planowany w Gdyni, ale Roman Gutek zmienił plany. Dlaczego? – Dlatego, że Rafał Dutkiewicz podejmuje decyzje błyskawicznie. W Gdyni okazało się, że ciągle są jakieś małe problemy do przezwyciężenia. We Wrocławiu ich nie było.

Współpraca z Romanem Gutkiem tak dobrze się układała, że z festiwalu przeniosła się także na codzienną ofertę kulturalną. Gutek przejął kino Helios, które od 1 listopada nazywa się już oficjalnie kino Nowe Horyzonty i ma ambicję zarażania wrocławian pasją do najlepszego, niezależnego filmu.

– Chcemy tworzyć coś, co po angielsku nazywa się deep culture – czyli kultura pogłębiona, uspołeczniona, w której ważne jest nie tylko samo wydarzenie, ale także droga dochodzenia do niego. Dobrym przykładem są Nowe Horyzonty. Mamy wielki festiwal, a teraz zaczynamy prowadzić też zakrojoną na szeroką skalę działalność edukacyjną związaną z historią polskiego i światowego filmu – mówi Dutkiewicz.

Miasto przekazało na filmowo-edukacyjną działalność kina kilka milionów złotych. Do zapewnienia jest dziewięć sal z 2500 miejsc. To pierwszy taki krajowy eksperyment, który nie obył się bez zgrzytów. Radni nie rozumieli do końca, dlaczego miasto ma dopłacać do kina. W końcu jednak odpowiednia dotacja została przegłosowana, bo jak prezydent coś wymyśli, to tak ma być.

Miasto to ja

Owo wdrażanie prezydenckich pomysłów to sprawa dość prosta, Rafał Dutkiewicz jest bowiem w bardzo komfortowej sytuacji posiadania większości w radzie miejskiej. W dodatku większości jego imienia. Na 37 rajców 20 należy do Klubu Radnych Rafała Dutkiewicza, który działa niczym sprawna maszyna przegłosowująca kulturalne (i nie tylko) decyzje ratusza, co oczywiście bardzo złości bezradną opozycję.

– Prezydent jest świetny w rozstrząsaniu wizji i obietnic, a gorzej jest z ich wykonaniem – mówi Piotr Babiarczyk, przewodniczący opozycyjnego Klubu Radnych PiS. – Koronnym dowodem jest Narodowe Forum Muzyki (NFM), które – według obietnic pana prezydenta – miało powstać do końca tego roku. Tymczasem Mostostał wypowiedział umowę, wyszedł z placu budowy i już wiemy, że ta inwestycja będzie miała ogromne opóźnienie. To się może odbić fatalnie na naszym budżecie, na budowę bowiem dostaliśmy 150 mln zł z Unii Europejskiej i te pieniądze trzeba wydać do końca tego roku i rozliczyć. Boję się, że skończy się to tym, że Unia nie uzna nam tego projektu i będziemy musieli wydać te 150

mln z miejskiego budżetu, co byłoby dla nas zabójcze.

– W mojej opinii ta inwestycja nie jest zagrożona – odpowiada prezydent. – Nie mamy jeszcze formalnej odpowiedzi z Brukseli, ale docierające do nas sygnały są pozytywne. Tak się składa, że wszystkie strony projektu, czyli Komisja Europejska, Ministerstwo Kultury i miasto Wrocław są zainteresowane jego powodzeniem. Chcę jak najszybciej wyłonić nowego wykonawcę i skończyć budowę w 2014 r., a czas na rozliczenie unijnej dotacji mamy do roku 2015. To bardzo ważna dla nas inwestycja w kulturę i zapewniam, że ją przeprowadzimy.

Jerzy Skoczylas, satyryk i członek kabaretu Elita, radny opozycyjnej (przynajmniej teoretycznie) Platformy Obywatelskiej oraz przewodniczący Komisji Kultury i Nauki rady miejskiej Wrocławia, mówi: – Ja oceniam kulturalną politykę prezydenta bardzo dobrze, choć zawsze podkreślam, że sukces jest wspólny i zasługi powinny być dzielone sprawiedliwie między miasto, region i Ministerstwo Kultury. Sam prezydent działa w tej materii sprawnie i widać tego rezultaty. Pewnie chciałby pan, żebym, jako radny opozycji, potępił w czambuł prezydenta, ale ja tego nie zrobię, bo jeśli chodzi o kulturę, to w radzie miejskiej jesteśmy zwykle zgodni, a często nawet jednomyślni. Sądzę, że mimo chwilowych kłopotów Narodowe Forum Muzyki powstanie.

Muzyczna stolica Polski

Forum ma być symbolem muzycznej siły miasta. To wielka inwestycja w centrum Wrocławia, na którą składają się cztery sale koncertowe liczące od 250 do 1800 miejsc. Ma nim kierować Andrzej Kosendiak, dyrektor Filharmonii Wrocławskiej im. Witolda Lutosławskiego i festiwalu Wratislavia Cantans (filharmonii i festiwalu współprowadzi województwo), który dostał od prezydenta Dutkiewicza wolną rękę w działaniu. – Jestem dumny z niektórych projektów związanych z naszą filharmonią. Chodzi mi o poziom orkiestry, i chóru, i o Wratislavię Cantans

– mówi prezydent z nieskrywaną dumą. Nie są to czcze przechwałki, bo progres potwierdzają eksperci.

Adam Suprynowicz, krytyk muzyczny i dziennikarz radiowej Dwójki, twierdzi: – Trudno wyrokować, co konkretnie jest zasługą prezydenta, ale z pewnością to za jego rządów Filharmonia Wrocławska pod wodzą Andrzeja Kosendiaka stała się epicentrum wszelkich działań muzycznych. Można nad tym modelem skupienia władzy w jednym ręku – filharmonia, forum, festiwal – dyskutować, ale niewątpliwie we Wrocławiu przynosi ono bardzo dobre efekty. Dutkiewicz zrobił z Kosendiaka, w pewnym sensie, dyrektora muzycznego Wrocławia, a ten wcielił w życie swoje plany bardzo konsekwentnie. I to jest imponujące, szczególnie w porównaniu z polityką kulturalną Warszawy, której ni wypiał, ni przypiął. Jeszcze jedno, Wratislavia jest jedynym festiwalem w Polsce, którego dyrektorem artystycznym są muzycy z absolutnej światowej czołówki. Do niedawna był to Paul McCreesh, a od 2013 r. będzie to Giovanni Antonini.

Literacka stolica Polski

*Skinheadzi idą
Wpierniczyć Żydom.
Biorą bejsbole;
„A ja się boję!”
Mówi skinhead młodszy,
głupszy, ale i słodszy.
„Ty, powiedz mi,
Co będzie, gdy
Żyd odbierze nam kiję
I nas dotkliwie zbije?”
„Nas? – odparł starszy ladaco –
Nas, kurde, bić za co?”*

To jedna z fraszek prezydenta, który słynie z ich wygłaszania przy różnych oficjalnych okazjach. Teraz pisze ich podobno mniej, bo ma na głowie sporo kłopotów. W każdym razie jego miłość do słowa pisanego poskutkowała bardzo konkretną polityką Wrocławia wobec pisarzy i poetów, której pozazdrościć mogą inni.

Najpierw w 2006 r. ustanowiono we Wrocławiu Literacką Nagrodę Europejską Środkowej Angelus, którą przyznaje

jury pod przewodnictwem znakomitej rosyjskiej tłumaczki literatury polskiej Natalii Gorbaniewskiej. Dwa lata później miasto ufundowało Wrocławską Nagrodę Poetycką Silesius, którą zawiadują jurorzy pod wodzą prof. Jacka Łukasiewicza. Angelusowi towarzyszy czek na 150 tys. zł (w tym roku otrzymał go bośniacki pisarz Miljenko Jerговиć za książkę „Srda śpiewa o zmierzchu w Zielone Świątki”), a Silesiusowi – trzy czeki po 100, 50 i 20 tys. (otrzymali je w tym roku odpowiednio Marcin Świetlicki, Tomasz Bąk i Eugeniusz Tkaczyn-Dycki).

– Wrocław to absolutnie najlepsze polskie miasto, jeśli chodzi o literaturę – mówi Justyna Sobolewska, krytyczka literacka, dziennikarka tygodnika „Poli-

Dutkiewicz, z wykształcenia matematyk i filozof, a także były harcerz o światopoglądzie raczej konserwatywnym, zabrał się za Wrocław bardzo energicznie.

tyka” i członkini jury Angelusa i Silesiusa. – To nie tylko Port Wrocław, ale także Międzynarodowy Festiwal Opowiadania czy zaczynający się niebawem Festiwal im. Brunona Schulza. Nie znam też drugiego miejsca w Polsce, w którym tak by hołubiono swoich pisarzy i poetów. To jest naprawdę ewenement!

Na pytanie, czy to wszystko zasługa Rafała Dutkiewicza, Sobolewska odpowiada: – W tym przypadku motorem napędowym, obok prezydenta, jest szef miejskiego Wydziału Kultury Jarosław Broda. Dzięki ich wspólnemu działaniu Wrocław – mam wrażenie – zdezonizował Kraków i stał się literacką stolicą Polski.

Europejska Stolica Kultury

Ambicje miasta pod wodzą Rafała Dutkiewicza wykraczały od zawsze daleko poza polskie podwórko. Prezydent chciał za wszelką cenę zaznaczyć kulturalną (i nie tylko) pozycję Wrocławia

w kontekście międzynarodowym. Najpierw starał się o zdobycie praw do zostania gospodarzem Expo 2010 (nie udało się), potem chciał, by miasto było siedzibą Europejskiego Instytutu Innowacji i Technologii (nie udało się), potem pragnął być gospodarzem Europejskiego Kongresu Kultury (udało się), wreszcie wystartował w wyścigu o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016 (ESK) i wygrał w cuglach.

Przyznanie tego tytułu Wrocławowi jest ukoronowaniem wybranej przez miasto ponad 20 lat temu drogi, choć nie obyło się bez kontrowersji. Po ogłoszeniu werdyktu jury pojawiły się głosy, że konkurs był nieuczciwy, bo przecież Bogdan Zdrojewski, minister kultury i wrocławianin, na pewno zrobił szacher-macher, żeby wygrał jego ukochany Wrocław. Prezydent Dutkiewicz śmieje się, kiedy to słyszy: – To nieprawda, że minister Zdrojewski nas faworyzuje. Przeczą temu fakty. Po prostu lepiej to miasto rozumie, bo jest stąd i nim kierował. To naturalne. A w przypadku ESK decydowało niezależne międzynarodowe jury.

To prawda, jury było niezależne. Zarzuty pojawiły się wśród przegranych miast, które dużo później postawiły na kulturę, ale z Wrocławiem nie mogły już wygrać. – Między miastami jest coraz silniejsza konkurencja i dobrze, ale przejawia się ona głównie mnożeniem liczby wydarzeń kulturalnych – tłumaczy prezydent. – My jesteśmy pół kroku dalej, bo interesuje nas obecnie podniesienie poziomu uczestnictwa w kulturze. We Wrocławiu, tak jak w innych metropoliach, w wydarzeniach kulturalnych regularnie uczestniczy mniej niż 10 proc. mieszkańców i my chcemy ten odsetek znacząco zwiększyć.

Być może uda się to dzięki programowi stworzonemu na potrzeby ESK. Dutkiewicz chce, żeby miasto było do tego przygotowane perfekcyjnie. Nie żałuje, jak zawsze, pieniędzy, bo zsumowane wydatki na wydarzenia i infrastrukturę zamkną się w kwocie 300 mln zł. Warto tu dodać na marginesie, że Wrocław wydaje rocznie na kulturę 100 mln (nie

licząc inwestycji) i tej pozycji budżetowej nie ma zamiaru zmniejszać nawet w czasach kryzysu. Prezydent zapytany, czy jednak trochę nie przytnie, odpowiada zdecydowanie: – Nawet nie brałem tego pod uwagę.

Nikt nie jest doskonały

Boksowanie się z Rafałem Dutkiewiczem jest zadaniem niewdzięcznym, bo wygrana jest wątpliwa. Kierunki jego polityki chwałą nawet przeciwnicy, co jest wynikiem także dużych zdolności interpersonalnych i znakomitej komunikacji (zwanej pogardliwie PR-em). Prezydent otoczony jest też rzutkim i sprawnym zespołem. Paweł Czuma, dyrektor Wydziału Komunikacji Społecznej wrocławskiego ratusza, działa jak błyskawica, co może być szokiem dla kogoś przywykłego do kontaktu z warszawskim ratuszem, który w porównaniu ze swoim dolnośląskim odpowiednikiem przypomina raczej kołchoz niż nowoczesny magistrat.

Radny Babierz się zżyma: – Miasto ma w tej chwili kłopoty finansowe. Już słysząc, że to się może odbić na programie ESK, ale o tym ogólnopolskie media jakoś nie informują, bo są zwykłe zachwycone panem Dutkiewiczem. Przyznaję, prezydentowi nie można odmówić uroku osobistego czy umiejętności skracania dystansu w kontaktach z ludźmi, ale to jedna strona medalu. Druga to jego dyktatorskie rządy, polegające na kompletnym nieliczeniu się z opozycją w radzie miejskiej, i nieprzyjmowanie absolutnie żadnych naszych rad czy postulatów.

Adam Suprynowicz dodaje: – Prezydent bez wątpienia świetnie wypada w wystąpieniach publicznych, nie ma wstydu. A to jest ważne w przypadku miasta, które ma być za cztery lata Europejską Stolicą Kultury.

Przeciwnicy Dutkiewicza często zarzucają mu, że jest mistrzem prezentowania wizji bez pokrycia, choć prawie nikt ze świata kultury nie chce go skrytykować pod nazwiskiem. – Pan prezydent uwielbia ogłaszać dobrą nowinę

– opowiada jedna z moich rozmówczyń. – Jest wtedy wyluzowany i dowcipny, no i zawsze przy tym świetnie wypada. Gorzej z realizacją obietnic. Gdzie jest nowoczesna siedziba Muzeum Współczesnego, która miała powstać już dawno?

Rafał Dutkiewicz odpowiada: – Docelową siedzibą dla muzeum powstanie, ale w następnej unijnej perspektywie finansowej. Po zakończeniu budowy Narodowego Forum Muzyki jedynym brakującym elementem kulturalnego pejzażu Wrocławia będzie Muzeum Sztuki Nowoczesnej z prawdziwego zdarzenia. To jest instytucja bardzo miastu potrzebna.

Krzysztof Mieszkowski: – Jestem przeciwnikiem tych wszystkich masowych imprez, na które prezydent wydaje mnóstwo pieniędzy, jak Doda na sylwestra i tym podobne. Gigantyczne honoraria, które idą do kieszeni telewizyjnych gwiazdek, powinny wspierać wrocławskich twórców.

Rafał Dutkiewicz: – Rozumiem te krytyczne głosy, ale proszę pamiętać, że sylwester nie jest wydarzeniem kul-

I wtedy coś się popsło. Właściwie nie usłyszałam żadnego konkretnego zarzutu poza tym, że już czas na mnie. Poczułam się, jakby mnie ktoś wyrzucał, bo jestem za stara i się do niczego nie nadaję.

Rafał Dutkiewicz: – Rozstania mają to do siebie, że rzadko są sympatyczne, ale w tym wypadku uważam, że wszystko odbyło się niezwykle kulturalnie. Tym bardziej że pani Krystyna otrzymała propozycję dalszego prowadzenia jej ukochanego dziecka, czyli festiwalu Dialog. Uważam, że lepiej jest odejść, kiedy się prowadzi teatr dobrze niż chwilę za późno.

Generalnie in plus

Na pytanie, co uznaje za swój największy sukces w kulturze, prezydent odpowiada: – Autorami sukcesów są przede wszystkim szefowie instytucji kultury i ich zespoły. Ja oczywiście mam na nich jakiś wpływ. A jaki jest mój udział? Pięć procent, może siedem i pół? Nie potrafię i nie chcę tego oceniać. Niech oceniają inni.

Inni oceniają, i to zazwyczaj bardzo wysoko. Zdaje się, że żaden polityk nie miał tak dobrej opinii wśród ludzi kultury, jak Rafał Dutkiewicz. Niektórych cieszy już samo to, że rozmawiają z prezydentem miasta, który umie się poprawnie wyśłowić po polsku (co jest rzadkie), innych cieszy jego biegła znajomość angielskiego (co jest jeszcze radsze). Ale najważniejsza pozostaje jednak jego długofalowa wizja rozwoju miasta zbudowana na fundamencie kultury. Wizja, którą roztoczył Bogdan Zdrójewski i którą Rafał Dutkiewicz kontuuje od dekady z rozmachem. Wizja, która nie jest, jak w wielu innych polskich miastach, ograniczona horyzontem kończącej się kadencji i najbliższych wyborów.

Można prezydenta krytykować, można go nie lubić, ba! – można go szczerze nienawidzić, ale jednego nie można odmówić – Rafał Dutkiewicz jest współtwórcą potęgi Wrocławia. Miasta, w którym słowo na „k” odmienia się przez wszystkie przypadki.

edycja polska

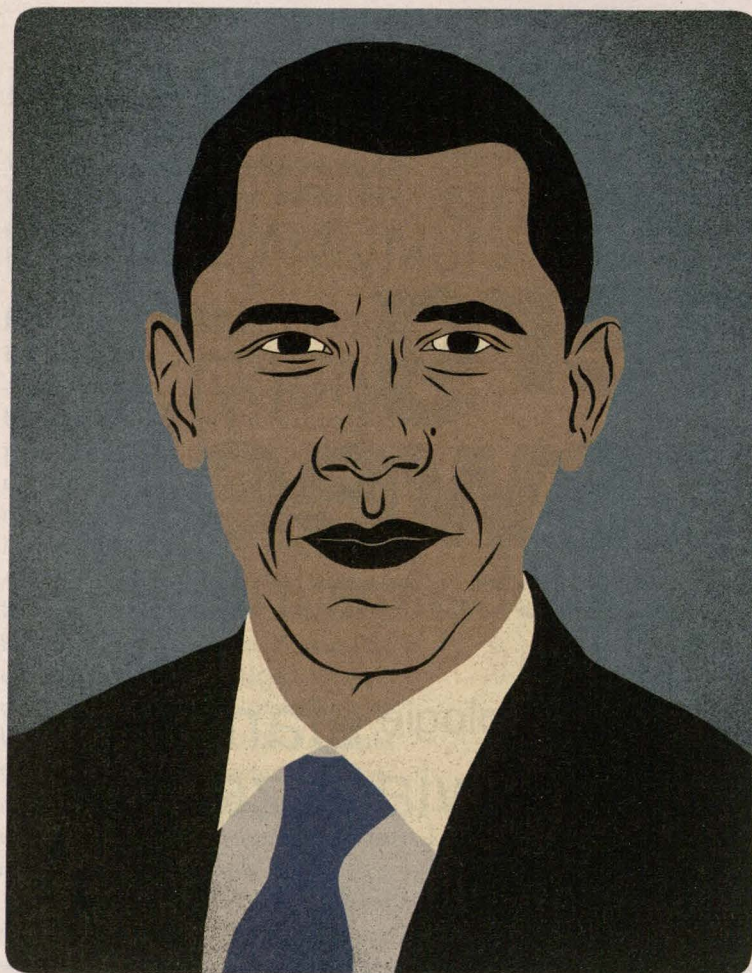
eksport
negocjacje waluta e-biznes technika
gospodarka zysk badania finanse
polityka efektywność doradztwo
Bloomberg Businessweek popyt
zarządzanie rozwój globalne interesy
import jakoś biuro outsourcing leasing
cena inwestycje technologie startup
oszczędności doświadczenie

NAJLEPSZY NEWSROOM ekonomiczno-biznesowy

Nowy numer w sprzedaży

Teraz w nowej odsłonie,
współtworzony z dziennikarzami
„Rzeczpospolitej”, „Parkietu”, ekonomia24.pl

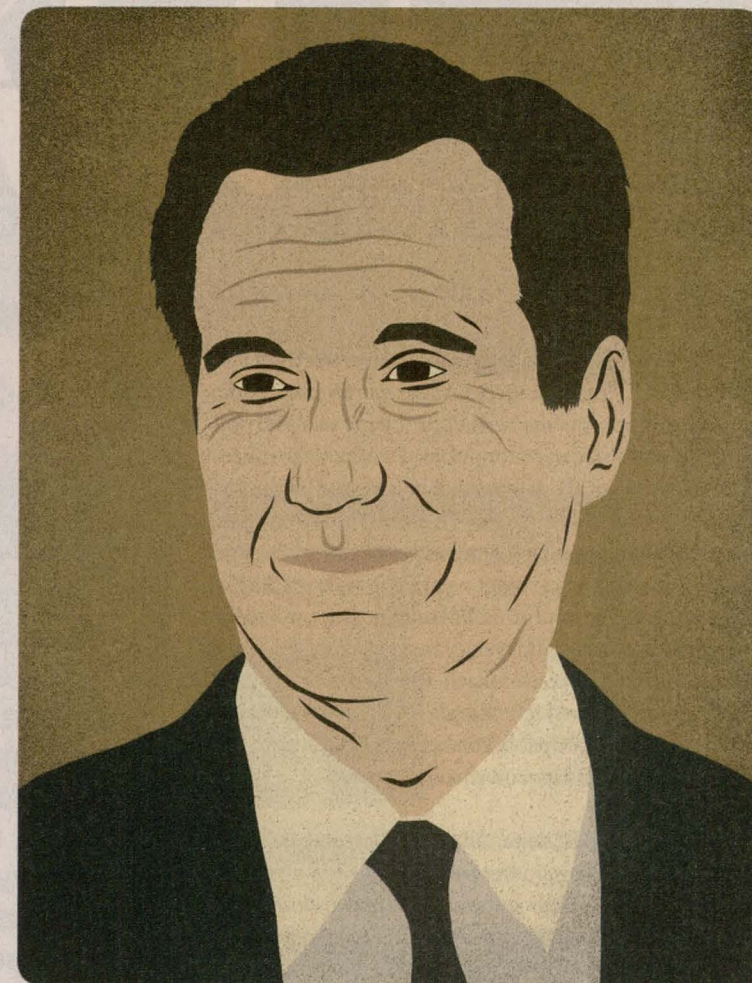
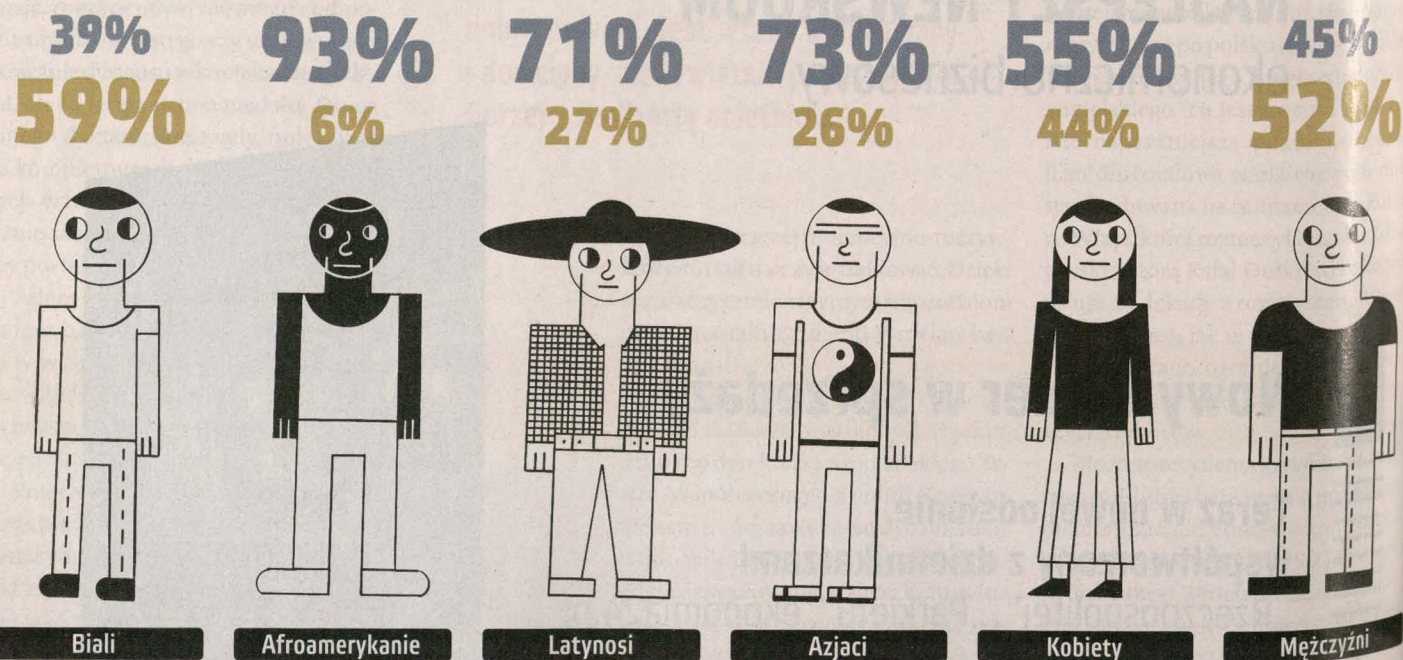




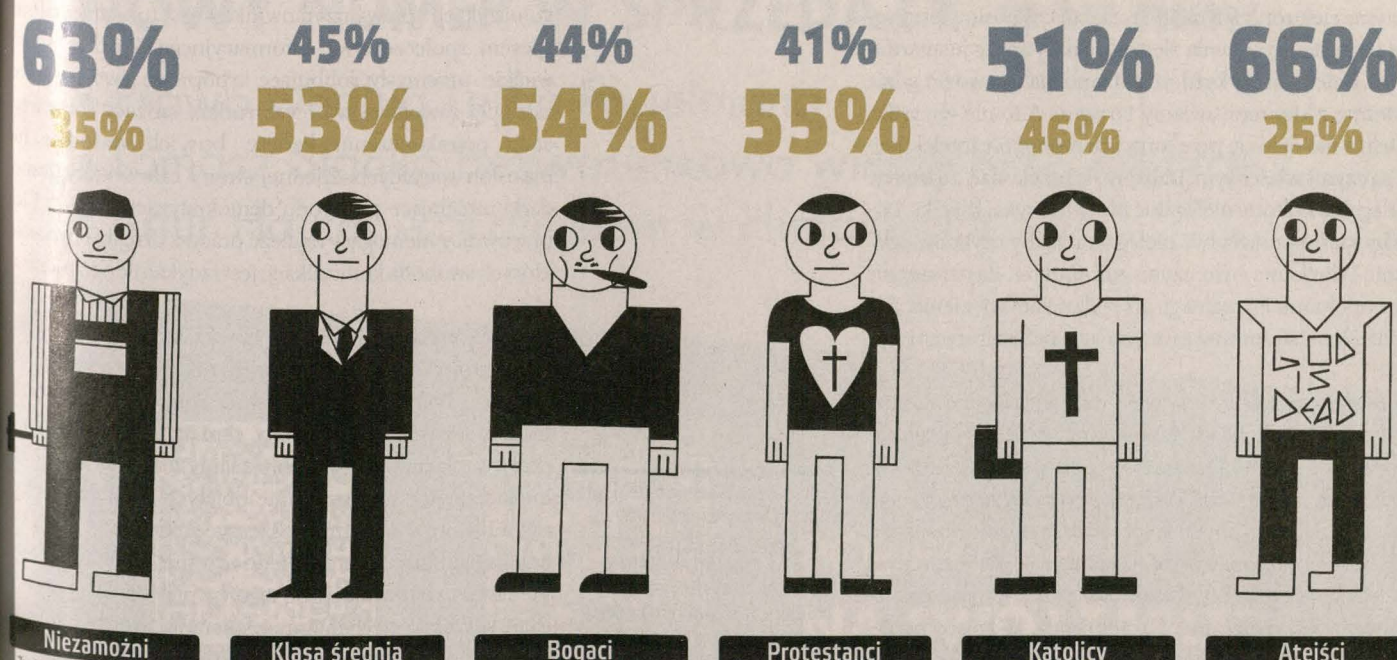
RYSOWAŁ: PATRYK MOGILNICKI

Dwa oblicza Ameryki

Barack Obama



Mitt Romney



Barack Obama zostaje w Białym Domu. Głównie za sprawą głosów Afroamerykanów, Latynosów, kobiet oraz młodych ludzi. Z powodu klęski Romneya płaczą z kolei dobrze zarabiający, biali mężczyźni o poglądach konserwatywnych. Wyborcza demografia mówi sporo o podziałach w amerykańskim społeczeństwie, które rysują się coraz wyraźniej. Tak jak w naszym, rysunkowym zestawieniu.

Jarosław Lipszyc

O wolność waszą i naszą. Enter

Przed wyborami samorządowymi widziałem w telewizji spot jednej z partii. Był rok 2010. Ludzie, zazwyczaj młodzi, w ironiczny sposób wymieniali problemy wielkiej polityki. Ale na koniec narrator ogłaszał z offu, że to nie jest ważne. Że dla ludzi liczą się tylko lokalne problemy. Jednym z ironicznie wymienionych problemów była „ustawa o prawach autorskich i prawach pokrewnych”. Spot był dobry, owa partia nawet wygrała te wybory. Ale kto ironią wojuje, od ironii ginie. Pół roku później, w trzaskającym mrozie, dziesiątki tysięcy ludzi skakały w obronę prawa do swobody komunikacji. Przeciwno ACTA. Ustawa o prawach autorskich okazała się polityczną butelką z benzyną, która podpałała Polskę i skonfliktowała lekko-myślną partię z jej kluczowymi wyborcami.

O co walczyć? O wolność słowa. Od siedmiu lat zabiegam o prawo do korzystania z podręczników, o dostęp do wiedzy, o prawa użytkowników informacji. O prawo do swobodnej, anonimowej i niepoddanej korporacyjnemu bądź państwowemu nadzorowi komunikacji. Nie jest to łatwe. Z wolności rezygnujemy zbyt łatwo. Anonimowości pozbyliśmy się już dawno temu. Nie trzeba nas było nawet do tego namawiać. Wystarczyło nam zamachać przed oczyma elektronicznymi gadżetami. Dziś nosimy przy sobie osobiste urządzenia śledzące i nazywamy je smartfonami. Dzięki nim w każdej chwili można sprawdzić, gdzie jesteśmy, z kim rozmawiamy. I o czym. A to nie wszystko. Wielu z nas dało się przekonać, że monopol intelektualny są czymś właściwym. Daliśmy się przekonać, że istnieje nielegalna kultura: nielegalne filmy, muzyka, książki. Tak, jakby kultura mogła być nielegalna. Jakby czytanie, oglądanie i słuchanie było czymś zakazanym. Za naruszenie monopolu intelektualnego grozi dziś kara więzienia. Jakby dzielenie się kulturą z innymi było przestępstwem.

Nasze systemy wartości są więc dziś wywrócone do góry nogami. Nie dziwnego. Nasz własny język nas okłamuje. Monopol intelektualny nazywa własnością, a dzielenie się kulturą – kradzieżą. Wszystko po to, by najpierw odebrać nam prawa, a potem je sprzedać za ciężkie pieniądze. Cały ten system oparty jest na kłamstwie. Kłamstwem są na przykład kampanie reklamowe przekonujące nas, że ściąganie jest nielegalne. To nieprawda. W Polsce pobieranie utworów jest jak najbardziej legalne i nikt nikogo



Dziś nosimy przy sobie osobiste urządzenia śledzące i nazywamy je smartfonami. Wystarczyło nam zamachać nimi przed oczyma, żebyśmy wyzbyli się anonimowości.

Autor jest prezesem fundacji Nowoczesna Polska. Stworzył m.in. darmową bibliotekę Wolne Lektury, z której korzysta 2 mln dzieci rocznie. Jest autorem projektu edukacji cyfrowej i medialnej Cyfrowa Przyszłość.

za to nie ściga. Nielegalne jest rozpowszechnianie utworów. Stop. Rozpowszechnianie też jest legalne w kręgu znajomych i rodziny. Nielegalne jest tylko rozpowszechnianie do nieograniczonego kręgu odbiorców. Stop. Nielegalne jest tylko wtedy, gdy nie posiadamy odpowiedniego zezwolenia posiadaczy praw. Po co więc to kłamstwo w reklamówce lecącej przed każdym filmem w kinie i na każdej płycie? Żeby nas przygotować na kolejne dokręcenie śruby?

Mamy prawo znać swoje prawa. Dlatego piszę, spotykam się, przekonuję. Na stronie Prawo Kultury (<http://prawokultury.pl>) niedługo udostępniły ogromną ilość materiałów edukacyjnych. Organizuję obecnie dużą imprezę o prawie autorskim. Popularną, jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało. Copy Camp (<http://copycamp.pl/>) ruszy 26 listopada. W ciągu pięciu godzin w dwóch salach kina Kultura wystąpi 40 osób: polityków i artystów, prawników i socjologów, dziennikarzy i działaczy pozarządowych. Każdy będzie miał 10 minut na przedstawienie nam własnej opowieści o prawie autorskim, o jego społecznych i ekonomicznych aspektach, o tym, jak komunikujemy się z bliskimi w czasach mediów, i o mediach w czasach komunikacji każdego z każdym. To nie będą łatwe opowieści. Spór o swobodę komunikacji i prawa użytkowników jest fundamentalnym sporem społeczeństwa informacyjnego. Z jednej strony wielkie przemysły lobbujące o poprawę swojego bytu, z drugiej zawodowi twórcy z trudem radzący sobie z życiem po zakończeniu kariery, bo w ich zawodzie nie ma osłon socjalnych. Z jednej strony całe sektory gospodarki umierające z powodu demokratyzacji mediów i ich pracownicy niemogący znaleźć pracy, z drugiej obywatele, których swoboda komunikacji jest radykalnie ograniczana.

To trzeba rozplątać. To można przecież zrobić lepiej. Absurdalnie restrykcyjne prawo, którego nikt nie przestrzega, nie ma sensu. Potrzebujemy liberalnego prawa, którego będzie można przestrzegać. Musimy skrócić absurdalnie długi czas trwania praw autorskich, musimy zezwolić na wszelkie niekomercyjne wykorzystanie objętych prawami wyłącznymi utworów, musimy rozszerzyć zakres praw instytucji edukacji, kultury i nauki. I jednocześnie musimy uszczelnić system, doprowadzić do tego, by prawo było przestrzegane, stworzyć mechanizmy wspierania twórczości. To da się zrobić, ale trzeba rozmawiać. Rozmawiamy.

SUKCES



NOWY NUMER W SPRZEDAŻY, a w nim:

- Prawo według Lejba Fogelmana
- Tomasz Stańko bezwarunkowo wierzy tylko muzyce
- Artur Hajzer – biznesmen w Himalajach



Available on the App Store



Google play

POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET

www.sukcesmagazyn.pl

KENZO TRIBOUILLARD/AFP



FRANCJA

Najbardziej zadłużony człowiek świata

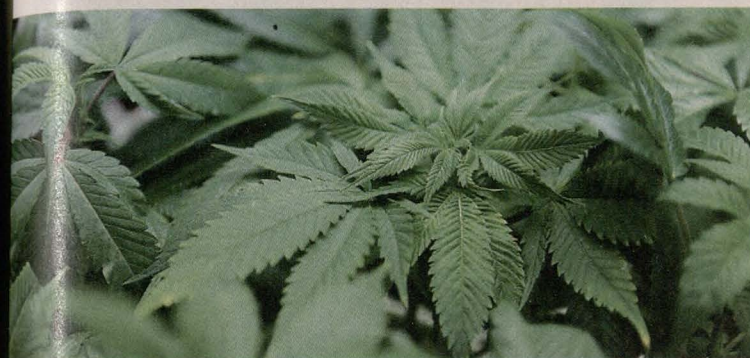
Dołuje was debet do spłacenia na karcie kredytowej? Ponieważ „nic tak nie krzepi, jak cudze nieszczęście”, przypadek Jerome’a Kerviel powinien podnieść was na duchu. Francuz niegdyś pracował jako makler dla banku Societe Generale, a dziś siedzi w więzieniu i oficjalnie jest najbardziej zadłużonym człowiekiem świata. Do spłacenia ma 6,3 mld dol. – gdyby sytuacja była odwrotna i jego majątek opiewałby na taką sumę, byłby jednym z 50 najbogatszych ludzi w USA. Oczywiście tak kosmiczny dług nie jest rezultatem zwykłej rozrzutności. Kerviel wykorzystał swoje kompetencje w Societe Generale, pomnożył je przez hakerskie umiejętności i w ten sposób doprowadził do defraudacji miliardów euro. Co teraz z tym fantem zrobić? Kerviel nie może zacząć spłacać zadłużenia przed 2015 r., bo dopiero wtedy ma zostać wypuszczony na wolność. Eksperci spekulują, że prawdopodobnie dojdzie do ugody, w wyniku której eksmakler do końca życia znaczną część swoich zarobków będzie oddawał byłemu pracodawcy, a i tak będzie to zaledwie mała część całości zadłużenia... Czymże jest przy tym zbliżający się termin spłaty raty za pralkę? → Mateusz Farenholc



NOWA ZELANDIA

Gandalf nie zapali fajki na pokładzie Air New Zealand

28 grudnia do naszych kin wejdzie „Hobbit: niezwykła podróż”, pierwszy z trzech filmów będących ekranizacją powieści Tolkiena. Większość zdjęć została nakręcona w Nowej Zelandii, co linie lotnicze Air New Zealand postanowiły wykorzystać jako chwyt marketingowy i... sposób na urozmaicenie nudnych filmików, przedstawiających procedury bezpieczeństwa. W czterominutowym instruktażowym klipie, który z założenia ma być puszczaany pasażerom na pokładach samolotów, można zobaczyć hobbita wskazującego wyjścia awaryjne, elfa pouczającego o zakazie palenia, a nawet samego reżysera „Władcy pierścieni” Petera Jacksona. Jak na standardowy element dbania o bezpieczeństwo jest to prawdziwa superprodukcja – biorąc pod uwagę, że nad klipem pracowali ludzie odpowiedzialni za efekty specjalne w „Władcy pierścieni”. Filmik trafił na YouTube (gdzie w ciągu jednego dnia został obejrzany ponad 2 mln razy), można się więc spodziewać, że zainwestowane przez Air New Zealand pieniądze nie zostały wyrzucone w błoto. To się nazywa PR! → mf



STANY ZJEDNOCZONE

Zielone stany Ameryki

Zamieszanie wokół wyborów prezydenckich w USA sprawiło, że towarzyszące im liczne referenda pozostają w medialnym cieniu. Tymczasem za oceanem doszło do małej rewolucji: w stanach Maryland i Maine wyborcy zalegalizowali małżeństwa homoseksualne (są one już legalne w siedmiu stanach i w stolicy USA), zaś mieszkańcy stanów Waszyngton oraz Kolorado opowiedzieli się za legalizacją marihuany „do wykorzystania rekreacyjnego przez dorosłych”. Zielone światło dla palenia trawki – nie tylko w celach medycznych – martwi gubernatora stanu Kolorado Johna Hickenloopera, który podkreśla, że w świetle prawa federalnego zabawy z „mariuską” nadal są zabronione. Czy ugnie się pod presją zwolenników poprawki 64, jak nazywa się projekt legalizujący „spożycie w celach osobistych”? Z pewnością będzie za tym lobbować organizacja o nazwie „Kampania na rzecz Uregulowania Marihuany tak samo jak Alkoholu”. A także całe rzesze amerykańskich obywateli, którzy lubią te same ziołka, co Ramona Jackowska. → hr

KOREA POŁUDNIOWA

Szkoła jak więzienie

Wszyscy miewamy koszmary, w których idziemy na egzamin maturalny z pustką w głowie. Jednak to, przez co muszą przechodzić absolwenci południowokoreańskich szkół, to zupełnie inny wymiar stresu. W tym roku termin powtórkowych egzaminów wstępnych na tamtejsze uczelnie wyższe wypadł 8 listopada. Wielu uczniów, którzy zdecydowali się na „kolejne podejście”, ma za sobą dodatkowy roczny kurs spędzony w szkole z internatem. I to jaki kurs! W tego typu placówkach panują spartańskie warunki: od pobudki o godz. 6.30 rano, przez zakaz korzystania z telewizji, Internetu i komórek, po stałe bycie pod obserwacją kamer. Chłopcy obowiązkowo noszą niebieskie uniformy, a dziewczęta – czerwone. Więzienny klimat ma ułatwić uczniom skupienie się na nauce i, w efekcie, uzyskanie przez nich jak najlepszych wyników na egzaminach. Sami maturzyści bez ogródek nazywają podobne kursy piekłem, traktują je jednak jako zło konieczne. Poziom stresu, który im towarzyszy, obrazują ostatnie statystyki dotyczące prób samobójczych wśród nastolatków z Seulu – ponad 50 proc. z nich spowodowanych było „wynikami w nauce i rekrutacją na studia”. → mf



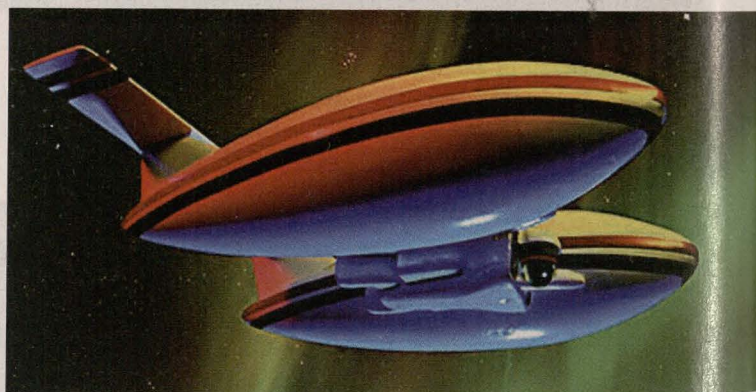
KIM HONG-JI/REUTERS



CHINY

Chiny wycofują się z polityki jednego dziecka

Czy czeka nas chiński baby boom? Naukowcy z Chińskiej Fundacji Badań nad Rozwojem wzywają władze kraju do porzucenia w 2015 r. tzw. polityki jednego dziecka – to głos zapowiadający zmiany, bo fundacja jest agendą rządową. Według agencji Xinhua raport naukowców zaleca odejście od polityki w niektórych regionach już w tym roku i zastąpienie jej polityką dwojga dzieci. Ostatecznie planowanie rodziny sterowane państwowymi regulacjami miałoby zostać całkowicie zlikwidowane w 2020 r. Polityka jednego dziecka pozwalała parom z miast na posiadanie jednego dziecka (chyba że obydwie rodzice byli jedynakami, wtedy mieli prawo do posiadania dwojga dzieci), mieszkańcom wsi natomiast na dwoje dzieci, jeśli pierwsze z nich było dziewczynką. Nie wiadomo, czy do zmian dojdzie w podanych terminach, ale eksperci są pewni, że propozycje zostaną zrealizowane. Naukowcy biją na alarm, bo Chińczycy, którzy spodziewają się potomka dziewczynki, często decydują się na przeprowadzenie aborcji. To zaburza stosunki demograficzne w Chinach – w 2008 r. na 100 dziewczynek przypadało 120 chłopców. Pierwotnie „polityka” miała ułatwić wyjście chińskim rodzinom z biedy, ale jej realnym efektem jest rosnąca gwałtownie liczba emerytów, na których w przyszłości nie będzie miał kto pracować. Zobaczymy, czy niebawem pojawią się na świecie chętni, by to robić. → szm



STANY ZJEDNOCZONE

Z motyką na Wielką Stopę

Mityczna Wielka Stopa przestanie być legendą. Istnienie stwora zostanie raz na zawsze potwierdzone naukowo – przynajmniej taką nadzieję ma Jeffrey Meldrum, profesor antropologii i anatomii z Uniwersytetu Stanowego Idaho. Mimo że jego pomysł jest wyśmiewany przez kolegów z pracy (dziwiacie się?), Meldrum oficjalnie otrzymał błogosławieństwo uczelni na swój eksperyment pod nazwą „Falcon Project”. Plan jest taki, by zbudować wyposażony w kamery termowizyjne sterowiec i wysłać go w lot nad północno-zachodnią częścią USA, Kalifornią i Utah. Dowody zebrane z lotu ptaka mają na bieżąco być przekazywane ekipom przeczesującym tereny lądowe. Ich zadaniem będzie „próba nawiązania kontaktu” z Wielką Stopą. Wszystko brzmi obiecująco, problemem są jednak pieniądze – Meldrum na swój projekt musi zebrać 300 tys. dol., a na razie na inicjatywę nikt nie przekazał ani centa. Cała nadzieja w... kablówce. Pomysłodawca eksperymentu prowadzi już rozmowy ze stacjami telewizyjnymi, które są zainteresowane stworzeniem reality show śledzącego „Falcon Project” od samego początku. Jeżeli z pomysłu Meldruma coś wyjdzie, będziemy mogli oglądać poszukiwania Wielkiej Stopy on-line. → mf

STANY ZJEDNOCZONE

USA większe o jeden stan

Gdy w USA wybierano Baracka Obamę na prezydenta, mieszkańcy Puerto Rico w referendum zdecydowali, że wyspa ma zostać kolejnym stanem Ameryki Północnej. Do wyboru mieli jeszcze utrzymanie obecnego statusu terytorium – zależnego, lecz zachowującego pewną autonomię. Najmniej szans na wygraną miała trzecia opcja: pełna niepodległość. Puerto Rico znajdowało się pod jurysdykcją USA od 1998 r. Taki układ to relikty epoki kolonialnej. Portorykańczykom status wyspy przez lata odpowiadał, bo korzystali z większości praw przyśługujących obywatelom USA. Jednak ambicje wyspiarskie powodowały, że od czasu pierwszego takiego referendum, przeprowadzonego w 1967 r., zwolennicy pozostawienia pewnej odrębności wygrywali. Ich liczba systematycznie spadała i tej jesieni, w piątym z rzędu referendum, ponad 62 proc. głosujących zdecydowało o przystąpieniu do Unii. Geografia Stanów Zjednoczonych zmienia się na naszych oczach. → Szymon Mucha



MUZA SA poleca

**Genialne, śmieszne,
niezwykłe, wyjątkowe,
co nieco szalone –
opowiadania z antologii
Zniknięcie słonia.**

„Możesz się wściekać, ile chcesz,
ale nic nie poradzisz na to, na co
nic nie poradzisz”.

W ciału robotnika z fabryki słoni wnika
od dawna poszukiwany przez policję tańczący karzeł...

ptak nakręcać każdego dnia nakręca sprężynę świata...

Dziewczyna odkrywa, że budzący grozę zielony zwierz jest w niej
zakochany, a ona nie potrafi mu się oprzeć...





REUTERS/MOHAMED ABD EL GHANY

EGIPT

Co spędza sen z powiek egipskim policjantom?

Ponad 60 egipskich funkcjonariuszy policji domaga się przywrócenia do służby po tym, jak w lutym zeszłego roku zostali zawieszni w obowiązkach za... zapuszczenie brody. Brzmi absurdalnie? Były prezydent Egiptu Hosni Mubarak nie pałał sympatią do islamistów, a zbyt obfity zarost kojarzył mu się z muzułmańską brodą, stąd też decyzja o takim, a nie innym potraktowaniu wąsatych policjantów. Ale uwaga, sytuacja polityczna od tamtego czasu się zmieniła – u władzy jest teraz Mohamed Mursi, który... sam ma brodę. Nic więc dziwnego, że policjanci na przymusowym urlopie protestują pod egipskim Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Co ciekawe, czterech z nich poszło ze sprawą do sądu i wygrało, decyzja wciąż jednak nie została wprowadzona w życie. Trzymamy kciuki za egipskich funkcjonariuszy, bo broda świetnie komponuje się z mundurem i zdecydowanie nie powinna być jakąkolwiek przeszkodą w staniu na straży prawa. → mf



MOHAMED ABDIWAHAB/AFP

SOMALIA

Afrykańskie ministry

W Mogadiszu powołano właśnie nowy rząd – to jeden z poważniejszych sygnałów politycznej stabilizacji państwa, które jeszcze rok temu znajdowało się na skraju rozpadu. Kraj opanowany był przez talibów i lokalnych watazków, a północna część Somalii funkcjonowała jako osobne państwo. Tym większym zaskoczeniem jest, że w 10-osobowym rządzie Somalii będą zasiadać dwie kobiety. Za sprawy rozwoju i politykę socjalną będzie odpowiadać Mariam Qassim Ahmed. Polityką zagraniczną pokieruje Yusuf Haji Adan, która ostatnie lata spędziła na emigracji w Wielkiej Brytanii, po ucieczce ze zrewoltowanej północy kraju. Nowe „ministery” podkreślają, że ich mianowanie to – z punktu widzenia walki o prawa kobiet w Somalii – olbrzymie zwycięstwo. Rosnący udział Somalijek w polityce lokalne działaczki przypisują ostatnim dekadom dezintegracji tego państwa; gdy mężczyźni szli na wojnę, kobiety były często jedynymi żywicielkami rodzin. Teraz to panie maszerują po władzę. → szm



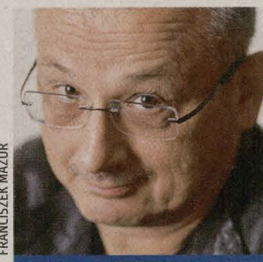
POLSKA

Mistrzowie algorytmów

Młodzi polscy informatycy są mistrzami w programowaniu zespołowym. W najbliższy czwartek w Krakowie pewnie znowu staną na podium. Odejdą się tam wówczas eliminacje do mistrzostw świata w tej dziedzinie. Obok polskich informatyków wezmą w nich udział studenci ze Słowacji, z Czech czy Węgier. W ciągu ostatnich kilku lat eliminacje środkowoeuropejskie zawsze wygrywali studenci Uniwersytetu Warszawskiego, a w ogólnoswiatowych finałach plasowali się w ścisłej czołówce. W poprzednim roku zespół UW zdobył złoty medal. W zawodach, które zostały rozegrane na Uniwersytecie Warszawskim w ramach eliminacji krajowych udział wzięły 54 trzyosobowe zespoły, reprezentujące najlepsze informatyczne uczelnie w Polsce. Drużyny w ciągu pięciu godzin rozwiązywały 11 zadań algorytmiczno-programistycznych. Jak ocenił jeden z organizatorów zawodów prof. Krzysztof Diks, poziom tegorocznych eliminacji był bardzo wysoki. My nie oceniamy, bo się nie znamy, ale z pewnością i trzymamy kciuki. → Marek Kozubal

Mariusz Ziomecki

Kapitał społeczny, czyli paraliż obywatelski



FRANCISZEK MAZUR

Postawy Polaków są jednocześnie łatwe do wyjaśnienia i piekielnie trudne do modyfikacji.

Profesor Janusz Czapiński straszy tym od lat, no i wykrakał. „Kapitał społeczny” okazuje się obecnie naszym wąskim gardłem, coraz większym ciężarkiem na skrzydłach orla białego, najważniejszą barierą dla dalszego rozwoju Polski. Podkreślam: nie kapitał rozumiany tradycyjnie, jako pieniądze, staroświecka mamona. Nie doskwiera nam jego deficyt, podobnie jak niedostatek wykształconych kadr. Również nie cierpimy z powodu braku dostępu do nowoczesnych technologii, barier celnych czy wrogości sąsiadów. To były przekleństwa przedwojennej II RP – w dużej mierze – komunistycznej PRL. Dziś po globie trąą bimbaliiony wolnego pieniądza szukającego zarobku, w obszarze komercji można sfinansować dosłownie wszystko – wystarczy, że jakiś bank, inwestor czy fundusz łknie nasz biznesplan.

Na gwizdnięcie można też zatrudniać najwyższej klasy fachowców od wszystkiego, ściągać dowolne linie technologiczne i tuc black hawki w Mielcu albo rozkoszne kosmetyki kolorowe w Przemyślu i sprzedawać je na całym świecie. Nie grozi nam, jak w latach 30., blokada ekonomiczna ze strony Niemców. Co do braci Moskali, dziś nasze zmartwienia sprowadzają się do tego, czy wynegocjujemy lepsze ceny za gaz albo dostęp do ich euroazjatyckiego rynku.

Inteligentnie korzystając z takich dźwigni, urosliśmy w ostatnich latach, podgoniliśmy wolniej bogacącą się Europę. Poprzednie pokolenia Polaków patrzyłyby na dzisiejsze warunki gry z wybałuszonymi ze zdumienia oczami. Czego więc nam jeszcze brakuje, by dalej iść w górę w rankingach rozwoju? Najkrócej mówiąc – zgrania w drużynie. Większego zaufania do siebie nawzajem; więcej skłonności do współdziałania w interesie zbiorowym (okazjonalne powstania i inne działania w afekcie nie liczą się!); lepszych umiejętności budowania instytucji i rozwiązywania społecznych problemów.

Wiekłym trudno w to uwierzyć, jednak to te miękkie, kulturowe czynniki wydają się dziś mieć znaczenie decydujące. Pokazują to raporty, jak choćby najświeższy brytyjskiego instytutu Legatum, który publikuje „prosperity index” – wskaźnik dobrobytu materialnego i poczucia

dobrostanu („well-being”) obywateli poszczególnych krajów oraz regionów świata (badanie objęło aż 96 proc. światowej populacji i 99 proc. globalnego PKB). Stan gospodarki jest tylko jednym z ośmiu kryteriów uwzględnianych w tym wskaźniku. W 2012 r. na podium znalazły się kraje skandynawskie, Norwegia, Dania, Szwecja – a są to zarazem miejsca o najwyższych wskaźnikach kapitału społecznego. Idol naszych konserwatystów – Stany Zjednoczone – obsunął się w rankingu na skutek kryzysu i wypadł z pierwszej dziesiątki najlepszych krajów do życia. Polska też zjechała o cztery miejsca, ale wciąż znajduje się na wysokiej, bo 32. pozycji wśród 142 analizowanych w 2011 r. krajów. W kategoriach szczegółowych najlepiej wypadamy pod względem bezpieczeństwa obywateli (25. miejsce na świecie), nieźle prezentujemy się w kategoriach „przedsiębiorczość”, „zarządzanie państwem” (governance), „edukacja”, „zdrowie” (sic!) i „swobody obywatelskie” – między 34. a 38. miejscem na świecie.

Oprócz spowalniającej gospodarki piętą achillesową Polski w rankingu jest niski kapitał społeczny (46. miejsce w świecie). Pozostajemy rezolutnie zorientowani na rodzinę, częściej niż przeciętni ludzie na świecie chodzimy do kościoła, za to mniej niż inni wspieramy obcych czy udzielamy się na rzecz ogółu. A to, niestety, przekłada się na to, jak funkcjonujemy na innych płaszczyznach, np. jakie piszemy prawa, jak konkurujemy, jak zagospodarowujemy naszą przestrzeń. Postawy Polaków są jednocześnie łatwe do wyjaśnienia (dla wielu pokoleń państwo było wrogiem, a rodzina i Kościół dawały bezpieczny azyl) oraz piekielnie trudne do modyfikacji. Doroczne „Diagnozy społeczne” prof. Czapińskiego, socjologiczne portrety współczesnych Polaków pokazują, że mimo dramatycznych zmian w wielu innych obszarach pod względem kapitału społecznego uparcie stoimy w miejscu.

Co robić? Po pierwsze, wreszcie uznać wyzwanie za prawdziwe. Do tej pory traktowaliśmy ten społeczny deficyt podobnie jak groźbę ocieplenia klimatu – jako intelektualną fanaberię jajogłowych profesorów. Dane, które nadchodzą zewsząd, jednak alarmują. Naprawdę nie warto czekać, aż problem tego akurat, niewidzialnego kapitału ugryzie nas mocniej w tyłek. →

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o ekonomii.



MAREK ROMAŃSKI

Garbarek i Coltrane, czyli „Dżemborka”

Trwa Jazz Jamboree, jeden z najstarszych i największych festiwali jazzowych w Europie.

To legenda. W czasach PRL czekało się na te kilka jesiennych dni przez cały rok. To było prawdziwe święto nie tylko dla nas, ale dla całego obozu socjalistycznego. Na „Dżemborkę” – jak ją pieśczołiwie nazywano – przyjeżdżali najwięksi: Duke Ellington, Keith Jarrett, Dizzy Gillespie, Sonny Rollins, Thelonius Monk czy wreszcie sam wielki Miles Davis. Sala Kongresowa pękała w szwach, spotykało się wszystkich, którzy coś znaczyli lub chcieli coś znaczyć.

Kolejne edycje festiwalu toczyły się według ustalonego porządku – najpierw zespoły z demoludów, później sławy z zachodniej Europy i wreszcie amerykańscy giganci.

Czasy się jednak zmieniły. 54. edycja Jazz Jamboree odbywa się już bez takiego splendoru, nie w Kongresowej, ale w mniejszych salach (m.in. Capitol, Palladium, Studio im. W. Lutosławskiego). Nadal grają gwiazdy – przede wszystkim norweski poeta saksofonu Jan Garbarek ze swoim kwartetem, w którym wspiera go hinduski mistrz tabli i instrumentów perkusyjnych Trilok Gurtu. Ojczyznę jazzu reprezentuje syn saksofonisty tenorowego wszech czasów Johna Coltrane’a – Ravi Coltrane. Po latach zmagania się z legendą ojca udało mu się znaleźć własną niszę gdzieś pomiędzy postbopową tradycją, kontrolowanym free jazzem a miejskimi, polirytmicznymi pulsacjami w duchu M-Base.

Kto wie jednak, czy najciekawsze nie okażą się liczne koncerty zespołów z Danii, zorganizowane pod wspólną nazwą „Danish Delight”. Z pewnością warto posłuchać byłej indierockowej wokalistki Kiry Skov, która dziś staje się eteryczną inkarnacją Billie Holiday, a także skandynawskiego kwartetu amerykańskiego wirtuoza saksofonu George’a Garzone’a.

Kwintet Tony’ego Williamsa
na Jazz Jamboree ’87.

Warszawa, do 29.11, www.jazz-jamboree.pl

KAROLINA SULEJ, WSPÓŁPRACA: ANNA PRZYBYLL

Pijani trzydziestoletni

James Bond pije piwo z dużego koncernu, ale pokolenie 30-latków nie będzie go naśladować. Wychowane na jego upodobaniu do whisky wreszcie dorosło do tego, aby zamawiać ją przy barze.

Wstrząśnięci więc, ale nie zmieszani ignorują nieoczekiwaną zmianę upodobań 007 i wybierają miejsca z licencją na najlepszy alkohol. **Nie chcą upijać się czymkolwiek, gdziekolwiek.** To obciach.

Ponad dwie dekady, które minęły od transformacji, przyniosły spore zmiany w alkoholowych obyczajach Polaków. Szpetne wyszynki z minionej epoki przekształciły się w stylowe puby i eleganckie restauracje. Przy barze staje coraz więcej chętnych. Nie po to, żeby zamówić kilka shotów i się upić, ale właśnie po to, żeby przy tym barze stać i próbować kolejnych smaków. Picie alkoholu z „łojenia” zmienia się w „tasting”, smakowanie trunków. Studenckie sączenie wygazowanego piwa odeszło w niepamięć. Nie ma już mowy o picu w godzinach pracy, co w PRL nie należało przecież do rzadkości. Po modne alkohole sięgają dziś ludzie ze wszystkich sfer społecznych, a pod względem ilości wypijanego alkoholu kobiety dorównały mężczyznom. – Przede wszystkim zmieniła się jakość spożywanego przez Polaków alkoholu – twierdzi Tomasz Foltus, terapeuta z Ośrodka Terapii Uzależnień Polana w Warszawie. Pije się mniej wódki, więcej wina, pszenicznego piwa i szlachetnej whisky. Nowe nawyki związane z piciem potwierdzają zresztą badania. Według raportów Nielsen wódka traci w Polsce klientów na rzecz whisky. Wartość sprzedaży szkockiego trunku zwiększyła się od ubiegłego roku o 22 proc. Coraz popularniejsze stają się też inne mocne napitki, takie jak rum i koniak. Jak wynika z prognoz Związku Pracodawców Polskiego Przemysłu Spirytusowego, do 2016 r. o ponad 20 proc. wzrośnie sprzedaż wódek smakowych

i o 32 proc. alkopopów, czyli gotowych drinków w małych butelkach.

Kto inny niż „jaś”

– Pamiętam, jak kilkanaście lat temu siedzieliśmy ze znajomymi na klatce schodowej i piliśmy piwo. Nie mieliśmy dokąd pójść, bo brakowało lokali dla kreatywnych i otwartych na świat młodych ludzi. Dlatego wraz ze współnikiem zaczęliśmy takie miejsca tworzyć – wspomina Norbert Redkie, dziś współwłaściciel

Zamiast taniego piwa pijemy dziś drinki molekularne i trunki, do których barmani dodają soki ze świeżych sezonowych owoców, zioła, marmolady i syropy. Tradycyjnego „jasia wędrowniczka” zastąpiła whisky, której smak sprawia, że zapominamy o bożym świecie.

Grupy Warszawa, do której należy Syreni Śpiew, czyli – jak zapewniają właściciele – „pierwszy prawdziwy drink-bar w Warszawie”. Mieści się on w perle architektury modernistycznej lat 70. Zachęca różowym neonem warszawskiej Syrenki oraz listą około 40 koktajli i ponad setką gatunków whisky. To wystarczy, żeby zwabić tam wielu warszawskich żeglarzy. Co prawda piwo w Syrenim Śpiewie kosztuje aż 25 zł, ale za tę samą cenę dostaniemy whisky, której smak spr-

wi, że zapomnimy o bożym świecie, a na pewno o rozmaitych johnnych i jachkach, które piliśmy wcześniej. Tak przynajmniej zapewniają właściciele.

Wystrój lokalu przypomina wnętrza baru w hotelu Overlook ze „Łśnienia” Stanleya Kubricka. Szczególnie kiedy klub jest mniej gwarny, trudno pozbyć się wrażenia, że za chwilę przy barze usiądzie Jack Nicholson i też coś zamówi. Ale o puste miejsca coraz trudniej, bo – jak uważa Norbert Radkie – Na szczęście coraz więcej osób przekonuje się, że lepiej kupić choćby naszą house whisky za 12 zł niż czerwonego jasia wędrowniczka, do którego naród jest od lat przyzwyczajony. Radkie twierdzi, że wciąż trzeba walczyć ze stereotypem, iż jeśli wolisz lepszą butelkę wina i lepszą whisky, to jesteś lanserem i snobem. Walka jednak trwa i jest coraz więcej chętnych, żeby stanąć przed barem i spróbować czegoś innego.

Mały browar, duża frajda

Do piwnych eksploracji zachęcają między innymi Łódzka Fermentacja, poznańska Brovaria, wrocławski Bernard czy katowicka Biała Małpa. Wypijesz tam chmielowe specjalności regionalne, specjały z zagranicy czy nawet piwo własnego wyrobu – Brovaria to jednocześnie browar, restauracja, bar i hotel. Z kolei Bernard sprzedaje wyłącznie piwo z rodzinnego czeskiego browaru, Fermentacja zabiera nas w piwną podróż po całej Polsce, a Biała Małpa pokazuje



sca, gdzie leją coś, co nie jest Tyskim lub Żywcem. Postanowiliśmy to zmienić i założyliśmy knajpę, która jednocześnie jest kawiarnią i bistro. Teraz mamy tłumy, a w przyszłym roku będziemy się rozbudowywać o kolejne piętro. Przychodzą różni ludzie. Można spotkać profesora, który z doktorantami przyszedł omówić jakiś projekt, jak również robotników, którzy po ciężkiej dniówce potrzebują czegoś orzeźwiającego. Polska w ogóle, a Śląsk w szczególności, bogaci się, a wraz z tym wzrasta świadomość konsumencka. Żeby osiągnąć sukces w browarnictwie, już nie wystarczy być najtańszym. Trzeba oferować konkretną jakość produktu. Klienci są gotowi płacić, gdy kubkami smakowymi czują, za co płacą. Biała Małpa to ponad sto rodzajów piwa. Do tego prawdziwa włoska kawa oraz grillowane bagietki według przepisu Nat, która prowadzi bloga Kulinarne Podróże.

Fabryka molekuł

Picie dobrego alkoholu może też towarzyszyć spotkaniom ze sztuką. W stołecznym concept storze Pies Czy Suka alkohol nie jest jednak dodatkiem do sztuki, a jej równorzędnym partnerem. Beata Konarska to, wspólnie z mężem, właścicielka pure baru i sklepu z designem pod tym samym szyldem. To pierwsze miejsce w Polsce, gdzie jednocześnie można obcować z wyrafinowanym wzornictwem i zaawansowaną miksologią – tujsze drinki powstają na bazie receptur molekularnych, które ze zwykłego drinka robią sorbet, piankę, żelka czy proszek. Ze ścian patrzą głowy reniferów, po kątach porożstawiane są psy, świnię i konie z kolorowej kolekcji rzeźb z cyklu „Zwierzęta domowe”. Jest przyjaźnie i lekko absurdalnie. Jak twierdzi Beata Konarska: – Filozofia „pure” w Psie Czy Suce wynika z naszego pragnienia życia w świecie czystym i nieprzetworzonym. Okazuje się, że na poziomie powstawania koktajli jest to również możliwe. Prawie wszystkie produkty typu syropy, marmolady i inne dodatki koktaj-

że picie piwa może być stylowe. W Małpie wszystko działa według złotej myśli Homera Simpsona: „Beer, the cause and solution to all life's problems”. Biała Małpa, urządzona ciepło i nowocześnie, w niczym nie przypomina ciemnych

i borych piwnych nor, jakich pełno w polskich miastach. Piotr Wiktor, współzałożyciel lokalu, utrzymuje, że koncernowe piwa stały się kompletnie niepijalne. Pamiętam, jak ze znajomymi bezskutecznie szukaliśmy miej-

lowe przygotowujemy sami ze świeżych sezonowych owoców, warzyw i ziół. Jesteśmy pod tym względem ortodoksyjni i nie uznajemy produktów „identycznych z naturalnymi”.

Beata Konarska wspomina, że początki przebijania się do świadomości odbiorców z informacją, że mogą wypić wyjątkowy koktajl za cenę trochę wyższą niż tradycyjny obszczyk, były bardzo trudne. – Dodatkowo znaczenie ma lokalizacja; jest z jednej strony świetna – znajdujemy się w ścisłym centrum przy ulicy Szpitalnej, w przepięknie wyremontowanym budynku fabrycznym, w którym mieściła się pierwsza fabryka czekolady Wedla. Z drugiej jednak strony, dziedziniec ze swojej natury jest schowany i nieoczywisty, więc

cały śródmiejski ciąg pieszych omija nas bokiem. Jednak ci, którzy już trafią, wychodzą pod wrażeniem tego, w jakich okolicznościach i co wypili. Dzięki pozytywnym opiniom w necie, na blogach i Facebooku fama o budzie idzie w miasto i mamy coraz więcej nowych gości – opowiada Konarska i przyznaje, że niektórzy „uzależnili się” od Psa Czy Suki.

W menu można znaleźć pozycję pod nazwą „Barman robi ci dobrze” albo „Barman robi ci dobrze de la lux”. Barman przygotowuje wówczas koktajl autorski dostosowany do gustu i chęci odbiorcy. Ta opcja jest coraz bardziej popularna. Inna pozycja z karty, tym razem jesiennej, to z pozoru bardzo „trudny” koktajl „From Burak with Love”, który jest miksturą wykorzystującą potencjał

tego warzywa, co – według Konarskiej – tylko pozornie wydaje się niemożliwe, bo po spróbowaniu na ustach pijącego zawsze pojawia się uśmiech pozytywnego zaskoczenia. – Chcemy też przypominać o historii koktajlu. Rozpoczęliśmy cykl „Klasyk tygodnia”, który jest podróżą przez świat koktajlowych klasyków – mówi Konarska.

Barman z dyplomem

Nowy, bardziej wyrafinowany sposób spożywania alkoholu potwierdzają specjaliści. – Jeśli chodzi o mocne trunki, Polacy wybierają częściej alkohol dobrej jakości – komentuje Tomasz Polusz, terapeuta z warszawskiego ośrodka Polana. To niejedynie zmiany w naszym alkoholowym krajobrazie. Jacek Wietorek, menedżer Whisky Baru 88 z Poznania, twierdzi, że zmieniają się nie tylko zwyczaje gości, ale również barmanów. – Moje barmańskie początki kojarzą mi się z serwowaniem hektolitrow wódki z sokiem i innych mało wyszukanych kompozycji. Zastanawiając się, co może być powodem takiego stanu rzeczy, doszedłem do wniosku, że w dużej mierze to wina kiepskiego przygotowania barmana, jego mizernej wiedzy i przeciętnych umiejętności. Na szczęście z biegiem czasu barmaństwo w końcu przestało być traktowane jako dorywcza praca, a coraz częściej za barem spotykamy człowieka z powołaniem, który ma potrzebę poszerzania wiedzy z zakresu miksologii czy historii alkoholi – mówi Wietorek.

To właśnie dzięki znacznemu poprawieniu się jakości pracy i pogłębieniu wiedzy polskiego barmana znacznie wzrosła świadomość konsumenta.

Dziś zamiast klubów czy dyskotek wybiera się miejsca, gdzie stawia się na jakość, dobrą ofertę, zorientowany, a zarazem nienachalny personel oraz wyjątkowy klimat. – Dotyczy to zarówno kobiet, jak i mężczyzn, niezależnie od zasobności portfela – przekonuje Wietorek.

Zmiany zauważa też Jurek Rypel, menedżer krakowskiego drink-baru Lumina, który estetycznie i merytorycznie idzie pod prąd krakowskim modom

barowym. – W prażnym, krakowskim piwnicznym świecie wyszynków do piwa takie miejsce jak Lumina wciąż jeszcze uczy się przetrwania. Na razie największą część naszej klienteli stanowią zagraniczni goście – tłumaczy. I dodaje: – Krakowianie wciąż się boją wyzywającego, nowoczesnego wystroju szklanych blatów. Wierzmy jednak, że trafią do nas ludzie, którzy po kilkuletniej przerwie po studiach zaczynają znowu wychodzić na miasto. Grupa pijąca to bowiem zwykle studenci, którym jest wszystko jedno, gdzie i co piją. Pojem jest kilka lat przerwy, a koło 35. roku życia wraca się do alkoholu, ale już na innych zasadach. Na szczęście Polacy przestają powoli uważać, że interesy robi się tylko przy biurku, i uczą się smakować alkohole. Pojawiają się mody na określone drinki. W tym roku przebojem krakowskiego lokalu były drinki z aperolu, szczególnie zaś hotaperol. Oto receptura na ten jesienny drink: aperol, sok pomarańczowy, sok z limonki, łyżeczka powidła z figi i miód lipowy. Wszystko podgrzać do temperatury około 40 st. C., aromatyzować koktajlową skórką pomarańczową, a po przelaniu do szkła posypać cytrynamonem.

Popularne jest także wino musujące prosecco, którego można spróbować nie tylko w drink-barach, ale w modnych bistrach, jak krakowska czy warszawska Charlotte oraz w winiarniach w stylu stołecznej Madame Żuż czy wrocławskiej Winnicy. Szczególnie zachęcająco brzmi zaś prosecco z lodami cytrynowymi, które serwuje Cocktail Bar Lenkiewicz w Toruniu. Miejsce to ma swoją gastronomiczną przeszłość. Wszystko zaczęło się w roku 1837, kiedy to dwaj kupcy z Lubeki zostali właścicielami kamienicy, w której dziś mieści się Cocktailbar. Prowadzili tu sklep kolonialny i handlowali winami. Poza tym ich firma zajmowała się też destylacją brandy oraz wytwarzaniem likierów. Kolejnym właścicielem została rodzina państwa Grelewiczów, którzy prowadzili w tym miejscu restaurację oraz sklep kolonialny. Dziś Cock-

tailbarto część firmy Lenkiewicz. Obok niego mieści się kawiarnia, a jeśli komuś mało, może poszukać w okolicy cukierni z Lenkiewiczowymi piernikami. Ze słodyczami łączy się pro secco także w Warszawie: tam można wypić szklankę w babeczkarni La Vanille czy w Lodach Na Patyku, kolejnym przedsięwzięciu Redkiego i Kraciuka. Teraz pocujemy się jak w „Śniadaniu u Tiffany’ego” nie tylko wtedy, kiedy zającą bułkę, uprawiamy window shopping.

Jak powiedziała kiedyś Peggy Olson, copywriterka z serialu „Mad Man”, który opowiada o życiu agencji reklamowej w latach 60.: „Potrzeba trzech składników, żeby sporządzić koktajl. Wódka i Mountain Dew to desperacja”. W ostatnich latach byliśmy więc raczej desperowani. „Wódka z czymś” to nasz ulubiony, narodowy drink. Niedawno jednak okazało się, że bohaterowie serialu „Mad Man” nie są wcale tak retro, jakby mogło się wydawać. Kultura barów, drinków, randek nad kolorowym kieliszkiem i biznesowych negocjacji nad whisky nie jest tylko zakurzona cepelią. Tak, jeszcze do niedawna, robiły przyjaciółki w serialu „Seks w wielkim mieście” i tak teraz robią przyjaciółki z serialu „Girls”. Te pierwsze były po trzydziestce, te drugie są chwilę przed trzydziestką. Piją nie dlatego, że chcą się upić. Picie jest dla nich częścią stylu życia, jak kupowanie butów, torebek czy książek. Bo picie to nie tylko pociąganie łyka z kieliszka, ale cały rytuał: wybór miejsca i towarzysza, stroju, alkoholu. Alkohol jest jak deser, guilty pleasure po stresującym dniu.

Jesteśmy już na szczęście daleko od patetycznych lat 80., kiedy Tom Cruise, jako barman w filmie „Cocktail”, wygłaszał zaangażowane wiersze. Minęły też czasy Bridget Jones, która w szlafroku i bieleźnie korygującej wyznawała: „I choose vodka and Chaka Khan”. Rozpoczął się nowy wiek i my, jako jego staromodni obywatele, powinniśmy raczej powiedzieć: „Martini, wstrząśnięte, niezmieszane”. Albo: „Raciborskie poproszę”.

Jak reagujemy na alkohol



↑ 10-50 mg/100 ml
ilość czystego alkoholu
w 100 ml krwi

Możesz czuć się zrelaksowany, ale jesteś mniej czujny niż zwykle, alkohol pozbawia cię też zahamowań.



↑ 60-100 mg/100 ml

Masz lepszy nastrój, ale pojawiają się kłopoty z koordynacją ruchów i logicznym myśleniem.



↑ 110-200 mg/100 ml

Czujesz gniew lub smutek, płacze ci się język.



↑ 210-300 mg/100 ml

Stajesz się agresywny albo przynębiony, tracisz równowagę.



↑ 310-400 mg/100 ml

Masz kłopoty z oddychaniem, tracisz kontrolę nad pęcherzem, grozi ci nawet śpiączka.



↑ 410 mg i więcej/100 ml

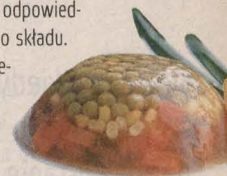
Taka ilość alkoholu może spowodować śmierć.

Jak leczyć kaca

1. Sok Kacus. Wygląda brzydko i jeszcze gorzej smakuje, ale ból głowy leczy skutecznie niż niejeden kefirek. Zawarte w soku z kasty kwaszonej witaminy z grupy B wykazują właściwości dotleniające. Kacus pobudza soki trawienne i wzmacnia apetyt. Obudzi do życia nawet najbardziej „zmęczonych”.



2. Śniadanie Chory Kotek. Niespieszne, późne śniadanie to jedyna przyjemność z kaca. Wymaga więc odpowiedniej celebracji oraz uważnie skomponowanego składu. Zestaw idealny znajdziecie w Knapie u Fryzjera w Kazimierzu Dolnym. Nazywa się uroczko: Chory Kotek i zawiera: różki w galarecie, świeżo wyciskany sok z cytryny, Alka-Seltzer oraz kawę.



3. Zupa pho. Dar Wietnamu dla polskiej kultury picia albo raczej radzenia sobie z jego skutkami. Kielki, szczypiorek, tofu albo wieprzowina, kurczak albo krewetki, co dusza zapagnie, zanurzone w ciepłym bulionie z makaronem ryżowym. Gotowany 12 godzin na kościach wołowych stawia na nogi i regeneruje. Do niedawna jeszcze traktowany był jak „lans”, teraz staje się zwyczajnym polskim daniem obiadowym.



4. Slow fast food. W potrzebie kalorycznego, ciężkiego jedzenia najszybciej i najłatwiej pójść do McDonalda lub KFC, ale może warto nadłożyć drogi oraz wysiłku, żeby „śmięciowe jedzenie”, które wybierzemy, było zdrowsze, bardziej ekologiczne, autorskie i lokalne. Takie są hamburgerownie w rodzaju Warburgera czy Burger Baru w Warszawie lub Love Krove w Krakowie.



5. Psi Włos. Nazwa tego drinka wywodzi się z elzbietańskiej Anglii. Zgodnie z ludową tradycją, ranę po ugryzieniu psa należało natrzeć jego sierścią, aby w ten sposób uchronić się przed wścieklizną. Trochę alkoholu z rana miałoby na podobnej zasadzie zniwelować skutki jego nadużycia dzień wcześniej. To przecież nic innego jak nasze swojskie „klin klinem”, tyle że skonkretyzowane w formie szota pod tytułem Hair of the Dog. Na dobrą sprawę można go też zamówić wieczorem w barze, razem z całym „psem”. Składniki: – 15 ml tequili, 15 ml irlandzkiej whisky, 7,5 ml tabasco, sól. Instrukcja obsługi: wlej składniki do kieliszka, oprósz solą. Wypij jednym haustem.



6. Sekretna mikstura pana Jeevesa. W jej skład wchodzi: surowe jajko, 7,5 ml sosu Worcestershire, 7,5 ml tabasco. Należy wszystko wymieszać i wypić za jednym zamachem. Pan Jeeves to błyskotliwy kamerdyner pojawiający się w opowiadaniach P.G. Wodehouse’a. To ucieleśnienie angielskiego dżentelmena, który pomoże ci w elegancki i dystyngowany sposób rozwiązać każdy problem. Polecamy Stephena Frya w roli Jeevesa w ekranizacji opowiadań w serialu „Jeeves and Wooster”. Niejakiego Woostera gra późniejszy doktor House, Hugh Laurie.



MAREK PIELACH

Na kłopoty: kosmici, iPhone i wielka bazooka

Od czasu, kiedy we wrześniu 2008 r. pracownicy Lehman Brothers spakowali kartony i opuścili siedzibę banku, co było symbolicznym początkiem kryzysu, **nie ma dnia, aby ktoś nie ogłosił genialnego pomysłu** na rozwiązanie problemów światowej gospodarki. Przyjrzelśmy się najciekawszym z nich.

Gdybyśmy odkryli, że kosmici planują nas zaatakować i potrzebujemy ogromnego rozwoju, aby odpowiedzieć na zagrożenie obcych, inflacja i deficyty budżetowe zeszyłyby na drugi plan, a zapasć skończyłaby się w ciągu 18 miesięcy – taką diagnozę przedstawił w sierpniu 2011 r. na antenie CNN noblista prof. Paul Krugman. Prowadzącego na chwilę zatkało, ale drugi gość, prof. Kenneth Rogoff, ekonomista z Uniwersytetu Harvarda, podchwycił temat i pytał, czy Krugman ma na myśli manipulację podobną do „Wojny światów” Orsona Wellesa. Krugman, publicysta „New York Timesa”, odpowiedział, że faktycznie można upożyczyć atak kosmitów, aby rządy zaczęły w końcu wydawać pieniądze.

Oszczędzać czy wydawać?

To chyba najlepszy dowód na to, że nikt nie wie, jak posprzątać bajzel, który symbolicznie zaczął się we wrześniu 2008 r., a którego końca wciąż nie widać. Nie wiedzą tego politycy, którzy ociągają się z decyzjami. Nie wiedzą ekonomiści, bo ekonomia jest nauką społeczną i na równych prawach funkcjonują w niej twierdzenia, że musimy się teraz oddłużać,

i te nakazujące jeszcze większe zadłużanie. Nie wiedzą tego w końcu dziennikarze, którzy pytają o recepty i jednych, i drugih. Czasem jednak czyjaś nieokrępowana wyobraźnia podsunie rozwiązanie na tyle barwne, że nadaje się przynajmniej jako świetny temat do rozmów przy piwie.

Można tylko żałować, że Paul Krugman ma coraz mniej oryginalne pomysły.

Zamiast nawoływać cały świat pracujący do roboty, ramię w ramię, nad oparciem kosmicznej apokalipsy, ograniczył się ostatnio do zachwalania iPhone'a 5. Tak, jego zdaniem najnowszy telefon giganta z Cupertino może nas uratować. „Prognoza JP Morgan o tym, że iPhone 5 od razu ożywi gospodarkę, opiera się na tym, że ludzie będą więcej wydawać” – pisał ostatnio Krugman, na-

wiązując do głośnych szacunków tego amerykańskiego banku inwestycyjnego. Zdaniem publicysty pojawienie się nowego telefonu Apple może zwiększyć PKB Stanów Zjednoczonych od 0,25 do 0,5 proc. „Żeby uwierzyć, że więcej wydatków da impuls gospodarce, trzeba też wierzyć, że to popyt, a nie zapasy, jest tym, co ją rozkręca” – triumfował Krugman. I dodawał, że wysokie bezrobocie w Ameryce nie wzięło się stąd, że ludzie nie chcą pracować, ani z tego, że nie posiadają odpowiednich umiejętności. Chodzi o to, że pracodawcy nie zatrudniają, bo nie mogą im sprzedać takiej liczby swoich produktów, która usprawiedliwiałaby zwiększenie za-

trudnienia. Rozwiązanie? Znaleźć sposób, aby zwiększyć ogólne wydatki, tak aby naród wrócił do pracy.

Na pierwszy rzut oka ma to sens. Apple wypuszcza na rynek nowego iPhone'a i pół świata od razu chwyta za portfele. Najpierw kupując telefony, a potem ładowarki i głośniki, bo w międzyczasie okazuje się, że „piątka” ma nowe gniazdo niekompatybilne z żadnym z dotych-

czas sprzedanych akcesoriów. Sklepy Apple przeżywa więc obłęd i może nawet zatrudniać kogoś na czas określony, żeby obsługiwać nowe zamówienia. Problem w tym, że nawet „nadgryzione jabłko” nie jest w stanie wypuszczać nowego gadżetu co miesiąc, aby te chwilowe miejsca pracy utrzymać. Co więcej, na takim zagranium najwięcej zyskaliby pracownicy w Chinach, którzy systematycznie żądają wyższych stawek za składanie najbardziej pożądanego smartfonów. Stymulacja popytu za pomocą iPhone'a dałaby zatem miejsca pracy na jakieś dwa miesiące dla garstki Amerykanów i zapewniłaby mniej głodowe stawki kilkudziesięciu tysiącom Chińczyków. Sprawiałaby także, że Apple nie wiedziałaby, co zrobić z – powiedzmy – 200 mld dol. w gotówce, a nie 124 mld, które zarobił już dziś. Kryzysu w Stanach Zjednoczonych na pewno by to jednak nie zakończyło.

Pewnie dlatego Krugman przytomnie postuluje, aby stymulacji gospodarki nie dokonywały korporacje, które nie wiedzą nawet, na co przepuścić góry gotówki, ale niezastąpiony rząd amerykański. Wyobraźmy sobie zatem, że rząd kupuje każdemu iPhone'a. Znów niewiele by to pomogło. Zwiększyłoby też i tak naciągnięty do granic limit zadłużenia państwa. Może zatem rząd kupi smartfony urzędnikom? To także nie ma sensu, bo „pasjans” był też serijnie instalowany w starych telefonach z Windowsem, a kryzys i tak wybuchł.

A mówiąc poważnie, Krugman ma raczej na myśli rządowe inwestycje w infrastrukturę i edukację, swoistą powtórkę z „New Dealu” lat 30. XX w. Zwolennicy tamtych działań powtarzają, że nawet jeśli jeden robotnik kopie dziurę, a drugi ją zakopuje, i tak ma to sens, bo obaj dostają pensję, którą później wydają u sklepikarza. Ten natomiast

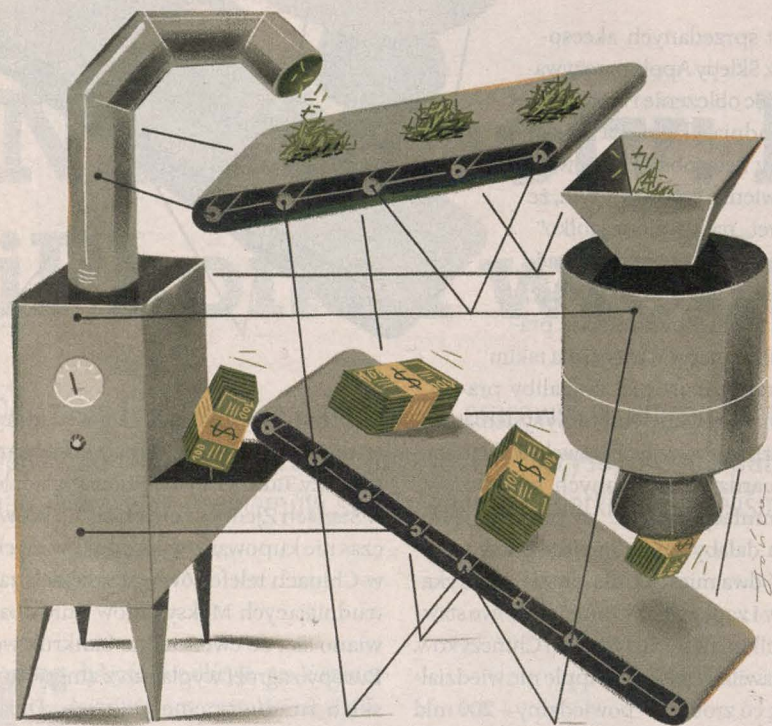
zapłaci nią swojemu dostawcy, który wyda ją w fabryce itd., aż cała gospodarka ruszy. Tak to przynajmniej wyglądało w Stanach Zjednoczonych lat 30. Wówczas nie kupowano wyprodukowanych w Chinach telefonów w marketach zatrudniających Meksykanów i nie obawiano się, że ewentualne bankructwo Europy zagrozi wypłatom z amerykańskich funduszy emerytalnych. Działo się to w świecie, w którym globalizacja była zawieszona na kolek, pomiędzy jedną a drugą wojną światową.

Era zadłużania

Dlatego zasadne jest pytanie, czy takie rozwiązanie – sztuczne napędzanie popytu – zadziałałoby dzisiaj. Czy kryzys, który w obecnej fazie powiększa nieustannie zadłużenie rządów, da się rozwiązać za pomocą kolejnych pożyczek? Według danych Agencji Reutera z początku roku Stany Zjednoczone były zadłużone na równowartość 11,5 bln euro (11 500 000 000 000 – ten sposób zapisu robi chyba większe wrażenie), Japonia na 9,1 bln, Niemcy na 1,8 bln, Francja i Wielka Brytania po 1,6 bln, a Włochy na 1,59 bln euro. To rezultat kryzysu, ale także jedna z jego przyczyn. Rządy w niemal wszystkich rozwiniętych państwach, co najmniej od wczesnych lat 80. XX w., zachowywały się jak zakupoholik, który stare karty kredytowe spłaca nowymi. Oczywiście nie chodziło o kolejne buty ani plazmowe telewizory. Rządy kupowały nas, wyborców, obiecując, że przedszkola, szkoły i służba zdrowia będą darmowe, emerytury wysokie, a pensje będą rosły szybciej od inflacji. Wraz



RYSUNKI PAWEŁ JONCA/WWW.ILO.PL



ze starzeniem się społeczeństw spełnienie tych obietnic kosztowało jednak coraz więcej i góra emitowanych obligacji rosła.

Z roku na rok rosły też budżety, a państwo odpowiadało za coraz więcej, powoli spychając sektor prywatny na dalszy plan. Skutkiem ubocznym ery zadłużania było powstanie w Europie banków, których bilanse często przekraczały PKB krajów, w których miały siedzibę. Politycy wspierali powstawanie „narodowych czempionów” także dlatego, że szefowie takich banków, mając do wyboru udzielenie kredytu małej innowacyjnej firmie albo kupno rządowych obligacji, zawsze wybierali to drugie. W ten sposób dług rządu stał się w pewnym momencie długiem banków, który znowu musiał stać się długiem rządu, aż w końcu spadł na barki podatników. Dziś widać, że greckie obligacje były warte tyle, co instrumenty inwestycyjne oparte na amerykańskich hipotekach, i nie ma rady – trzeba tę długą spłacać i ratować całe państwa przed atakami spekulantów, którzy chcą zarabiać na ich problemach.

Rządy nie mogły rzucić więcej pieniędzy na stół, żeby ich odstraszyć, ale na szczęście swoim helikopterem nadleciał szef amerykańskiej Rezerwy Federalnej (Fed) Ben Bernanke. Ksywka Helikopter Ben wzięła się z jego przemówienia z 2002 r., w którym powołując się na noblistę Milтона Friedmana, powiedział, że w przypadku deflacji (czyli ograniczenia podaży pieniądza) gotówkę powinno się zrzucić nawet z helikopterów. O ile w przypadku pierwszych dni po upadku Lehman Brothers kreowanie pieniędzy przez bank centralny nie budziło wielkiego sprzeciwu, bo faktycznie nikt sobie nie ufał i cały rynek zamarł, o tyle uczynienie z tego stałej polityki wciąż jest kontrowersyjne. Trzy rundy luzowania ilościowego (ang. quantitative easing), czyli w uproszczeniu dopisywania wirtualnych kwot, za które kupowane są obligacje, pochłonęło ponad 2,3 bln dol. Zwiększyło to niewątpliwie podaż pieniądza, ale banki nie wydały go na masowe udzielanie kredytów firmom i rozruszanie gospodarki. Zaczęły grać na akcjach i surowcach, podbija-

jąc ich ceny, następnie zaś odpuszczając, żeby znowu je podbić.

Czas pokaże, czy kreowanie pieniędzy było słuszne. Monetaryści uważają, że Ben Bernanke zbyt poważnie potraktował słowa Friedmana o zrzucaniu pieniędzy z helikoptera. Milton Friedman miał wtedy po prostu... żartować. Niestety nie dowiemy się, czy polityka najpotężniejszego banku centralnego świata oparta jest na żarcie, bo autor helikopterowego porównania zmarł w 2006 r. Dziś szczytem lansu wśród ekonomistów jest jednak wygłaszanie zdań w rodzaju: „Rozmawiałem kiedyś z Miltonem w windzie i powiedział mi, że Fed popełnił błąd, nie reagując w czasie wielkiego kryzysu”.

Pomysły z windy

Faktem jest jednak, że to banki centralne na całym świecie ratują dziś gospodarkę i bez ich interwencji sytuacja byłaby dużo gorsza. Niepokój budzić może tylko skala tego działania. Niemiecki tygodnik „Der Spiegel” policzył, że bilanse Fed, Europejskiego Banku Centralnego, Banku Japonii oraz Banku Anglii urosły łącznie aż do 9,4 bln dol. Sceptycy mówią, że to jak duża dawka morfiny, która uśmierza ból i daje czas na leczenie. Problem w tym, że lekarze, którymi w tym wypadku są politycy, nie robią nic. Nie dlatego, że nie wiedzą co dalej. Mają przecież na biurkach plany działania. Nie wiedzą tylko, jak je wprowadzić w życie i nie przegrać potem wyborów.

Małe ćwiczenie z wyobraźni. Czyrealna jest scenka, w której kanclerz Angela Merkel mówi do swoich rodaków: „To niemiecki eksport najczęściej skorzystał na wprowadzaniu euro i teraz musimy ten projekt ratować. Od dziś koniec z oszczędzaniem – każdy ma pojechać na wakacje do Grecji, nie brać przenośnych lodówek, a w drodze powrotnej kupić fiata punto”. Albo z drugiej strony – grecki premier ogłaszający, że jego rodacy dopóty będą zarabiać góra 300 euro na głowę, dopóki nie wymyślą czegoś, co można eksportować oprócz sera feta. Oczywiście to przerysowanie, ale

Paul Krugman, publicysta „New York Timesa”, przekonuje, że na kryzys pomógłby atak kosmitów, a Ben Bernanke, szef Rezerwy Federalnej, dodaje, że w czasach deflacji gotówkę powinno się zrzucić nawet z helikopterów.

tylko niewielkie. Przecież to niemieckie tabloidy jako pierwsze podrzuciły pomysł przejęcia w zamian za długi greckich wysp albo wybudowania tam paneli słonecznych, aby otrzymać w ten sposób darmowy prąd. Kiedy Grecy zareagowali niezbyt entuzjastycznie, powstał pomysł dotacji na wczasy w ich kraju.

Nie dziwnego, że Unia Europejska trzeszczy w szwach. I w tych warunkach próbuje ucieczki do przodu. „Musimy porzucić zasadę »business as usual« i zabrać się za wcielenie w życie strategii »business of future«” – mówił we wrześniu przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso w wystąpieniu, w którym zaproponował stworzenie czegoś na kształt Stanów Zjednoczonych Europy. – Nie bójmy się tych słów: musimy dążyć do federacji państw narodowych. To jest nasz polityczny horyzont – mówił. Przypomniała mi się wtedy cztery miesiące wcześniejsza okładka brytyjskiego

tygodnika „The Economist”, na której czołowy tekst o Unii Europejskiej zilustrowany był znakiem drogowym z dwiema tablicami. Lewa wskazywała kierunek do miejscowości Rozpad, prawa do Superpaństwa. Oczywiście pomysły wspólnego Ministerstwa Finansów, unijnego budżetu albo unii bankowej są jakimś rozwiązaniem, ale niezmiernie trudno będzie namówić do zrzeczenia się części suwerenności aż 27 państw w rozsądnym czasie.

Pilniejszym problemem jest – jak się wydaje – nieuniknione bankructwo europejskiego modelu socjalnego. Unia Europejska to dziś 10 proc. populacji świata, 25 proc. globalnej produkcji, ale aż 50 proc. światowych wydatków socjalnych. Rozmaite fundusze skupujące obligacje krajów strefy euro zdają sobie z tego sprawę i pewnie prędzej czy później podejmą próbę sił nawet z Europejskim Bankiem Centralnym. EBC zależy na tym, żeby

kraje obrzeża strefy euro mogły pożyczać odpowiednio tanio. Drugiej stronie chodzi o to, żeby ryzyko pożyczania południowym peryferiom eurolandu było szczerze wliczone w ceny obligacji. Amunicją, którą mają obie strony, są oczywiście pieniądze, po stronie rządów to tzw. wielka bazooka. Chodzi o zgromadzenie takiej ilości gotówki, która pozwoli bądź to odstraszyć spekulantów, bądź obyc się częściowo bez ich pieniędzy. Nouriel Roubini, ekonomista znany ze swoich apokaliptycznych prognoz, jeszcze przed ostatnimi działaniami EBC szacował, że Europie potrzeba od 2 do 3 bln euro, i dodawał, że kryzys w strefie potrwa jeszcze 20 lat. Angela Merkel nie podała tak dokładnej sumy, ale mówiła niedawno, że problemy gospodarcze potrwają minimum pięć lat. Oczywiście pierwsza z tych postaci zarabia na swoim pesymizmie, druga prezentuje urzędowy optymizm. Prawda leży gdzieś pośrodku – czeka nas co najmniej dekada mozolnego oszczędzania i oddłużania i ani kosmici, ani iPhone'y, ani kolonizacja Grecji przez Niemców nam w tym nie pomogą. ☹

Autor jest dziennikarzem portalu Obserwatorfinansowy.pl

Jeszcze więcej historii na historia.rp.pl i historia.uwazamrze.pl

ebooki historyczne „Rzeczpospolitej”



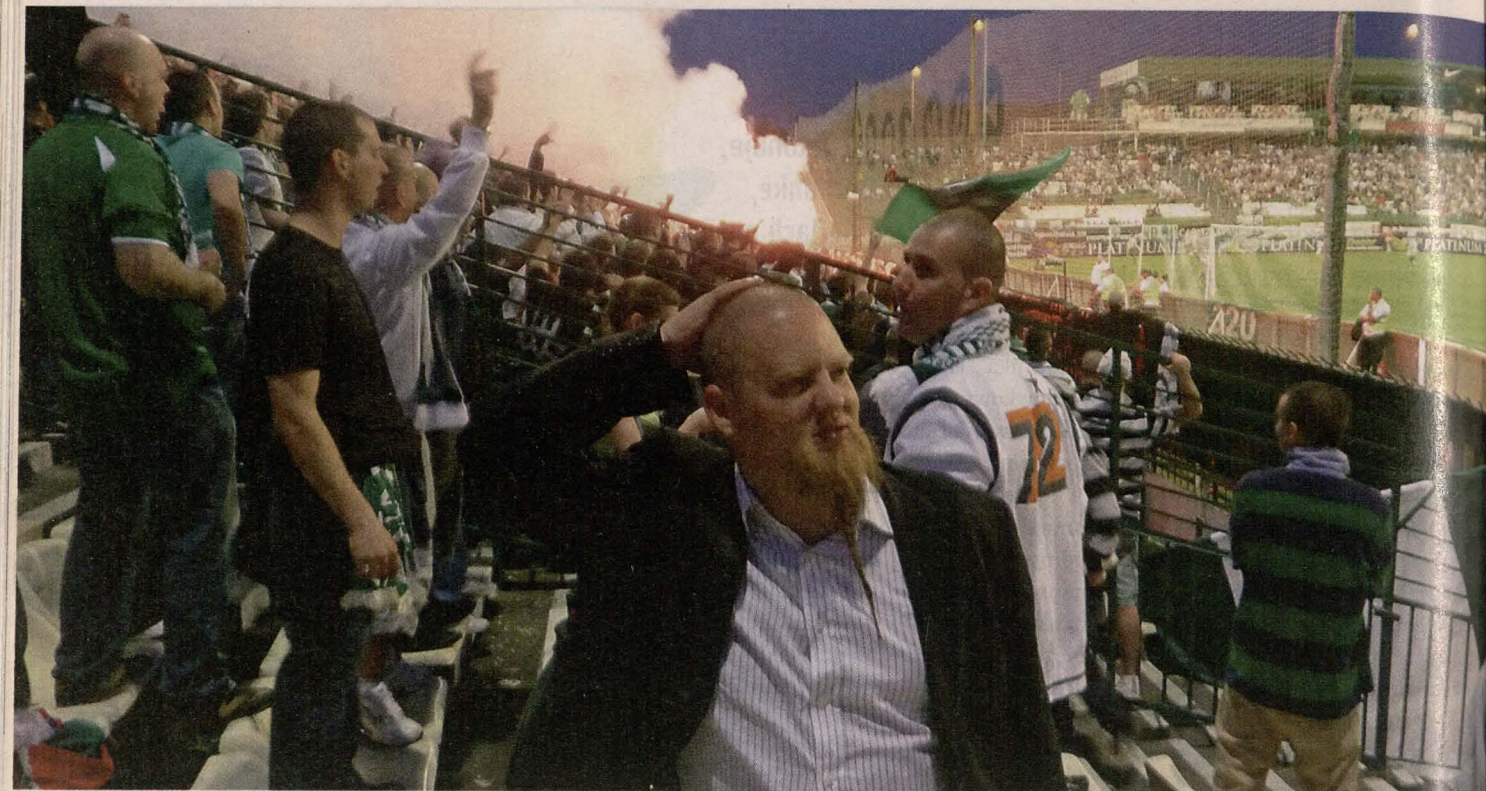
Pobierz e-booki historyczne „Rzeczpospolitej” na rp.pl/ebooki

Zagłada elit

Zbrodnia katyńska stanowi najbardziej krwawy i ohydny przykład niszczenia inteligencji polskiej podczas II wojny światowej – ale przecież niejedyny ani nie pierwszy. Zagłady naszych elit dokonywali od pierwszych dni najazdu na Polskę Niemcy, a Sowieci przyłączyli się do dzieła od razu po 17 września 1939 roku...



RZECZPOSPOLITA



URSZULA SZEWCZYK

W podróży za piłką

O takich fanach marzy każda drużyna: fanatycznie oddani, wyłożą ostatni grosz na bilet, pojadą na koniec świata i nie narozrabiają. **Groundhoppersi to kibice niemal idealni.** Ich największa wada? Nie mają zespołu, na punkcie którego szaleją. Bo bardziej niż jakąkolwiek drużynę, kochają futbol. I wszystko, co się wokół niego kręci.

Radosław Rzeźnikiewicz, dla przyjaciół Rzeźnik, przejeżdża tysiące kilometrów, żeby obejrzeć mecze w najbardziej zapadłych miejscowościach. Widział w akcji Inter Mediolan czy Real Madryt, ale też zespoły z szóstej ligi greckiej, piątej czeskiej czy trzeciej rumuńskiej. Jakies 400 spotkań w 36 krajach. To właśnie istota groundhoppingu: zobaczyć jak największej liczbie stadionów. Rzeźnik ma własną definicję. – To koczowniczy tryb życia, którego celem jest zaspokojenie podstawowych i prymitywnych potrzeb, jakimi jest oglądanie spotkań piłkarskich – wyjaśnia.

Spotykamy się w knajpie, w której trudno nie zwrócić na niego uwagi: dłu-

ga, ruda broda zapleciona w warkocz to jego znak rozpoznawczy. Całoci dopinają krótko ostrzyżone włosy i dumnie przeżęcają się brzuch. Groundhoppingiem zaraził się zwyczajnie – kiedyś przed urodzinami znajomi naciskali, żeby zorganizował imprezę, na co nie miał najmniejszej ochoty, więc postanowił zwinąć.

– Kupiłem bilet do Sarajewa, bo akurat był najtańszy – wspomina Rzeźnik. – Sprawdziłem, że akurat grają tam mecz, ktoś mi powiedział, że atmosfera jest świetna, więc postanowiłem to sprawdzić. Wcześniej słyszałem, że istnieje coś takiego jak groundhopping, ale kiedy dowiedziałem się, jak często groundhopperzy jeżdżą i ile wydają

kasy, stwierdziłem, że lepiej się w to nie wkręcać. Ale po tym wyjeździe wkręciłem się na dobre. Muszę jednak przyznać, że już 15–17 lat temu zdarzało mi się odłączać od wycieczek po to, żeby zobaczyć mecz albo stadion. W Brukseli zrezygnowałem z oglądania Atomium, przeskoczyłem przez płot, by zobaczyć stadion Heysel. W Londynie, gdy wszyscy zwiedzali galerię Tate, pojechałem na mecz Chelsea. Skłonności do bycia groundhopperem były więc zauważalne już dużo wcześniej.

Rzeźnika nie interesuje zwykle oglądanie meczów. Wyszukuje te najoryginalniejsze, na które mało kto nie chce pójść. Kiedyś wybrał się do Belgradu

na mecz derbowy czwartej ligi. Z lotniska pojechał na stadion taksówką, a gdy dojechał na miejsce, okazało się, że na trybunach jest 15 osób.

Rzeźnikiewicz przyznaje, że znająmi czasem się z niego śmieją, ale takie wyjazdy to prawdziwa kopalnia historii, na podstawie których można by napisać książkę. – Dzięki nim wiem, że w Armenii nie ma porywającego dopingu ani biletów na mecz, liga jest średnio popularna, a żeby przyciągnąć jakichkolwiek kibiców, na plakatach są panie topless – mówi.

Folklor jest naważniejszy

Ale groundhopping to nie tylko oglądanie meczów. Przygoda rozpoczyna się, gdy ruszasz w podróż. Żeby zobaczyć spotkanie Polska – Belgia w Chorzowie, Rzeźnik podczepił się pod grupę organizującą na Allegro wyjazd busem. Z Warszawy zabrał się z kibicami Legii, a w Sochaczewie dosiadła się kolejna grupa, która też miała być kibicami warszawskiej drużyny. Po degustacji alkoholu warszawiacy zaczęli śpiewać przyśpiewki ukochanej drużyny, a przód zamilkł. Dosiadająca się grupa okazała się kibicami Widzewa. Podróż przedłużyła się o kilka godzin, bo kierowca co chwile musiał się zatrzymywać. Powód jest oczywisty: kibice zwaśnionych stron potrzebowali trochę czasu, żeby zgodzić się z tym, że jadą na mecz reprezentacji, więc animozje klubowe powinni odłożyć na bok. Ostatecznie udało im się dotrzeć. Spotkania nie obejrzał jedynie organizator wyjazdu. Wzmrożona konsumpcja sprawiła, że zasnął w busie.

Miejscowy folklor i chęć zobaczenia czegoś wyjątkowego są tym, co groundhopperów kręci najbardziej, dlatego Rzeźnik na mecz odbywający się na stadionie Rządza Stare Załubice w okolicach Zalewu Żegrzyńskiego jechał nie tylko, żeby obejrzeć rozgrywkę, ale również żeby sprawdzić, czy na stadionie nadal będą pasły się krowy, które kiedyś tam widział.

– Jedna zaczęła się dobierać do chorągiewki – wspomina Rzeźnik. – Podszedł do mnie sędzia, a ja pomyślałem, że mnie opieprzy, bo stoję za blisko bo-

iska. Ale on rzucił: „Panie, tam fotografuj, ta krowa zaraz chorągiewki zje”. Po meczu miejscowi cieszyli się z obecności fotoreportera.

Zdjęcie pasącej się przy boisku krowy ozdabia stronę Kartoffliska.pl. Podobnie jak większość groundhopperów Radosław Rzeźnikiewicz prowadzi internetowy pamiętnik, w którym opisuje przygody z wyjazdów. Poleca też strony innych fanów turystyki stadionowej i dzieli się informacjami na temat meczów. To ułatwia groundhopperom planowanie wyjazdów. Rzeźnik robi to z dużym wyprzedzeniem. W styczniu rezerwuje bilety lotnicze na najbliższy rok. Ale nie wszystko da się przewidzieć. Kto by pomyślał, że dopiero pod stadionem Rapidu Bukareszt okaże się, że z powodu wcześniejszych zamieszek na mecz wpuszczają wyłącznie kobiety z dziećmi. Albo że derbowe spotkanie drużyny Steaua Bukareszt nie odbędzie się, bo cała meczowa kolejka została przełożona na później.

Oprócz wyczekiwanych wypadów zdarzają mu się też bardziej spontaniczne akcje. Na przykład zaliczenie czterech meczów w czterech krajach w 48 godzin. Odhaczone: Austria, Słowacja, Czechy i Węgry.

– W Polsce jest kilkudziesięciu groundhopperów, którzy jeżdżą po świecie – mówi Rzeźnik. – Ale żeby być groun-

Arkadiusz Sobala na stadionie PGE Arena w Gdańsku. Na poprzedniej stronie Radosław Rzeźnikiewicz.



dhopperem, można też oglądać spotkania rozgrywane w okolicy.

Podłuchując trenera

Arkadiusz Sobala ze Śląska Cieszyńskiego ma 29 lat. Od poniedziałku do piątku zajmuje się pracą biurową. Jego weekend wypełniony jest oglądaniem piłkarskich rozgrywek, dlatego może pochwalić się 450 zaliczonymi meczami w trzech krajach, na które jeździ od 1998 r. Ma też inne rekordy – na przykład osiem meczów w ciągu jednego weekendu, którymi chwali się na blogu Myfootballmoments.blogspot.com.

– Nie chodzi o dorobek, tylko o dobrą zabawę – przekonuje Sobala. – Nie jest sztuką pojechać na Camp Nou, chociaż tam akurat chciałbym dotrzeć, sztuką jest obejrzeć mecz trzeciej ligi hiszpańskiej.

Sobala wie, czego się może spodziewać podczas rozgrywek niższych lig, zwłaszcza polskich. Zazwyczaj kopani-ny, ale to dla niego nie problem. Są inne walory, np. podłuchiwanie zabawnych komentarzy trenerów i piłkarzy. W średnich ligach pociąga Arka klimat starych stadionów, a na meczach pierwszoligowych drużyn największe wrażenie robią oprawa, sztuczne światło i tłumy kibiców.

Piłkarskiego bakcyła połknął w wieku dziewięciu lat, kiedy ojciec zabrał go na mecz Spójni Zembrzydowice. Kiedy przejeżdżał mu się mecze okolicznych klubów, zainteresował się zespołami z niższych lig z okolicznych okręgów. – Miło wspominać pierwszy mecz przy sztucznym świetle, i to na Stadionie Śląskim, przeciwko wielkiemu Interowi! Pierwsza wizyta na stadionie Legii też była wyjątkowa. Decybele starej Żyłyty zrobiły swoje. Gdy siedziałem po przeciwnej stronie, aż przechodziły ciarki.

A rozczarowania? Wciąż czkawka odbija mu się mecz Paris Saint Germain z Olympique Gymnaste Club Nice, który miał obejrzeć w 2010 r. Podczas wycieczki po Europie chciał skorzystać z niepowtarzalnej okazji: kolejnym po Barcelonie przystankiem był Paryż, namówił więc przewodnika i kolegów na mecz.

– Kilka godzin przed spotkaniem, 100 km przed Paryżem, zepsuł się autobus i nie zdążyliśmy – opowiada Sobala. – Od tego czasu stawiam na zwiedzanie we własnym zakresie.

Jednym z najmłodszych polskich groundhopperów jest 18-letni Szymon Beniuk z Wrocławia, prowadzący witrynę Natrybunie.blogspot.com.

Kibicujący z wielbładami

– Turystykę mam w genach po rodzicach. Ale groundhopping pozwala mi poznać uroki danego miejsca od strony zachowań lokalnych społeczności, kiedy robią to, co kochają, czyli oglądają i dopingują swój zespół – tłumaczy Beniuk. I dodaje: – Na przykład wokół niewielkiego stadionu w praskiej dzielnicy Žižkov panuje biesiadny klimat, rozdawione są ławy i stoły oraz stoiska pełne kiełbas czy chleba z cebulą. Nawet toaleta z walającymi się po podłodze beczkami po Gambirinusie to kolejny element miejscowego folkloru.

Takim folklorem jest też często kupowanie biletów. Wejściówki na mecz jednej z portugalskich drużyn Beniuk nabył przez stadionową szparę. Bardziej przypominało to scenę wydawania posiłków więźniom w amerykańskich filmach niż sprzedaż biletów. – W Stambule przed meczem drugoligowej drużyny sporo się z kolegą napracowaliśmy z planem stadionu Recep Tayyip Erdoğan Stadium. Wszystko po to, by nie kupić biletów na trybunę najzagorzalszych kibiców Kasimpasa – opowiada Beniuk. – Wydedukowaliśmy, że „młyn” na pewno nie mieści się obok sektora VIP. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy znaleźliśmy się w samym centrum rozrób i podziwialiśmy uniki sędziów, nie zawsze udane, przed różnymi przedmiotami leżącymi z naszej trybuny. Na murawie wylądowało nawet krzeselko, a to wszystko przy melodyjnych śpiewach i radosnej zabawie.

Z kolei przed meczem w Sarajewie zamiast zwykłych biletów przez pomyłkę kupił bilety do loży VIP-owskiej. Na stadion wszedł po czerwonym dywa-



WWW.NATRYBUNIE.BLOGSPOT.COM

nie, ubrany w bluzę z kapturem. Równie zaskoczony jak panowie w garniturach przedstawiał się jako delegat z Polski.

– Najfajniejsze, choć może w tym przypadku to złe słowo, są lokalne koloryty. Obiekt Ślęzy Wrocław znajduje się przy zoo, dlatego podczas meczów często zalatuje zwierzęcymi zapachami – śmieje się Szymon. I ciągnie: – W węgierskim Siófoku oglądaliśmy część spotkania z toalety, ponieważ – jak większość kibiców – musieliśmy skapitulować przed silną burzą. Za to w Palmie w klimatycznym obiekcie podziwiałem w samo południe grę piłkarzy w 37 st. C.

Jak trafić do Księgi Guinnessa

Może za sprawą Euro nad Wisłą powiało wielkim, piłkarskim światem, a bycie kibicem stało się tak modne jak siedzenie z lamskim laptopem w Starbucksie. Jednak jeżdżenie na mecze zagranicznej piątej ligi nadal wydaje się w Polsce dość egzotyczne. Tymczasem za granicą ta forma turystyki jest bardzo popularna od wielu już lat. W Anglii pojęcie groundhoppingu powstało w 1978 r.

18-letni Szymon Beniuk z Wrocławia jest jednym z najmłodszych w Polsce groundhopperów. O swojej pasji opowiada pod adresem Natrybunie.blogspot.com

Wówczas powstał Klub 92, który złożyło 39 fanów piłki nożnej. Dziś liczy on 1200 członków, w tym 800 aktywnych. Żeby należeć do klubu, trzeba zobaczyć mecze na 92 stadionach Football lub Premier League, co często wiąże się z drobnymi problemami, ponieważ kluby nieradko zmieniają stadiony, przez co listę trzeba stale aktualizować. Liczą się wszystkie pierwszoligowe mecze, a ci, którzy dopingują jedną drużynę i zwiedzili z nią 92 inne stadiony, o prestiżowej klubowej karcie mogą tylko pomarzyć.

W Szkocji natomiast powstał Club 38, którego członkowie oglądali mecze na 38 szkockich stadionach. W Niemczech istnieje Niemiecki Związek Groundhopperów, zrzeszający fanów piłki nożnej, którzy obejrzelili mecze na 300 stadionach w 30 krajach, a także otrzymali rekomendację jednego z klubowiczów (których jest 75). Groundhopping dorobił się już swoich legend, jak należący do Klubu 92 Ken Ferris, który podczas sezonu 1994–1995 odwiedził wszystkie stadiony w ciągu 237 dni, czym zapewnił sobie miejsce w Księdze rekordów Guinnessa.

Nikt dotąd nie ustalił międzynarodowych, oficjalnych zasad groundhoppingu. Nie ma również polskiej organizacji, która zrzeszałaby tych oryginalnych fanów piłki nożnej. Ale jest coś, co ich wszystkich łączy. Żeby jeździć na zagraniczne mecze, trzeba mieć portfel, który nie cierpi na anoreksję. Radosław Rzeźnikiewicz woli nie myśleć, ile pieniędzy wydał na swoje hobby. Nie kupiłby za to mieszkania, ale przyznaje, że dobry samochód już tak. Weekendowy zagraniczny wyjazd kosztuje go średnio 1500 zł. Na tej pasji grzechem jest jednak oszczędzać.

– W poprzednim sezonie (czerwiec 2010 – lipiec 2011 – przyp. red.) byłem na 163 meczach w 14 krajach – mówi. Po chwili zastanowienia dodaje: – Stwierdziłem, że w kolejnym sezonie przyhamuję, bo to przegięcie, ale zakończyłem go z wynikiem 163 meczów w 16 krajach. Jestem mało konsekwentny.

Trzymaj palec na pulsie



Uważam Rze – magazyn pełen ciekawej publicystyki, zaskakujących wywiadów oraz niezależnego spojrzenia na polskie sprawy.

Zamów już dziś na App Store lub w Google Play.



Available on the App Store



Google play

URSZULA HOLLANEK

Kurna chata wraca do łask

Dzisiejsze **domy z gliny, słomy i drewna** nie przypominają lepianek. Są bezpieczne i trwałe, komfortowe i fantastycznie tanie do postawienia. A do tego ich budowa kosztuje grosze i można je postawić samemu.

W domu Sebastiana Romatowskiego sąsiedzi się trochę podśmiewują. „Myszy ci go zjedzą, zanim skończysz” – gadają. Ale on tylko wrusza ramionami. Pod koniec czerwca wraz z ojcem, bratem i znajomymi rozpoczął budowę gliniano-słomianego domu. Pracowali po 12 godzin na dobę. Łatwo nie było, bo w lecie sporo padało i słoma robiła się mokra. Ale po czterech miesiącach budynek został podpiwniczony. Na wiosnę ma stanąć drewniany szkielet, a zaraz potem – dach. O materiały budowlane Sebastian martwić się nie musi, bo tam, gdzie mieszka, nie brakuje słomy, kamieni i gliny. Dom Romatowskich będzie miał 350 mkw. i znajdą się w nim pokoje gościnne, bo od wielu lat Sebastian wraz z żoną marzyli o gospodarstwie agroturystycznym. Koncepcję budynku opracowali w najdrobniejszych szczegółach. Wiadomo, że na zewnątrz będzie jasny tynk wapienny, a wewnątrz niekryta glina, z naturalną fakturą, żeby, broń Boże, nie wyszło pod linijkę.

Punktem wyjścia do realizacji tych marzeń okazał się kontakt z Cohabitatem, grupą założoną przez entuzjastów budownictwa naturalnego. Sebastian trafił na nich, szukając inspiracji w Internecie. Skończył rekomendowany przez Cohabitat dwutygodniowy kurs budowania z gliny, ze słomy i z drewna, razem z architektami grupy opracował projekt domu i wziął się do roboty. – W mojej okolicy wszyst-

kie budynki są nijakie. 50 km w jedną stronę widać klimat pięknego Podlasia, 50 km w drugą charakterystyczne poniemieckie gospodarstwa, a wokół mnie wszystko brzydkie – tłumaczy. Postanowili z żoną to zmienić. Po estetyczne natchnienie pojechali do skansenu w Olsztynku i zaraz potem zakasali rękawy. – Samodzielne budowanie to wielka przygoda. Nie powierzyłbym go już teraz zewnętrznym ekipom. Dobrze mieć świadomość, że trzyma się w ręku zdrowy materiał, który pozostanie taki przez cały czas użytkowania, a w razie pożaru człowiek nie zatruje się syfem emitowanym przez PCV czy styropian – dodaje.

Do gotowego domu Sebastian chce zaprosić pierwszych gości w 2014 r. Na razie budowę obserwują przez płot ciekawskie oczy. A wśród gapiów coraz częściej są ludzie tacy jak on – przyjezdni znudzeni życiem w mieście, którzy szukają swojego miejsca bliżej natury.

Entuzjastów naturalnego budowania przybywa w Polsce z roku na rok, choć jeszcze kilka lat temu, kiedy powstał Cohabitat, zainteresowanie takimi metodami budziło raczej szydercze uśmieszki. – Wówczas nawet koledzy na studiach się ze mnie śmia-

li. Dziś organizowany przez nas festiwal budownictwa i designu przyciąga setki osób – chwali się architekt Paweł Sroczyński, twórca ruchu społecznego Cohabitat, organizator łódzkiego festiwalu Cohabitat Gathering. Paweł broni się przed zawężaniem jego działalności do spraw związanych z budowaniem domów z gliny, drewna i ze słomy. Podkreśla, że zależy mu przede wszystkim na stworzeniu silnej społeczności ludzi szanujących ekosystem i żyjących zgodnie z jego zasadami. Kohabitacja oznacza przecież współistnienie.

W poszukiwaniu czegoś więcej

Wszystko zaczęło się od tego, że w programie swoich studiów (na Wydziale Architektury Politechniki Łódzkiej) Paweł nie znalazł tego, „co służyłoby środowisku i człowiekowi”. Serwowano mu za to merkantylne podejście, tłumacząc, że dobre jest tylko to, co wchłonie rynek. – Próbowałem rozmawiać o alternatywnych rozwiązaniach z władzami uczelni, ale efekt był taki, że dobrotliwie klepano mnie po plecach i chwalebno się tego typu inicjatywami wtedy, gdy na wykładzie pojawiały się kamery, a potem, jak trzeba było stawić czoła formalnemu oporowi, całą sprawę szlag trafiał – wspomina.

Ale już wtedy w Polsce zaczęły kiełkować pierwsze ekoinicjatywy. Powstało m.in. Stowarzyszenie Biobudownictwa, do którego Paweł natychmiast się zapisał. To był jego pierwszy poważ-



TOMASZ STANCAK/AG

ny kontakt z zasadami budowania naturalnego i jednocześnie początek prostej drogi do założenia Cohabitatu. Podczas podróży po Polsce Paweł zauważył, że ludzie mają dość bezmyślnego konsumpcjonizmu i szukają czegoś więcej. – Materiał organiczny, który można własnymi rękami pozyskać i obrobić, budzi zaufanie, nadaje sens temu, co się robi, i zwyczajnie sprawia frajdę – opowiada. Żeby więc wyjść do ludzi z ideą gliniano-słomiano-drewnianych domów, Sroczyński wymyślił Cohabitat Gathering Festival. Jego premierowa edycja odbyła się w zeszłym roku w Łodzi. Odwiedziło go wówczas ponad 200 osób. Oprócz uzyskania porad dotyczących wykorzystania materiałów naturalnych, przykładów ze świata i wreszcie – obejrzenia pokazowych domów można było skopiować gotowy projekt budynku lub zamówić inny, według własnego pomysłu.

Następną inicjatywą Cohabitatu były dwutygodniowe warsztaty, podczas których entuzjaści budownictwa naturalnego własnoręcznie postawili gliniano-słomiany budynek o powierzchni 25 mkw. Od fundamentów po dach. Zainteresowanie tegorocznym festi-

walem przeszło jednak oczekiwania nawet samych organizatorów. Do Łodzi przyjechało dwa razy więcej zainteresowanych niż rok wcześniej, a blisko 700 osób śledziło przebieg imprezy w sieci. Zresztą przedsięwzięcie sfinansowano wyłącznie z kieszeni internautów. Na spotkanie Cohabitatu zrzuciło się 600 osób, średnio po 150 zł od głowy. Najwyższa wpłata wynosiła 2,5 tys. zł.

Tanio i zdrowo

Paweł nie ma wprawdzie ambicji, żeby opanować rynek, ale w jego głowie powstał bardzo konkretny plan. Za dwa lata chciałby zbudować mały, prototypowy zespół domków z materiałów naturalnych. W pokazowych obiektach zamieszkać mają ludzie z Cohabitatu. Domy będą też miały tzw. otwartą dokumentację, czyli będzie można bezpłatnie kopiować szczegóły rozwiązań architektonicznych.

Ale budowa domów to nie wszystko. Paweł chce stworzyć społeczność, której przekazałby inny sposób myślenia o urbanistyce. Marzą mu się zespoły mieszkaniowe, a nie pojedyncze domki, w których wiedzie się „pojedyncze życie”. Koniec z deweloperami, którzy

Słomiano-gliniany dom o powierzchni 100 mkw. można już postawić za 20–30 tys. zł. Takie konstrukcje są bardzo trwałe. Dom zbudowany taką technologią we Francji stoi już ponad 80 lat.

myślą jedynie o zysku. – Przecież ludzie mogą samodzielnie decydować o wspólnej przestrzeni, jakości materiałów i wartości ekologicznej budynku. Wraz z powrotem do pierwotnych materiałów chcemy odbudować pierwotne więzi – deklaruje Sroczyński.

Myli się jednak ten, kto myśli, że domy z gliny, ze słomy i z drewna przypominają jedynie lepianki. Ich wygląd nie musi odbiegać od budownictwa tradycyjnego. Za to łatwy dostęp do materiałów, tani transport i możliwość własnoręcznego wykonania wszystkiego od A do Z powodują, że inwestycja staje się ekonomiczna. – Dom o powierzchni 100 mkw. można postawić już za 20–30 tys. zł. Oszczędność dotyczy głównie materiałów. W przypadku standardowej budowy domu murowanego za materiały trzeba będzie zapłacić od 30 do 40 proc. kosztów całości, natomiast w przypadku domu naturalnego będzie to 5–10 proc. wydatków. A ci, którzy nie zdecydują się na samodzielną robotę i powierzą budowę domu fachowcom, zapłacą za 100-metrową powierzchnię około 2,5 tys. zł. za metr w stanie deweloperskim – przekonuje Mariusz Zatylny, architekt i prezes

Kiedy styropianowo-eternitowa polska wieś zamieni się w wielki chemiczny odpad, gliniane domy wrócą do natury.

Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Budownictwa Naturalnego.

Czy więc ten system ma jakieś wady? Budownictwo naturalne z pewnością wymaga od inwestora większej dyscypliny wykonania. Nie można w trakcie budowy szukać oszczędności, zamieniając materiały na gorsze, co często zdarza się na tradycyjnych budowach. Tu wszystko musi być idealnie zgodne z projektem. Od tych, którzy chcą budować sami, wymaga też sporego zaangażowania czasu i energii. Ale wbrew obiegowej opinii tego typu budynki wcale nie są bardziej narażone na działanie ognia i wody. Badania pokazują, że odpowiednio zatynkowana kostka słomy ma ogromną odporność na ogień. Przez pięciocentymetrową warstwę tynku położoną z każdej strony dym przedostaje się dopiero po dwóch godzinach. W przypadku zalania ogromnym ułatwieniem jest to, że można wymienić zawilgocone fragmenty ściany, nie burząc całości. Także trwałość takich budynków nie powinna budzić wątpliwości, bo gliniano-słomiano-drewniany dom zbudowany we Francji w 1921 r. do dziś ma się świetnie. – Nie wszyscy wiedzą, że średnia trwałość domów drewnianych i murowanych jest podobna. Najstarsze użytkowane do teraz budynki z drewna pochodzą przecież z przełomu XII i XIII w. – dodaje Łukasz Kanonowicz, od 20 lat zajmujący się budownictwem drewnianym.

Trwałość to nie wszystko. Podczas procesu produkcji nie powstaje zabójczy dla środowiska dwutlenek węgla. Co więcej, słoma czy drewno zanim staną się budulcem, pochłaniają CO₂ z atmosfery. Jednak choć działalność Cohabitatu jest jak najbardziej proekologiczna, Sroczyński niechętnie posługuje się określeniem „eko”. – Znaczenie tego słowa wyświechtano się za sprawą działań marketingowych wielkich korporacji, a ludziom „ekologiczne” kojarzy się przede wszystkim z papierowymi torebkami w sklepie i wysokimi cenami – tłumaczy. Dlatego Cohabitat odwołuje się do innych skojarzeń. Zasoby naturalne powinny być wykorzystywa-

ne tak, żeby mogły krążyć w ramach cywilizacji w sposób nieskończony. – Współczesna wieś za 60–70 lat stanie się jednym wielkim styropianowo-chemicznym odpadem. Każdy dom nienadający się do zamieszkania trzeba będzie rozebrać i wywieźć na wysypisko. A słoma, drewno i glina wrócą do natury, tworząc obieg zamknięty – wieszczy Paweł.

Anachronizm czy głos przyszłości?

Ojczyzną domów ze słomianych kostek są Stany Zjednoczone. To właśnie tam budownictwo naturalne rozwija się najszybciej. Ale Europa stara się dotrzymać im kroku. W Niemczech i Austrii stawia się domy z materiałów naturalnych od początku lat 80. ubiegłego wieku, Czechy dołączyły 10 lat później, a w Wielkiej Brytanii powstają nawet gliniano-słomiane budynki użyteczności publicznej. Polska jest blisko dekadę do tyłu. Dziś w całym kraju mamy około 30 domów wykonanych z surowców naturalnych i są to wyłącznie indywidualne inwestycje. Deweloperów raczej trudno przekonać do takich technologii. Wciąż brak też architektów, którzy umieliby projektować domy z gliny, ze słomy i z drewna, a uczelnie i instytuty nie prowadzą badań, które pozwoliłyby budownictwu

naturalnemu zyskać odpowiednie certyfikaty oraz wydostać się z niszy. Wszyscy zgodnie zaslaniają się niedoścignionym zainteresowaniem ze strony klientów. – Jeśli będzie zainteresowanie ludzi, to i deweloper się przestawi – tłumaczy Konrad Płochocki z Polskiego Związku Firm Deweloperskich.

Na uczelniach też na razie trudno szukać wsparcia. – Budownictwo naturalne traktowane jest raczej jako anachronizm niż głos przyszłości – przyznaje Dariusz Heim, pracownik naukowy Politechniki Łódzkiej. Sam jednak uważa się za sympatyka naturalnych metod w budownictwie i przyznaje, że chętnie zamieszkałby w takim domu. – Domy ze słomy, z drewna i gliny są zdrowsze. Nie emitują szkodliwych substancji ani podczas produkcji, ani później. A ich mikroklimat jest idealnym miejscem dla człowieka.

Czy więc budownictwo naturalne ma przyszłość? Reni Jusis, piosenkarka i propagatorka zdrowego stylu życia, przekonuje, że tak. – Wielu moich przyjaciół już zdecydowało się na taką inwestycję. To świetna perspektywa dla młodych, bo obecny rynek mieszkaniowy wygląda fatalnie. Sama mam kawalek ziemi za miastem i wierzę, że kiedyś uda mi się skrzyknąć znajomych i postawić całe gliniano-słomiano-drewniane osiedle. ☺

Domy ze słomy, z drewna i gliny są zdrowe, nie emitują szkodliwych substancji ani podczas produkcji, ani później.



Tymon Tymański

Rękawica, piłka i kropidło



FIFA od lat robi nas w hugona, odmawiając reformy sędziowania. Przez opór tej mafii mecze ogląda się tak, jak sfałszowane wybory prezydenckie na Białorusi.

Pewnego dnia trafił mnie szlag. Było to mniej więcej tydzień temu, gdy Bogu ducha winny siedziałem przed telewizorem i ssałem herbatkę ziołową z żeń-szeniem. Albo coś mocniejszego, szczerze mówiąc, nie pamiętam. Pamiętam za to, że oglądałem walkę bokserską pomiędzy mistrzem świata kategorii junior ciężkiej, 28-letnim Marco Huckiem a pretendentem do tytułu, 42-letnim Firatem Arslanem. Nie jestem fanem surowego stylu Hucka, ale muszę przyznać, że facet ma papiery na mistrza świata i potężne „młotki” w obu rękach. W sporym zadziwieniu kontemplowałem emocjonujący pojedynek, w którym Arslan pocwaniacku ukrył się za podwójną gardą i bezkarnie nacierał na bezradnego niemieckiego Bośniaka. Boleśnie przykre i celne podbródkowe co chwilę lądowały na zaskoczonym obliczu Hucka. Przez dobrych sześć rund solidne uderzenia odbierały mu ochotę do walki. Dopiero ostatnie trzy rundy wyglądały na bardziej wyrównane – mistrz usiłował odrabiać straty, ale Arslan zdawał się tym nie przejmować. Wciąż walczył po swojemu i widać było po nim, że jest coraz bardziej pewny wygranej. Jakież było moje zdumienie (ale też zdumienie większości siedzących wokół ringu, którzy, do cholery, widzieli to samo co ja), gdy trzech zagranicznych sędziów zdecydowanie przyznało zwycięstwo Huckowi! Zaprawdę powiadam wam: dawno nie widziałem takiej bokserskiej żenady. Potym, jak minęło mi totalne wkur-wiado-mo-co, przypomniała mi się ostatnia amerykańska walka Manny’ego Pacquiao z Timothyem Bradleyem. Za oceanem, podobnie jak tutaj, bokserskiego auslandera perfidnie obrabowano ze zwycięstwa. „No cóż, tak to już jest” – pomyślałem. Tam, gdzie jest możliwość przytulenia wielkiej kaski, tam od lat rządzi i dzieli sportowa mafia”. Najdoskonalszym przykładem sportowej mafii w formie dyktatorskiego monopolu jest FIFA; w boksie natomiast mamy do czynienia z casusem małych rodzin mafijnych (WBO, WBA, IBF itd.), które dogadują się między sobą. Fakt faktem – niejednokrotnie oglądamy spektakl, podczas którego szczerze kibicujemy komuś, kto nie ma szansy wygrać. Tak sobie mniej więcej pomyślałem, po czym zniesmaczony wyłączyłem telewizor.

Nazajutrz przyszło ukojenie. Znow zasiadłem przed telewizorem i obejrzałem francuski finał Janowicza z Ferrerem. Abstrahując od uczuć dumy i sympatii w związkach eks-

plozją formy młodego Polaka, skupiłem się na czymś zgoła zupełnie innym. I łaskawie się teraz z wami tym podzielę. Voila: we współczesnym tenisie możliwość „ściemy” została ograniczona do minimum. Idzie mi zwłaszcza o sytuację, w której jeden zawodnik podkłada się drugiemu. Same tenisowe pojedynki na szczycie są przyjemnymi dla oka amalgamatami kunsztu rywalizujących i profesjonalizmu oprawy, w której przyszło się im mierzyć. Każde kontrowersyjne zagranie na pograniczu kortu i jego zewnątrz analizuje się w precyzyjnych powtórkach; na większości ważnych kortów zainstalowane jest już sokoło oko, czyli komputerowy system, dzięki któremu tenisiści mogą zamówić powtórkę i po chwili na telebimach mogą sprawdzić, jak było naprawdę. Do tego siatka wyposażona jest w mikrofon, który w przypadku nieczystego serwisu zarejestruje najdelikatniejsze nawet otarcie piłki. Miałem wrażenie, że praca sędziów jest transparentna. I że nie mają oni zamiaru przeszkadzać tenisistom i ich fanom. Niestety, nie da się tego powiedzieć o sędziowaniu w boksie i futbolu. Choć oczywiście nie są temu winni wyłącznie sędziowie, ale bardziej perfidny, mafijny system, który celowo zostawia margines na ludzki błąd. I którym, w razie potrzeby, można do woli manipulować.

Co powstrzymuje mafię? No bo zastanawiam się, kiedy wreszcie (i czy w ogóle) FIFA zgodzi się na podobne rozwiązania jak w tenisie. Na przykład, żeby podczas każdej połowy meczu każdy team miał prawo do piłkarskiego stop-time’u, podczas którego można by przeanalizować kontrowersyjne zagranie w zapisie wideo. Domyślam się, że na gruntowną reformę sędziowania w boksie nie ma szans. Knockout wyklucza wszelkie wątpliwości, kto wygrał; zwycięstwo na punkty opiera się na subiektywnej ocenie sędziego. Na niewiele zdałaby się tutaj elektronika; przecież w rękawicach oraz na ciele bokserów nie ma i nie będzie czujników. Natomiast pieprzona FIFA, zawiadując najbardziej globalnym i widowiskowym ze sportów (jeśli się ze mną zgodzicie), od lat systematycznie odmawia gruntownej reformy. Robiąc nas w hugona jak – nie przymierzając – Kościół katolicki. Amy, nieszczęsne jełopy, siedzimy przed telewizorami, oglądamy to badziewie, niczym kolejne sfałszowane wybory prezydenta Łukaszenki, i pomstujemy, na czym świat stoi. Co nie przeszkadza nam nabierać się na ten sam trick od nowa... ☺

Autor jest kultowym współtwórcą polskiej sceny jassowej. Tworzy dla radia, prasy, netu i szykuje swój debiut filmowy. Dla nas pisze o sporcie.

TOMASZ PANKIEWICZ

Adrenalina prosto z nieba

Poczynania Sandy – poprawione czwartkową burzą śniegową „nor’easter” – śledzili nie tylko naukowcy i zwykli Amerykanie, ale również łowcy burz. Amatorzy zafascynowani meteorologią, którzy podziwiają ekstremalne zjawiska pogodowe, a przy okazji ostrzegają przed nimi lokalną ludność.

Leje jak z cebra. I będzie lało jeszcze bardziej. Jak ustalili naukowcy z US Global Research Program, w ostatnich 60 latach wzrosło natężenie opadów deszczu. Ale nie wszyscy zdają się tym przejmować. Okazuje się, że kalkulacje ryzyka powodzi opracowane przez Federalną Agencję Zarządzania Kryzysowego (FEMA), odpowiedzialną za walkę z klęskami żywiołowymi, oparte są na przestarzałych danych. Te informacje, opublikowane przez „Washington Post” po przejściu Sandy, wywołały lawinę oskarżeń pod adresem administracji USA. Wśród krytyków znaleźli się łowcy burz (storm chasers), pasjonaci ekstremalnej meteorologii. Bo choć ostrzeżenia o nadciągającym kataklizmie pojawiły się na oficjalnych stronach rządowych, wcześniej zostały one opublikowane przez meteorologicznych zapaleńców na ich portalach.

Nietypowa burza...

Sandy była 18. huraganem odnotowanym przez amerykańskich meteorologów w tym roku. I nieźle narozrabiała. W niecałą dobę wywołała spustoszenia w 15 stanach i pozbawiła prądu prawie 5 mln ludzi, niemal całkowicie parali-



ARTUR SUROWIECKI/POLSCY ŁOWCY BURZ/SKYWARN POLSKA

żując Nowy Jork. Zanim dotarła do Stanów, dała się we znaki Kubańczykom (11 zabitych), a zwłaszcza mieszkańcom Haiti, gdzie śmierć poniosły 54 osoby. Ponad 200 tys. pozostało bez dachu nad głową. Dla Haitańczyków był to o tyle dotkliwy cios, że nie uparli się jeszcze ze zniszczeniami, jakich w sierpniu dokonał huragan Isaac. Wówczas domy straciło 400 tys. ludzi. Ponad pół miliona ofiar zaraziło się cholera, która zabrała kilka tysięcy istnień.

– Jak na huragan była dosyć nietypowa – mówi Igor Laskowski, polski storm chaser, specjalizujący się w śledzeniu i analizie tego typu zjawisk. Jak tłumaczy, Sandy była swoistą hybrydą – rdzeń huraganu miał cechy tropikalne, natomiast pole wiatru miało cechy subtropikalne. Gdy Sandy zawitała na radarzy pogodowe Stanów Zjednoczonych, Narodowe Centrum Huraganów (NHC) z siedzibą w Miami zwracało szczególną uwagę na rekordową różnicę między ciśnieniem panującym w oku huraganu

i na zewnątrz. 29 października 2012 r. ciśnienie spadło do 946 hektopaskali, czyli poziomu nienotowanego na tej szerokości geograficznej. Eksperti prognostowali, że tak niskie ciśnienie prawdopodobnie się utrzyma, gdy huragan uderzy w ląd. Dodatkowo Sandy miała się zderzyć z zimnym frontem nadchodzącym z północnego wschodu, co nie sprzyjało osłabieniu siły huraganu.

... nietypowy przebieg

30 października o godz. 20 czasu lokalnego Sandy wdarła się nad wschodnie wybrzeże Ameryki. Siła wiatru wynosiła wówczas 130 km/godz. Do tego doszły bardzo obfite opady deszczu i śniegu oraz podniesiony stan oceanu związany z pełnią Księżyca. Jako pierwsi siłę Sandy odczuli na swojej skórze mieszkańcy New Jersey. Zalane zostało centrum Atlantic City. Po dotarciu nad ląd siła Sandy zaczęła słabnąć i z huraganu pierwszej kategorii w pięciostopniowej skali Saffira-Simpsona przekształciła się w tzw. burzę posttropikalną.

Najbardziej poszkodowanym miastem w USA stał się Nowy Jork. Sztormowa fala wdarła się na dolny Manhattan, a burmistrz Michael Bloomberg nazwał Sandy „sztormem stulecia”. Na Manhattanie około godz. 22 czasu lokalnego bez prądu zostało 250 tys. domów, a w sąsiednim New Jersey – 969 tys. CNN donosił, że – po raz pierwszy w historii – zalane zostało nowojorskie metro. W Battery Park, w dolnej części Manhattanu, odnotowano rekordowe fale – sięgające 3,9 m. Były one najwyższe od 1821 r. Odwołanych zostało 13 tys. lotów. Przystań działająca nowojorska giełda. U wybrzeży Karoliny Północnej zatonął słynny żaglowiec „Bonny”, znajdujący się pechowo na trasie huraganu. Nad wschodnim wybrzeżem Stanów Zjednoczonych zapanowała złowroga ciemność. Straty szacowane są na 20–50 mld dol. Śmierć poniosło około stu osób.

O huraganach i burzach rozmawiamy z zawodowym meteorologiem Dariuszem Baranowskim, a także z rodzinnym łowcą burz Pawłem Cholewą.

Łowca burz: Paweł Cholewa

W Polsce pod egidą światowego stowarzyszenia SKYWARN działa około 40 łowców. To zazwyczaj młodzi ludzie, dla których meteorologia jest wielką przygodą, a inspiracją amerykańscy łowcy burz przedstawieni w programie Discovery. Jednym z nich jest Paweł Cholewa.

Jak zostaje się łowcą burz?

To dziecięca ciekawość i strach przed nieznanym sprawiły, że burze i wszelkie gwałtowne zjawiska pogodowe stały się moją pasją. Miałem chyba 10 lat i przy każdej wielkiej burzy biegłem do okna, byle tylko zobaczyć, jak nadchodzi, jak rozświetla sobie drogę wyładowaniami atmosferycznymi i grzmi

na cały świat. Od tego okna nie można mnie odciągnąć do dzisiaj.

Czym jest Skywarn Polska?

Skywarn jest organizacją światową, która wywodzi się z USA. Głównym celem organizacji jest ostrzeganie i uświadamianie ludziom zagrożeń, jakie niosą gwałtowne zjawiska meteorologiczne. Nasza działalność skupia się przede wszystkim na śledzeniu i wczesnym ostrzeganiu przed burzami, gradem, sporadycznie trąbami powietrznymi. Staramy się wypełniać lukę we wczesnym ostrzeganiu mieszkańców najbardziej zagrożonych terenów, jaką pozostawia IMiGW. Będąc instytucją państwową, ponosi dużą

odpowiedzialność za ogłoszenie ostrzeżenia i w przypadku pomyłki jest zagrożony dotkliwymi konsekwencjami. Stąd zwleka do ostatniej chwili, by mieć stu procentową pewność. My, publikując ostrzeżenia na naszym portalu, nie ponosimy żadnej odpowiedzialności.

Jak złowić burzę?

Kluczem jest model numeryczny – dzięki pracy najnowocześniejszych komputerów możliwe jest przeliczanie różnych parametrów, którymi będzie się charakteryzować atmosfera w danym momencie oraz w danym miejscu świata. Po analizie pogody pozostają obserwacja i śledzenie rada-

rów pogodowych. Kiedy prognoza się sprawdzi i nadciąga burza, wyruszam w teren z aparatem fotograficznym.

Najlepiej jest gonić burzę samochodem, który zapewni przy tym bezpieczeństwo, gdyby się okazało, że burza gwałtownie zmieni kierunek przemieszczania się i niespodziewanie znajdzie się w jej epicentrum. Największym zagrożeniem są dla nas pionierzy, ponieważ mimo współczesnej wiedzy nie sposób określić, gdzie dokładnie uderzą. Instynkt łowcy podkreśla jeszcze adrenalina. Kiedy zetkniesz się z burzą oko w oko, na długo pozostanie w twojej pamięci. To niesamowite doznanie.

Meteorolog Dariusz Baranowski

W ocenie mieszkającego w Ameryce zawodowego meteorologa Dariusza Baranowskiego, Sandy nie była niczym nadzwyczajnym. Stosunkowo szybko osłabła, zamieniając się w sztorm tropikalny i wszelkie zniszczenia były skutkiem sztormu, a nie huraganu.

Wybrzeża USA co roku narażone są na uderzenia ekstremalnych zjawisk pogodowych. Co powoduje, że właśnie tam rodzą się huragany?

Huragany są częścią codzienności Stanów Zjednoczonych i innych krajów położonych nad Zatoką Meksykańską. Także inne części świata atakowane są przez ten żywioł, często nawet dotkliwiej. W mojej opinii to ceny nieruchomości w USA sprawiają, że media chętniej donoszą o huraganach nawiedzających ten kraj. Na marginesie, w 2008 r. cyklon tropikalny Nagris pośrednio lub bezpośrednio przyczynił się do śmierci ponad 130 000 ludzi w Birmie i media specjalnie się tym nie zajmowały. Pomiędzy czerwcem a październikiem każdego roku powstaje na Atlantyku zazwyczaj 20–30 burz tropikalnych. Nie każda, nawet nazwana, rozwija się do huraganu. Powstają na central-

nym Atlantyku, pomiędzy Karaibami a Afryką Zachodnią. Rozwijają się nad ciepłymi wodami zachodniego, tropikalnego Atlantyku i umierają po wejściu nad ląd. Nie wszystkie jednak kończą nad lądem. Większość wykręca na północ przed dojściem do lądu i kończy gdzieś na północnym Atlantyku (czasem nawet dociera do Europy jako jeden z silnych niżów atlantyckich). Jeśli chodzi o Sandy, to nie był to huragan szczególnie silny, kiedy uderzał w ląd. W dodatku poruszał się bardzo szybko, co zazwyczaj minimalizuje szkody.

Jak wygląda system monitorowania i ostrzegania przed ekstremalnymi zjawiskami meteorologicznymi w Stanach?

Po pierwsze, to analiza obrazów satelitarnych. Druga część badań to prognozy z wykorzystaniem numerycznych modeli prognozy pogody. Modele te, bazując na aktualnej sytuacji, próbują przewidzieć ewolucję huraganu, zarówno jego trajektorii, jak i siły. Żeby model dobrze prognozował przyszłość, musi możliwie najlepiej „znać” teraźniejszość. W zmieniającym się środowisku właściwe okre-

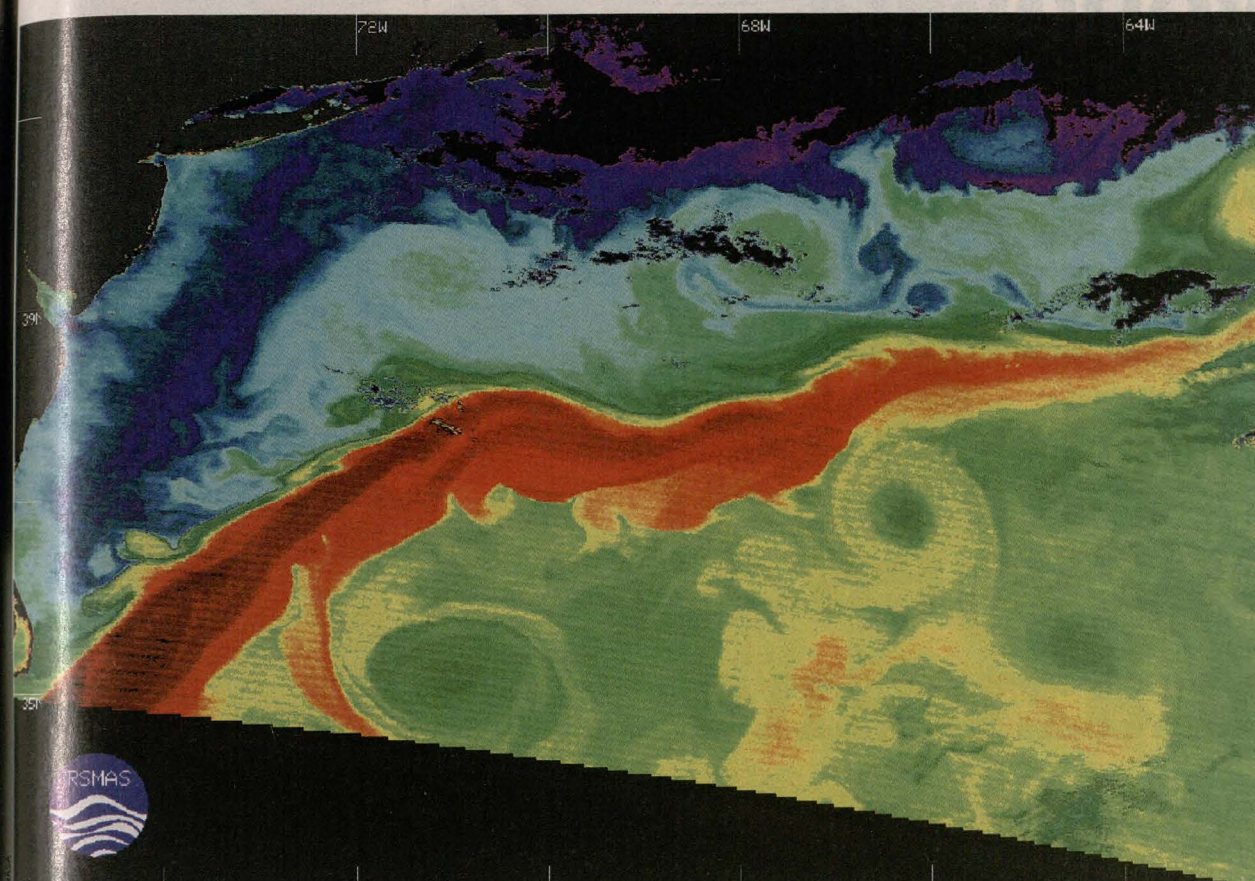


ślenie stanu początkowego atmosfery (np. temperatury i ciśnienia) na potrzeby prognozy pogody jest niezwykle trudne. Podstawowa trudność polega na tym, jak to zmierzyć. Nie można wystawić termometru za okno i sprawdzić, ile jest stopni, bo znajdujemy się nad oceanem, wiele kilometrów od lądu. Możemy oglądać huragan z góry za pomocą całej armii satelitów, ale jest to jedynie informacja cząstkowa. Jedyną opcją jest wysłanie kogoś z tym przysłowiowym termometrem. Dlatego NOAA (National Oceanic and Atmospheric Administration) i US Navy wykonały serię lotów w system huraganu. Tylko ostatniego dnia przed uderzeniem w ląd wykonano trzy symultaniczne loty załogowych samolotów badawczych w Sandy. Takie loty od kilku lat stały się standardową operacją NOAA i NHC (National Hurricane Center) dla huraganów zagrażających USA.

Stany Zjednoczone mają doskonałe wypracowany system obserwacji i wczesnego ostrzegania ludności przed niebezpiecznymi zjawiskami meteorologicznymi. W Polsce wczesne ostrzeganie przejęli praktycznie amatorzy, tzw. łowcy burz. Jak pan, zawodowiec, ocenia ich pracę?

Amatorzy nie mają dostępu do zasobów takich jak NOAA, US Navy czy NHC i dlatego w pro-

cesie prognozowania zjawisk takich jak cyklony tropikalne (huragany) ich znaczenie jest raczej marginalne. Inaczej jest w przypadku rozbudowanych chmur burzowych nad lądem. Takie systemy rozwijają się w skali kilku godzin, a niosą ze sobą zagrożenia takie jak silny deszcz, wiatr, grad czy w szczególnych przypadkach trąby powietrzne. Zjawiska tego typu, mimo że krótkotrwałe, niosą ze sobą zagrożenie dla zdrowia i dobytku ludzi. W przypadku tych zjawisk pasjonat i entuzjasta śledzący stan atmosfery na bieżąco ma właściwie dostęp do wszystkich najważniejszych danych, jakimi dysponują zawodowi meteorolodzy. Stąd może stać się cennym źródłem informującym o potencjalnym zagrożeniu. Uważam, że trzeba podkreślać rolę entuzjastów i pasjonatów, zwłaszcza kiedy swoje hobby popierają wiedzą naukową. Tacy ludzie przyczyniają się do popularyzacji nauki w bardzo znacznym stopniu. Zwłaszcza w kraju takim jak Polska, gdzie środowisko badaczy/naukowców z dziedziny fizyki atmosfery jest stosunkowo wąskie, grupa entuzjastów przyczynia się do podniesienia świadomości społeczeństwa na tematy dotyczące konkretnych zjawisk. A że zjawiska bywają ekstremalne, tym lepiej dla wszystkich.



Upał przychodzi z dna oceanu

Jeśli prądy oceaniczne nadal będą się ogrzewać i zmieniać bieg, czeka nas takie ocieplenie, że na Alasce wyrosną palmy, a na Antarktydzie baobaby – twierdzą naukowcy.

Czają się na dnie oceanu. Wyglądają niepozornie, niemal jak lód. Mają jednak gigantyczną moc. W ocieplaniu klimatu są 30 razy bardziej skuteczne od dwutlenku węgla. O tym, że prądy oceaniczne właśnie zaczynają się uwalniać, donieśli dwaj amerykańscy naukowcy – Benjamin Phrampus i Matthew Hornbach z Southern Methodist University w Dallas. Winę za to, jak pisali 25 października w „Nature”, ponoszą zmiany Golsztrumu. Ten prąd oceaniczny swój bieg zaczyna na południu Ameryki Północnej. Zabiera stamtąd ciepłe wody, odbija od rodzicielskiego kontynentu i na przełaj przez Atlantyk dociera do północnej Europy. Tam ogrzewa nasz kontynent. Teraz jednak dzieje się z nim coś niepokojącego. – W ciągu ostatnich 5 tys. lat wody Golsztrumu musiały ocieplić się aż do 8 st. C albo Golsztröm płynął bardziej na południu – komentuje prof. Jacek Piskozub z Instytutu Oceanologii PAN w Sopocie. Profesor Phrampus w rozmowie z „Przekrojem” dodaje, że tylko w ostatnim stuleciu temperatura na powierzchni prądu mogła wzrosnąć nawet o 1,6, st. C.

A to już jest bardzo niepokojące. Bo pod prądem, między grudkami osadu na dnie oceanu, tkwią substancje o tajemniczo brzmiącej nazwie – „klatraty metanu”. To cząsteczki gazu cieplarnianego, metanu, wokół którego woda utworzyła krystaliczną osłonę. Gdy się ogrzewa, to wypuszcza metan ze swoich objęć. Phrampus i Hornbach twierdzą, że u wybrzeży Ameryki Północnej już zostało naruszone 2,5 mld ton tych związków. Na razie gaz pozostaje w oceanie, gdzie może prowadzić do podwodnych osuwisk na wielką skalę. One z kolei mogą powodować uwolnienie kolejnych porcji metanu. W dodatku autorzy przyznają, że badali tylko małą część zagrożonych obszarów. A przecież prądy oceaniczne najprawdopodobniej ogrzewają się i zmieniają kierunek na całym świecie. W skali planety metan wydobywa się więc zapewne w znacznie większych ilościach. Jeśli będzie się przedostawał do atmosfery, może doprowadzić do o wiele potężniejszego ogrzania planety niż to wywołane przez przemysł. – Potencjalnie są to ilości mogące spowodować coś podobnego do gorącego epizodu sprzed 55 mln lat, gdy na Alasce rosły palmy, na Antarktydzie baobaby, a na arktycznych wyspach Kanady żyły krokodyle tropikalne – mówi prof. Piskozub. – To, czy warunki w prawdziwych tropikach w ogóle nadawały się dla ssaków, jest nadal otwartym pytaniem.

Czy więc sytuacja sprzed 55 mln lat ma szansę się powtórzyć? Profesor Piskozub uspokaja: – Nie ma co wpadać w panikę, to nie jest kwestia kilku lat. Prawie na pewno. Ale tylko prawie.

→ Wojciech Mikołuszko



ROZMAWIA MAREK KOZUBAL

W Dolinie powstają rzeczy jeszcze nienazwane

Europejczycy są mało elastyczni, zbyt boją się ryzyka i brak im wsparcia finansowego. To dlatego trudno im konkurować z Amerykanami – twierdzi **prof. Dominika Latusek-Jurczak**, badająca firmy z Doliny Krzemowej.



DOMINIKA LATUSEK-JURCZAK

Profesor zarządzania w Akademii Leona Koźmińskiego oraz wykładowca na Stanford University. Tegoroczna laureatka stypendium dla wybitnych młodych naukowców ministra nauki i szkolnictwa wyższego.

Kim są Polacy, którzy prowadzą firmy w Dolinie Krzemowej?

To często bardzo młodzi ludzie, jeszcze studenci lub świeżo upieczeni absolwenci uczelni, głównie kierunków ścisłych. W Dolinie Krzemowej tworzą tzw. firmy garażowe, prowadzą badania na pograniczu kilku dziedzin nauki, np. informatyki i biotechnologii, informatyki oraz psychologii. Realizują pomysły, które często nie są jeszcze nazwane.

Wróć do Polski?

Mam nadzieję, że tak. Tym bardziej że często równolegle prowadzą firmę w Polsce. Gdy za oceanem odniosą sukces, być może u nas utworzą oddział swojej amerykańskiej firmy i będziemy korzystali z ich produktów.

Czy w Polsce mogą powstać firmy konkurujące z amerykańskimi?

Wbrew pozorom mamy duży potencjał wiedzy, szczególnie w naukach ścisłych. Wiedza naszych informatyków jest na światowym poziomie. Jednak przed-

siębiorstwa, jakie działają w Dolinie Krzemowej, praktycznie nie istnieją nie tylko w Polsce, lecz i w Europie.

Unia Europejska ogranicza możliwość rozwoju gospodarczego?

Raczej my, Europejczycy, inaczej zachowujemy się w biznesie niż Amerykanie. Tam powstają firmy, które szybko tworzą nowe produkty i bardzo szybko rosną. Wprowadzają innowacje zmieniające krajobraz rynku.

Tworzą rzeczy często trudne do nazwania – firmy przełomowe. Kilka lat temu przykładem tego było Google. Stworzył on nową jakość w segmencie przeszukiwania Internetu.

Polacy z Doliny nie byli w stanie rozwinąć skrzydeł w naszym kraju?

Próbowali. Niekiedy z powodzeniem sięgali po środki z funduszu rozwoju przedsiębiorczości lub środki unijne. Kłopot polegał na tym, że przedsiębiorcy, które chcieliby realizować, jeszcze nie ma. Zatem eksperci, którzy ich

projekty oceniali, nie byli w stanie określić, w jakim kierunku rozwijają się rynki za kilka lat. Ekspertów oceniających prawdziwe innowacje i przełomowe projekty po prostu nie mamy.

Brak nam wizjonerów?

Tak. Ale to problem całej Europy. Zauważmy, że najbardziej zaawansowane technologicznie branże rozwijają się właśnie w Stanach lub w Azji. To tam decyduje się, w którym kierunku pójdzie rozwój sprzętu komputerowego, software, biotechnologii. Tam też dochodzi do przełomowych odkryć.

Środki unijne przeznaczone na innowacje niszcą przedsiębiorczość?

Często, aby uzyskać pieniądze, trzeba czekać kilkanaście miesięcy, a to bardzo długo. W tym czasie produkt, który ma być innowacyjny, już nim nie jest. W Dolinie Krzemowej pieniądze są szybciej w obiegu, młody przedsiębiorca może je uzyskać po kilku tygodniach. Szybciej może mieć dostęp do tzw. ka-

pitału ryzyka – venture capital – i aniołów biznesu. Praktycznie wszystkie duże firmy, które stały się w ostatnich latach znakami rozpoznawczymi Doliny Krzemowej, np. Google, Facebook, Groupon, mogły wystartować dzięki wsparciu kapitału wysokiego ryzyka.

Jak funkcjonują tzw. anioły biznesu?

Dla naszych młodych ludzi może to być trudne do zaakceptowania. To indywidualni inwestorzy wysokiego ryzyka, którzy wspierają młodych przedsiębiorców. W zamian za wkład finansowy obejmują udziały w firmach. To oznacza, że jeżeli przedsiębiorstwu się powiedzie, milionerami zostanie cała grupa ludzi, która w nią zainwestowała. Oznacza to też, że osoby, które obejmą udziały, mogą kontrolować wszelkie działania, a na to nie każdy się zgadza. Z moich badań wynika, że przedsiębiorcy z Doliny Krzemowej nie czują się tak, jakby stracili przez to swoją niezależność. Zwykle po zarobieniu jakiejś kwoty inwestują pieniądze w re-

alizację kolejnego pomysłu. Niebagatelne znaczenia ma również to, że ci ludzie otrzymują od aniołów biznesu wiedzę, która jest niekiedy o wiele cenniejsza od pieniędzy. Trzeba też podkreślić, że nie zawsze aniołowie są zainteresowani tym, aby zarządzać firmą, bo po prostu nie mają na to czasu. Chcą za to umówić się z przedsiębiorcą na piwo lub kawę, aby porozmawiać o planach firmy. Gdy je usłyszą, skontaktują go z kimś znajomym albo powiedzą, w jaki sposób należy podejść do sprzedaży danego produktu.

Prawdziwy anioł podpowiada ścieżkę rozwoju przyszłej firmy?

Najczęściej tak. Ale może również ostro skrytykować projekt, nie podając rozwiązania. Niestety, Europejczycy nie zawsze są gotowi na to, aby taką krytykę przyjąć. Jest to widoczne szczególnie wśród zapatrzonych w siebie młodych specjalistów, którzy nie potrafią wysłuchać biznesowych rad, a więc nie są w stanie modyfikować swoich działań.

Nie warto przywiązywać się do oryginalnego pomysłu?

– Europejskim przedsiębiorcom często obcy jest tzw. pivoting. To pojęcie jest jednym z najczęściej używanych w Dolinie Krzemowej. W wolnym tłumaczeniu oznacza „zmieniać się”, „obracać się”. Chodzi o zmienianie pomysłów w miarę ich rozwijania, przede wszystkim kierując się potrzebami odbiorców. Z moich badań w Dolinie wynika, że właśnie z przeskoczeniem tej bariery polscy przedsiębiorcy mają największe trudności.

Może po prostu boją się ryzyka?

– To też jest problem Europejczyków. Amerykanie łatwiej je podejmują. W Dolinie trudno znaleźć przedsiębiorcę, który nie ma na koncie kilku nieudanych przedsięwzięć. Tam mówi się, że „porażka jest normalna” – „it's OK to fail”. Przedsiębiorcy otwarcie dzielą się historiami niepowodzeń, traktując je jako ważne lekcje. Upadek firmy nie jest odbierany jako porażka. Prawdziwą porażką byłoby niespróbowanie po raz kolejny. Amerykanie mówią: „Jeżeli nie utopiłeś kilku firm, to nie jesteś doświadczony”. Tymczasem u nas taka osoba traktowana jest jak nieudaczny.

Jaką rolę odgrywa w Dolinie Krzemowej Uniwersytet Stanforda? Profesorowie są mentorami?

– Czasami aktywnie zarządzają firmami. Przykładowo pomysł Google inkubował się na uniwersytecie, a uczelnia miała potem w tym przedsiębiorstwie udziały. Co ciekawe, osoby pracujące przy tym projekcie usłyszały od swoich wykładowców, aby rzuciły studia i skomercjalizowały swój pomysł. A na uczelnię mogą wrócić później. Wykładowcy byli przekonani, że mają przed sobą przełomowe przedsięwzięcie. Uniwersytet dał im wsparcie logistyczne, np. dostęp do serwerów. Powszechne jest to, że profesorowie są zaangażowani w biznes jako eksperci. Regułą jest roczny lub dwuletni tzw. urlop praktyczny – profesor nie pisze w tym czasie książki, ale zarządza firmą na stanowisku kierowniczym.



DAREK GOLIK (2)

KATARZYNA ŚWIERCZYŃSKA

Pracownik marnotrawny

Przeciętny pracownik marnuje dwie godziny dziennie. Facebook? Twitter? Nic podobnego! Największym **pożeraczem czasu** są pogaduchy z koleżankami i kolegami.

Piętro typowego biurowca: długie, kręte korytarze, tu i tam pomieszczenia, w których wre praca. I jedno szczególne – kuchnia. A w niej święta rzecz – dystrybutor wody. Oczywiście zlew, czajnik bezprzewodowy, często mikrofalówka, a jeśli firma oparła się kryzysowi, to nawet ekspres do kawy. Tu zaczyna się korporacyjno-biurowe życie. Od zrobienia kawy, zalania gorącego kubka, wypicia szklanki wody z musującym magnezem, który przepędzi wszelki stres. I plotek albo banalnych pogawędek.

Korporacyjne koczkodany

„Water cooler talk” (rozmowy przy dystrybutorze wody) – tak nazwali największy pochłaniacz czasu eksperci z TrackVia.com, którzy w sierpniu przeprowadzili badanie wśród osób pracujących przy komputerze. Autorzy badania przyznają, że spodziewali się raczej, iż siedzący przy klawiaturach ludzie marnują czas przeznaczony na pracę głównie na prywatnym surfowaniu po sieci. Okazało się jednak, że pracodawcy, zamiast blokować podwładnym dostęp do Facebooka, powinni raczej pomyśleć o lokalizacji dystrybutora wody. Najlepiej ustawić go pod przeszklonym gabinetem. Własnym gabinetem, rzecz jasna.

Psycholog biznesu dr Leszek Mellibruda nie jest zaskoczony wynikami

Rozmowy przy dystrybutorze wody pochłaniają mnóstwo biurowego czasu.

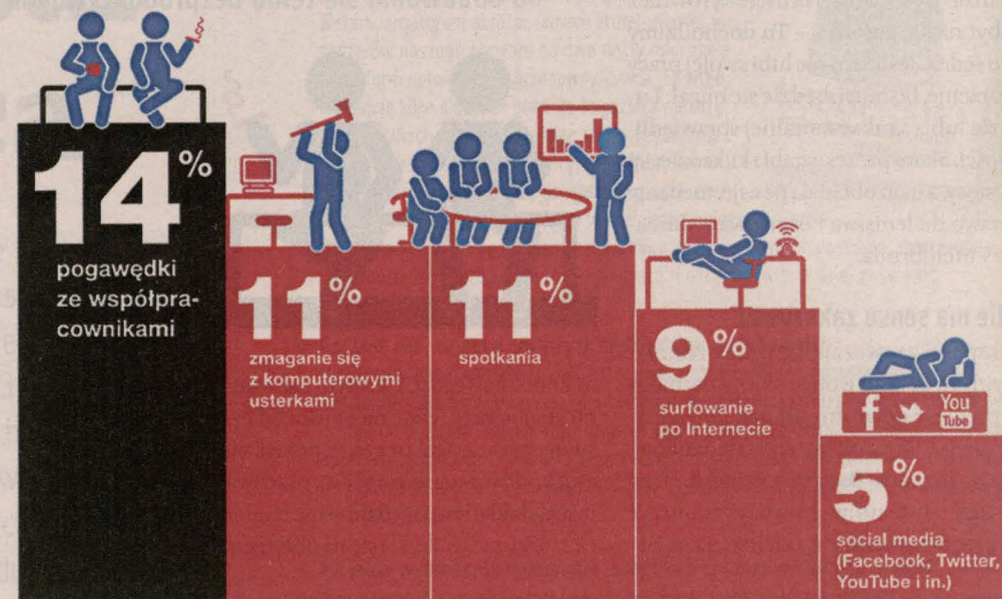


ankiety. Na biurowe pogawędki ma nawet specjalną nazwę: efekt koczkodania. – Koczkodany to zwierzęta, które tak bardzo potrafią zająć się pogawędką, że przegapią nawet zbliżające się niebezpieczeństwo. Korporacyjne koczkodany uwielbiają knuć i rozsiewać ploteczki. Często tworzą front przeciwko szefowi. Pod byle pretekstem wychodzą, by zrobić kawę czy na papierosa, bo to najlepsza okazja do oddawania się temu bezproduktywnemu gdakaniu – tłumaczy psycholog. W dążeniu do pracowej paplaniny widzi też głębszą motywację. Jego zdaniem rozmową ludzie nadrabiają brak prawdziwych przyjaźni w życiu. – W korporacji łatwo nawiązać taką fasadową relację, która daje pozory bliskiego kontaktu. Wspólnie narzekamy na szefa, wyśmiewamy nową decyzję dyrektorki – to daje jakieś pozory wspólnoty. W rzeczywistości jest trwonieniem czasu, knuciem, tworzeniem złej atmosfery, bo koczkodany w pracy lubią mieć jakąś misję. Ta misja to bycie w opozycji do firmy i szefa – dodaje Mellibruda.

Szef nieświadomy

Amerkańska firma Salary.com regularnie przeprowadza badania na temat marnotrawstwa czasu w pracy. W tym roku przepytala ponad 3 tys. Amerykanów. Jedna trzecia przyznała, że ich szefowie zablockowali im dostęp do popularnych witryn społecznościowych. Sprytni szefowie mają też inne sposoby. Ale Andrzej, który pracuje w dużej korporacji finansowej w Warszawie, nie narzeka, że monitory komputerów ustawione są tak, iż szef, przechadzając się po biurze, doskonale widzi, co jego ludzie mają na tapecie. – W czasie pracy korzystam z portali społecznościowych. Tyle że robię to na własnym smartfonie. Zawsze mogę powiedzieć, że piszę ważny SMS do klienta – śmieje się Andrzej. Ukrywanie nicnierobienia niektórzy doprowadzili do perfekcji. Ankietowani przez Salary.com szefowie uważali, że przeciętny pracownik traci bezproduktywnie około godziny dziennie. Dużo bliżej prawdy byli firmowi kadrowcy (ale ci w końcu też są podwładnymi i bez

Na co najczęściej marnujemy czas



Najbardziej marnotrawni są najmłodsi pracownicy:

2,1 godz.



marnują każdego dnia osoby w wieku 20–29 lat

1,9 godz.



30–39 lat

1,4 godz.



40–49 lat

wątpienia również marnują służbowy czas). Obstawiali oni, że to nieco ponad półtorej godziny. Tymczasem zwykli pracownicy przyznawali się do co najmniej dwóch godzin spędzonych na rozmowach, surfowaniu po sieci i załatwianiu prywatnych spraw.

Bill Coleman, wiceprezes Salary.com, zwraca jednak uwagę na pewien trend. – Dziś czas pracy i czas prywatny rozmywają się. Jeśli pracownik musi być dostępny również po godzinach, a w weekend odebrać w każdej chwili telefon od szefa i regularnie sprawdzać pocztę, to uznaje potem, że będąc w biurze, może sobie trochę tego czasu odebrać. Skoro praca zajmuje nam czas prywatny, logiczne wydaje się, że prywatne sprawy wkraczają w czas, który teoretycznie powinien być poświęcony wyłącznie na służbowe sprawy – tłumaczył w jednym z wywiadów. Coleman podkreśla,

że większość korporacyjno-biurowych pogaduszek i plotek, paradoksalnie, dotyczy spraw związanych z pracą. – Zwykle to narzekanie na nadmiar obowiązków – mówi.

Wszystkiemu winien kierownik

Leszek Mellibruda zwraca uwagę, że nasze priorytety dotyczące motywacji do pracy są od lat niezmiennie. – Dla wielu może być to zaskakujące, ale pieniądze są dopiero na trzecim miejscu. Na pierwszym plasują się atmosfera i klimat w pracy, na drugim – osobista satysfakcja z wykonywanego zawodu. Dlatego uważam, że to szef jest głównie odpowiedzialny za marnowanie czasu przez podwładnych – mówi wprost.

I rzeczywiście, jeśli spojrzeć na wyniki ankiet i najczęstsze powody podawane przez firmowych obiboków, w ich odpowiedziach najczęściej pojawiają się te

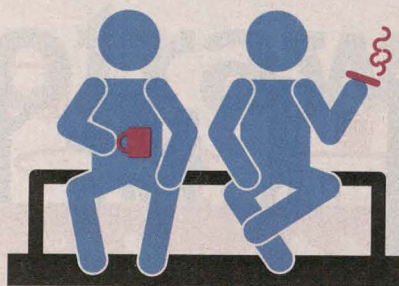


same zarzuty wobec firmy: brak wyzwań, zbyt długie godziny pracy, komputerowe usterki i – co ciekawe – zbyt mało zadań do wykonania. Na liście są również zbyt niskie zarobki. – Tu dochodzimy do sedna. Jeśli ktoś nie lubi swojej pracy i pracuje, bo musi, będzie się migał. Ludzie lubią szukać moralnej sprawiedliwości. Skoro prezes zarabia kilkadziesiąt tysięcy, a nam obcinają pensje, to mamy prawo do lenistwa i oszustwa – tłumaczy Mellibruda.

Nie ma sensu zakazywać

Ekspert zauważają, że próby restrykcyjnych działań wobec obiboków mogą przynieść odwrotny skutek do zamierzzonego. Siłę pokusy zbadali naukowcy z Harvard Business School. Trzy grupy studentów musiały zmierzyć się podczas pracy z odcinkiem seria-

Korporacyjne koczodany uwielbiają knuć i rozsiewać ploteczki. Często tworzą front przeciwko szefowi. Pod byle pretekstem wychodzą, by zrobić kawę czy na papierosa, bo to najlepsza okazja do oddawania się temu bezproduktywnemu gdakaniu.



lu komediowego. Ci, którym zabroniono go obejrzeć (choć na biurku od czasu do czasu migał przycisk pozwalający na odtworzenie komedii), pracowali mniej dokładnie i wydajnie niż studenci, którzy mogli skusić się na obejrzenie

choćby fragmentu filmu. Lepiej pracowali też ci, którym pozwolono przeznaczyć część czasu na oglądanie.

– Zamiast mnożenia zakazów i odsuwania pokus lepiej pozwolić pracownikowi przez parę minut, co godzinę, oddać się prywatnym sprawom – uważa Marco Piovesan, jeden z badaczy koordynujących projekt. Niech to będzie krótka pogawędka z kolegą z pracy, sprawdzenie prywatnej poczty albo polubienie zdjęcia na Facebooku. Taka chwila oddechu na pewno nie obniży wydajności, a zadowolony człowiek wróci do obowiązków ze zdwojoną energią.



ROZMAWIA MICHAŁ MALTAN

Rugbista z Żywca

Z browaru, którym kieruje, leci nie tylko dobre piwo, ale też strumień pieniędzy. Prezes Żywca Xavier Belison wie o tym najlepiej.

W ubiegłym roku wzbogacił się o 3,9 mln zł i jest jednym z najlepiej wynagradzanych prezesów giełdowych spółek. Po polsku mówi nie za wiele, ale może, tak jak i jego poprzednicy, polszczyznę będzie miał okazję się jeszcze poduczyć.

→ Skąd pan czerpie inspiracje biznesowe?

Po prostu z książek o biznesie. Czytam o tajemnicach sukcesu Jacka Welcha – najslawniejszego menedżera na świecie albo sięgam po ciekawe strategie biznesowe publikowane na łamach „Harvard Business Review”. Inspiruje mnie też kontakt z normalnym człowiekiem. Jestem inicjatorem akcji, w ramach której kilkuset menedżerów naszego browaru na dwa dni w roku zakłada uniform normalnego sprzedawcy Żywca. Ja wtedy też ładuję kilka skrzynek piwa do bagażnika i jeżdżę po okolicznych sklepach, starając się sprzedać nasz produkt. Jestem zwykłym akwizytorem, który stara się przekonać sklepikarzy do naszych produktów. Wszystkie inspiracje pomagają mi w spełnieniu mojego najważniejszego marzenia – chcę prowadzić szczęśliwe życie na wysokim poziomie, które będzie zrównoważone między moją rodziną a pracą. I chcę oczywiście dalej zwyciężać.



→ Czy jest coś, co pana zachwycia w dziedziny technologii?

Nie jestem fanem gadżetów. Bardziej stawiam na ludzi. Mimo wszystko nadal dziwię się, że tak mało osób korzysta z najnowszych technologii. Przecież to dzięki nim mamy dostęp do bezkresu danych. Niektórzy nie wyobrażają sobie pracy bez odwiedzenia kilku stron internetowych. Ja nie wyobrażam sobie dnia pracy bez odwiedzenia pracowników przy biurkach. Najczęściej to właśnie wtedy, podczas nieformalnej rozmowy, dowiaduję się o ich spojrzeniu na nasz biznes.

→ Na jakie wydarzenie kulturalne, sportowe czy biznesowe pan czeka?

Najważniejsze są mistrzostwa świata w rugby, które w 2015 r. będą rozgrywane w Anglii. Ten sport niesie ze sobą wartości, którym hołduję – zespołowość i chęć zwyciężania. Mam duży sentyment do tej dyscypliny, ponieważ sam ją kiedyś uprawiałem. Wbrew obiegowej opinii, w rugby nie chodzi wyłącznie o siłę fizyczną. Tutaj liczą się przede wszystkim inteligencja i wspólne osiąganie celów. To właśnie dzięki wspólnemu wysiłkowi po raz kolejny udało nam się zorganizować Heineken Open'er Festival – najlepsze wydarzenie muzyczne w Europie. Żałuję jedynie, że w tym roku nie było tam Adele, bo to właśnie jej hity można najczęściej usłyszeć w moim samochodzie.



→ A co najbardziej pana denerwuje?

Osobiste interesy przeważające nad wspólnym celem. Ale na szczęście również z tym można sobie poradzić.

Xavier Belison

Obecny prezes Żywca na czele żywieckiego browaru stanął dwa lata temu. Wcześniej kierował grupą Heineken w Europie Środkowo-Wschodniej. Szło mu całkiem nieźle, bo zwiększył w naszym regionie udział trzeciej największej firmy piwowarskiej z 19 do 25 proc. Zanim jednak związał się z pienistym interesem, przez 19 lat pracował dla producenta żywności Mars. Swoje pierwsze kroki stawiał tam w sprzedaży, a skończył jako prezes zarządu odpowiedzialny za rynki w Czechach, na Słowacji, na Węgrzech i we Francji. Jak on to robi? Jak zwykle w takich przypadkach liczą się kwalifikacje, pracowitość i odrobina szczęścia. Ale w przypadku Belisona mógł też zadziałać spryt wyniesiony z boiska do rugby. Przebił się przez kolejne szczeble kariery jak dobry atakujący, który na murawie rozbija szpalery obrońców. Z powodu wieku złośliwcy mogliby powiedzieć, że pewnie teraz mecze ogląda w fotelu z butelką jasnego pełnego w rękę. Nic bardziej mylnego. Belison gra bez przerwy, żonglując tylko dyscyplinami. Raz jest to szczypiorniak, raz piłka nożna, ale oczywiście najczęściej można go zobaczyć grającego w ukożane rugby.



REKLAMA

PRZEKROJ

patronuje

plus+CAMERIMAGE
XX Międzynarodowy Festiwal Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych

24.11-1.12.2012
Bydgoszcz, Opera Nova
www.pluscamerimage.pl

Honorowy Patronat Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego

ZREALIZOWANO Z UDZIAŁEM ŚRODKÓW URZĘDU MIASTA BYDGOSZCZY, MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, POLSKIEGO INSTYTUTU SZTUKI FILMOWEJ, WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO ORAZ PRZY WSPARCIU PROGRAMU MEDIA UNII EUROPEJSKIEJ



WYDARZENIE WSPÓLFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW EUROPEJSKIEGO FUNDUSZU ROZWOJU REGIONALNEGO W RAMACH REGIONALNEGO PROGRAMU OPERACYJNEGO WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO NA LATA 2007-2013 ORAZ BUDŻETU WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO

AGATA NAPIÓRSKA I MARTA MACH

Maciejówki i manekiny

Warszawska **czapniczka** i krakowska **dekoratorka** pracują na co dzień z męską odzieżą. Pierwsza od ponad 50 lat w swoim zakładzie szyje męskie czapki, druga – w ciągłej podróży – ubiera manekiny w witrynach sklepów.



Grażyna Jakubowska-Piekut – czapniczka

Grażyna Jakubowska-Piekut prowadzi Zakład Czapniczy przy ulicy Grochowskiej 210 w Warszawie od 1958 r. Mieści się on w pawilonie, który postawił jej ojciec. – Dwa pawilony dalej otworzyły się w tym samym czasie rurki z kremem. Najlepsze w mieście – zachwała pani Grażyna. Szyje męskie nakrycia głowy na każdą porę roku – cyklistówki, klasyczne kapelusze, czapki żeglarskie, angielskie czapki do gry w polo i jej ulubione – maciejówki.

Nie wołała pani zająć się damskimi nakryciami głowy?

Wybrałam męskie. Może dlatego, że uczyłam się tradycyjną metodą, u ojca. Po trzech latach praktyk w jego pracowni zrobiłam dyplom czeladnika, a po pięciu zdałam egzamin mistrzowski. W wieku 25 lat zostałam najmłodszą mistrzynią czapnictwa w Polsce.

Pani mąż też szyje czapki?

Nie, ale na szczęście pomaga mi je sprzedawać. Ja zdecydowanie wolę szyć. A z czapek najchętniej szyję polskie maciejówki, czyli czapki wzorowane na dawnych chłopskich nakryciach głowy. Nauczyłam się je szyć w latach 70., były wtedy szalenie modne. Mam tu trzy rodzaje maciejówek: zwykłe cywilne – całe czarne, legionów Piłsudskiego – szarzielone i chłopskie – granatowe.

Szyjemy również specjalne maciejówki dla dorożkarzy na warszawską Starówkę. Wyszło takie rozporządzenie, że wszyscy mają mieć takie same stroje i jako nakrycie głowy będą nosić specjalne maciejówki ze skórzanym dachem.

Jak zostać dobrym czapnikiem?

Trzeba, rzecz jasna, umieć dobrze szyć i mieć oko do materiałów. Cierpliwość przyda się zwłaszcza w urzędach. Nadal nie rozumiem, czemu muszę płacić podwójny podatek.

Robi się coraz chłodniej, więc pewnie teraz jest najlepszy ruch w interesie?

Kiedyś był taki zwyczaj, że panowie albo ich żony przychodzili po czapki przed 1 listopada, żeby elegancko wyglądać na cmentarzach. Dla nas najlepszy okres to wietrzna zima i temperatura około –2 st. C lub upalne lato – wtedy sprzedajemy najwięcej.

Milena Brózda-Nikiel – dekoratorka

Milena Brózda-Nikiel pracuje w sieci sklepów Vistula jako visual merchandiser, czyli dekorator. Dbą o to, jak wyglądają manekiny.

Jakie studia powinien ukończyć ktoś, kto chciałby wykonywać twój zawód?

Z zawodu jestem etnolożką. Zajęcie w muzeum okazało się zupełnie nieciekawe, przynajmniej zaraz po studiach. Rozpoczęłam więc pracę w dużej sieci, która otwierała właśnie w Polsce kolejne działy. Zaczynając, nie wiedziałam, co to visual merchandising, ale interesowały mnie moda i stylizacja. W zawodzie dekoratora można te zainteresowania doskonale wykorzystać. Ukończyłam Szkołę Visual Merchandisingu w Krakowie.

Co najbardziej lubisz w swojej pracy?

Podglądać, jak klienci reagują na gotową witrynę i stylizację manekinów. Największą nagrodą dla dekoratora są rosnąca pozycja sklepu po wprowadzeniu zmian w oknach i lepsze wyniki sprzedaży. Poza tym zawsze mnie cieszy zabawa z ubraniami i dodatkami.

Kto się najlepiej sprawdzi w tej profesji?

Dekorator to zarówno artysta, jak i handlowiec. Poza oczywistymi predyspozycjami, które przydatne są w każdym zawodzie, czyli zaangażowaniem, umiejętnością pracy w zespole, systematycznością, powinien wykazywać się kreatywnością, wyczuciem stylu oraz wyobraźnią. Osoba decydująca się pracować w tym zawodzie musi mieć oczy szeroko otwarte, aby zewsząd czerpać inspiracje. Jednocześnie powinna pamiętać, że jej pomysły i działania muszą mieć wpływ na podwyższenie sprzedaży. Visual merchandising to przecież narzędzie sprzedażowe.

Autorki prowadzą magazyn www.zwyklyzycie.pl



DOROTA CHOJNOWSKA

Kraj dla odważnych

W Gwatemali największą zmorą jest przestępczość. Urzędnicy i biurokracja są mniej straszne, ale także potrafią dokuczyć. Pracę zdobyć można jednak dość łatwo, zwłaszcza gdy zna się angielski, **jeszcze lepiej angielski i hiszpański**, a najłatwiej wówczas, gdy chce się być wolontariuszem.



ELIZA ZACZKOWSKA

Jest profesorem ekonomii na uniwersytecie z Ciudad Guatemala. Mieszka w Gwatemali od 15 lat.

Eliza Zaczkowska, profesor Universidad Rafael Landívar z Ciudad Guatemala, swoją przygodę z Gwatemalą zaczęła od wymiany studenckiej. – Studiowałam ekonomię i zadałam sobie pytanie: „Dla czego państwo tak piękne i zasobne w bogactwa naturalne jest tak biedne?”. W kraju, gdzie ziemia może rodzić przez cały rok, około 50 proc. dzieci cierpi głód, a 54 proc. ludności żyje poniżej poziomu ubóstwa – mówi. Ciekawość była tak wielka, że wkrótce, po obronie pracy magisterskiej, przyjechała do tego kraju na stałe. Akurat

skończyła się 36-letnia wojna, był rok 1997. – Choć nawet dziś nędza wciąż szkokuje, to jednak wiele się od tamtego czasu zmieniło.

Dla wolontariuszy

Z roku na rok ściągają tu coraz więcej turystów. Ci, którzy zostają, otwierają restauracje i hostele. Zatrudniają w nich mówiących po angielsku plecakowiczów, którzy chcą podreperować swój budżet i nauczyć się hiszpańskiego.

Wielu globtroterów zaciągają się także w szeregi wolontariuszy realizujących programy pomocowe. Nietrudno zna-

leźć oferty takiej pracy. Wiszą na tablicach ogłoszeń w hostelach, niektórych barach czy w szkołach językowych. Wiadomo, majątku na tym się nie zrobi. Ale nie o pieniądze chodzi, lecz o doświadczenie prawdziwej, indiańskiej Gwatemali – bo tam najczęściej pracują wolontariusze. Świat spowity dymem, wypełniony szeptem szamanów i feerią barw wzbudza fascynację. Często nieuleczalną.

Klucz do kariery

Jeśli znasz angielski, to kraj dla ciebie. Biegle władający tym językiem

mogą robić praktycznie wszystko. – Rozwijają się tu call center – tłumaczy Eliza. Potrzeba więc osób z biegłą znajomością angielskiego. Praca czeka również w edukacji. Nie tylko w szkołach językowych. – Kiedy przyjechałam, nie znałam jeszcze hiszpańskiego – wspomina Eliza. – Uczyłam więc historii powszechnej w jednej z tzw. międzynarodowych szkół średnich z wykładowym angielskim. Absolwentka Akademii Ekonomicznej w Katowicach oraz dwóch amerykańskich uniwersyte-
tów wkrótce jednak otrzymała stanowisko na Wydziale Ekonomii i Przedsiębiorczości Uniwersytetu Rafael Landívar.

Portale internetowe dla ekspatów zgodnie powtarzają – w szkolnictwie nie ma problemów z pracą dla obco- krajowca. Choć, tak samo jak w Polsce, kokosów nie należy się spodziewać. Nauczyciel w zwykłej szkole zarobi około 600–700 dol. miesięcznie. Wystarczy to na wynajem mieszkania i bardzo skromne życie. Gwatemalczyki kupują towary w „trzeciej cenie”.

– Pierwsza, bardzo wysoka, jest dla turysty, druga, niższa, dla idioty, a dopiero trzecią można ewentualnie zaakceptować – śmieje się Eliza. Na znacznie wyższe pensje mogą liczyć pracownicy renomowanych szkół i uczelni. Tam za swą pracę otrzymują od 1000 dol., co pozwala na przyzwoite życie, do 1700 dol., co już zapewnia dostatek. Trzeba jednak pamiętać – zarobki to temat tabu podczas towarzyskich spotkań. Gwatemalczyk własnej żonie ani nawet matce nie wyjawia wysokości pensji!

Z marszu pracę otrzymają również specjaliści zajmujący się pozyskiwaniem alternatywnych źródeł energii. – Energia w Gwatemali jest bardzo droga, dlatego rząd jest zainteresowany rozwojem tej dziedziny gospodarki – tłumaczy Eliza.

Mara na jawie

Prawdziwą zmorą jest przestępczość, szczególnie w stolicy kraju. Liczby mówią same za siebie. Na 109 morderstw tygodniowo popełnianych w całym kraju 40 notowanych jest właśnie tam. Mieszkańców i przedsiębiorców terroryzują bandy gangsterów zwanych maras.

– Najlepiej wynająć lokal w biurcu, bo zapewniona jest tam ochrona, a w podziemiach znajduje się parking – wylicza Eliza. Zdarza się jednak, że ma spotkanie poza biurem i musi zaparkować na ulicy. – Zanim wyjdę z moim laptopem, zawsze zastanawiam się dwa razy, rozglądam pięć i biegnę do drzwi budynku, w którym mam spotkanie – mówi. – Boję się, żeby po drodze nic się nie stało. Gdyby kradzieże ograniczały się do kieszonek, nie byłoby takiego szumu. Jednak w Gwatemali jeśli ktoś kradnie, to po prostu przystawia do głowy pistolet.

Pracownicy międzynarodowych organizacji często mają zakaz samotnych spacerów po ulicach. Nie wolno im brać taksówki z ulicy ani korzystać z transportu publicznego, muszą też odbyć obowiązkowe ćwiczenia z... porwania. Oczywiście mieszkają na strzeżonych osiedlach. – Kiedy zobaczyłam

Praca i biznes

- Gwatemala jest najgęściej zaludnionym państwem Ameryki Centralnej, kolebką Majów, dziś stanowią oni ponad połowę populacji.
- Około 60 proc. pracowników otrzymuje wynagrodzenie poniżej płacy minimalnej. Sama zaś płaca minimalna różni się w zależności od sektora gospodarki i dystryktu. Wynosi około 200 dol. miesięcznie.
- Dochód narodowy na jednego mieszkańca wynosi 2 870 dol. Dla porównania – w Polsce 12 480 dol.
- Najbogatsi stanowią 10 proc. społeczeństwa Gwatemali i generują 40 proc. ogólnej konsumpcji.
- Ponad połowa społeczeństwa żyje poniżej granicy ubóstwa. W Polsce – 10 proc.
- W Gwatemali oficjalnie uznano ponad 20 języków.
- Zdobycie pozwolenia na pracę trwa trzy miesiące. Legalnie pracować można też po zarejestrowaniu własnej firmy – rejestracja trwa 40 dni. Przedsiębiorca musi rocznie oddać fiskusowi 40 proc. dochodu.

Poszukuje się:

- nauczycieli,
- pracowników branży turystycznej,
- specjalistów z wykształceniem technicznym.

pierwsze w Polsce zamknięte osiedla, pomyślałam: „O kurczę, Gwatemala się tu robi”, ale teraz widzę, że apartament w takim miejscu jest formą luksusu – mówi Eliza. – W Gwatemali to konieczność.

Dlaczego jest tak niebezpiecznie? Gwatemala jest krajem tranzytowym w przemyśle narkotyków. Z narkotykami przyszły bandy maras, czyli gangi i przestępczość potęgowana przez chroniczny kryzys. – Młodzi ludzie nie mają się gdzie zaczepić – tłumaczy Eliza. Ponad 60 proc. Gwatemalczyków ma mniej niż 30 lat. Ogromna większość spośród nich nie ma stałego dochodu i żyje na krawędzi ubóstwa. Takich ludzi łatwo ściągnąć do maras. Chyba że się stworzy dla nich alternatywę. – Tym właśnie chcę się zająć – dodaje. – W tym roku ruszam z wakacyjną szkołą biznesu dla młodzieży powyżej 14. roku życia. W pierwszej edycji udział wezmą dzieci z zamożnych rodzin. Natomiast w przyszłym roku chcemy stworzyć organizację pozarządową i na większą skalę robić kursy przedsiębiorczości dla młodzieży, która niekoniecznie ma pieniądze. To jest moja misja.



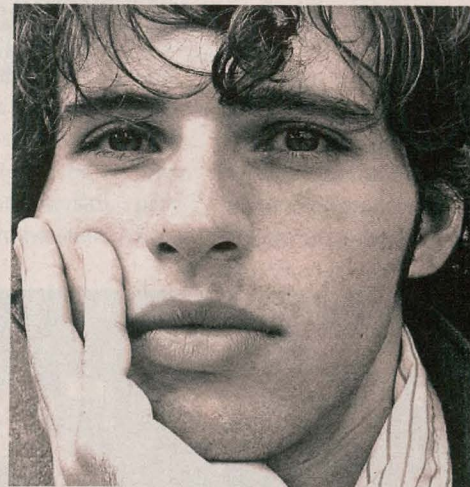
DANNY LEHMAN/CORBIS

KAROLINA PRZEWROCKA

Zarażanie pokojem

Facebookową kampanię „Israel Loves Iran” pokochały miliony ludzi. Do tego stopnia, że zrzucili się przez Internet, by ją sfinansować. Dzięki portalowi Indiegogo.com projekt izraelskiego grafika komputerowego zebrał czterokrotnie więcej, niż oczekiwano.

W Izraelu zbliżają się wybory parlamentarne, mobilizujemy siły – obwieszcza Ronny Edry, 41-letni grafik i nauczyciel z Tel Awiwu. Zakłada organizację The Peace Factory, której działalność zamierza finansować poprzez crowdfunding, czyli zbiórki społeczne via Internet. Zaczęło się 14 marca tego roku. Ronny Edry zamieścił na swoim facebookowym profilu zdjęcie z córką, izraelską flagą i przesłaniem do Irańczyków: „Kochamy was, nigdy nie zbombardujemy waszego kraju”. Dzień wcześniej zdenerwowała go irracjonalna dyskusja między właścicielem pobliskiego sklepu i klientami – o to, czy po wybuchu wojny na Izrael spadnie 10 tys. irańskich pocisków rakietowych, czy będzie ich tyle spadało każdego dnia. Ronny poczuł, że poziom strachu przed Iranem podniecany w tych dniach przez szafujących groźbami polityków przekroczył wszelkie granice. Po 24 godzinach od zamieszczenia swojego zdjęcia z pokojowym przesłaniem nadeszły pierwsze wiadomości z Iranu – przed ekranami komputerów gromadziły się wzruszone hasłem irańskie rodziny. Ronny założył facebookowy profil – „Israel Loves Iran” – i nagrał filmik, w którym odczytał swoje przesłanie: „Jeśli zobaczycie w telewizji kogoś,



„Nie jestem gotów umrzeć w waszej wojnie” – to tylko jedno z popularnych haseł kampanii.

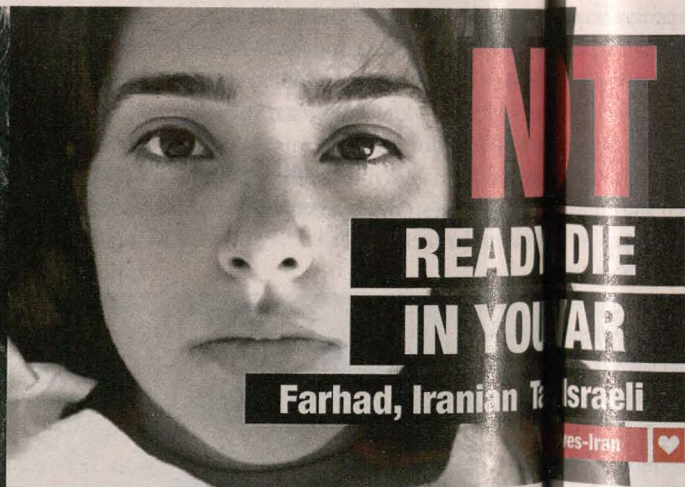
kto będzie mówił o bombardowaniu waszego kraju – bądźcie pewni, że nie reprezentuje wszystkich nas. (...) Kochamy was. Nie chcemy zrobić wam krzywdy. Przeciwnie – chcemy was poznać, usiąść przy kawie, pogadać o sporcie”.

Dziś filmik ma ponad 800 tys. wyświetleń na YouTube, a facebookowa strona gromadzi ponad 90 tys. osób. Witrynę oglądają tygodniowo 2 mln ludzi z całego świata. Irańczycy rozpoczęli na Facebooku zbieranie podpisów pod inicjatywą nominacji inicjatorów akcji, Ronny’ego i jego żony Michal, do Pokojowej Nagrody Nobla. I dlatego zachęcani sukcesem Izraelczycy rozwijają działalność: zakładają organizację

pozarządową The Peace Factory, która zajmie się łączeniem ludzi na Bliskim Wschodzie. Jej główną siłą napędową mają być media społecznościowe, a fundusze na działalność Ronny i Michal chcą pozyskiwać od prywatnych darczyńców i na portalach crowdfundingowych.

Maksimum sukcesu przy zerowym budżecie

– Ludzie na naszym profilu rozmawiają ze sobą: pytają o życie codzienne w swoich krajach, o religię i czas wolny, opowiadają swoje historie. Ta akcja otworzyła ludzi na komunikację, pokazała, że ci, których nazywamy wrogami, mają ludzkie oblicze. To coś nowego



w krajach, w których jesteście uczeni, że z wrogiem się nie rozmawia – mówi Ronny Edry.

Spotykam się z nim na Skype w okolicach północy – nie ma szans, by złapać go na chwilę w ciągu dnia. Od marca dzieli życie na pracę zarobkową, rodzinną i swoją pokojową kampanię. Skala zjawiska przerosła jego najśmielsze oczekiwania – idzie jednak z prądem, bo wierzy, że to, co robi, ma głęboki sens. Ludzie, którzy wchodzi na facebookową stronę „Israel Loves Iran”, chcą aktywnie brać udział w akcji – dlatego Ronny zrobił w swoim mieszkaniu biuro i poprosił przyjaciół grafików o pomoc w obrabianiu zdjęć, które przychodzą do niego z całego świata.

Wolontariacka praca jednak nie wystarcza, bo im więcej pomysłów, tym więcej potrzeb – dlatego o wsparcie Ronny prosi międzynarodową społeczność.

W maju po raz pierwszy ogłosił akcję „We Love You” na platformie crowdfundingowej – Indiegogo.com. Wniósł o 7,5 tys. dol. Po kilku tygodniach zbiórka przekroczyła 400 proc. wnioskowanej kwoty, a w dniu zakończenia kampanii na koncie „We Love You” znalazło się 30 850 dol. Po paru miesiącach Ronny zdecydował się wyjść z akcją poza Facebook i dotrzeć do tych, którzy nie korzystają z mediów społecznościowych. Zorganizował kampanię „Iranians in Tel Aviv” („Irańczycy w Tel Awiwie”), której celem

czytelnym przesłaniu i nieskomplikowanej szacie graficznej. Myślimy nad hasłem, zamieszczamy nasze zdjęcia uzupełnione grafiką, chwilę później ludzie podchwytyją pomysł i ruszamy z publikacją kolejnych zdjęć – mówi Ronny.

W taki sposób wypromował już kilka haseł, m.in. „Not ready to die in your war” („Nie jestem gotów umrzeć w waszej wojnie”), „War! What war?” („Wojna! Jaka wojna?”), „Send a heart” („Prześlij serce”). Na plakatach – rozmaitości twarze, przytulające się pary, rodzice z dziećmi. Semco z Iranu w designerskich okularach i muszce wskazuje na trzymaną w ręku szklankę, a napis na plakacie kryje reklamową

Twarze Izraelczyków i Irańczyków pokazały się w październiku na billboardach i na 70 autobusach w Tel Awiwie.

Awiwu. Uważa jednak, że opieranie kampanii tylko na Facebooku wydaje się niewystarczające. – Nawet w środowisku antywojennych aktywistów nie jest traktowana poważnie. Być może jedyną grupą, która cokolwiek sobie z tej kampanii robi, są politycy izraelskiej prawicy, którzy nie znoszą pomysłów podejmowania dialogu z tymi, których określają mianem wrogów. Twierdzą też, że akcja odwraca uwagę od prawdziwego problemu: realnego zagrożenia nuklearnego – mówi Shai.

Europa wzorem dla Bliskiego Wschodu

Ronny przyznaje, że najbardziej zaskoczyła i ucieszyła wszystkich reak-



było umieszczenie plakatów z twarzami Irańczyków i Izraelczyków, którzy wzięli udział w facebookowej kampanii, na billboardach i autobusach w Tel Awiwie. W październiku na ulice Tel Awiwu wyjechało 70 autobusów z „twarzami” akcji.

Sukces tkwi w prostocie

W swojej kampanii Ronny używa prostych, sprawdzonych przez siebie w pracy metod: kolorowej grafiki z chwytliwymi hasłami i wiralu (sposób rozpowszechniania informacji) w social mediach. – Jako grafik wiem, jakiego sposobu komunikacji oczekują użytkownicy Internetu. Sukces takich akcji tkwi w prostocie: jasnym,

stylizację: „Peace – product of the year” („Pokój – produkt roku”). Nora z Zurychu dzięki montażowi zdjęć „spotyka” przy kawie Ido z Tel Awiwu. Sarah z Maroka składa Izraelczykom życzenia noworoczne („Shana Tova” – hebr. „Szczęśliwego nowego roku”).

Nie do wszystkich przemawia prosta stylistyka internetowej kampanii Ronny’ego. Informację o „Israel Loves Iran” podchwytyją głównie zagraniczne media. – W Izraelu akcja nie wywołuje jakiejś lawiny komentarzy. Wszystkie są raczej pozytywne, ale kampania odczytywana jest jako naiwna próba załatwienia problemu wyścigu nuklearnego słodkim hasłem „Pokój i miłość” – mówi Shai, 19-letnia aktywistka z okolic Tel

cja Irańczyków. Na przysyłanych zdjęciach początkowo nie pokazywali swoich twarzy – w kolejnych kampaniach nie tylko je odsłoniли, ale też podawali swoje imiona i nazwy miejscowości, w których mieszkają.

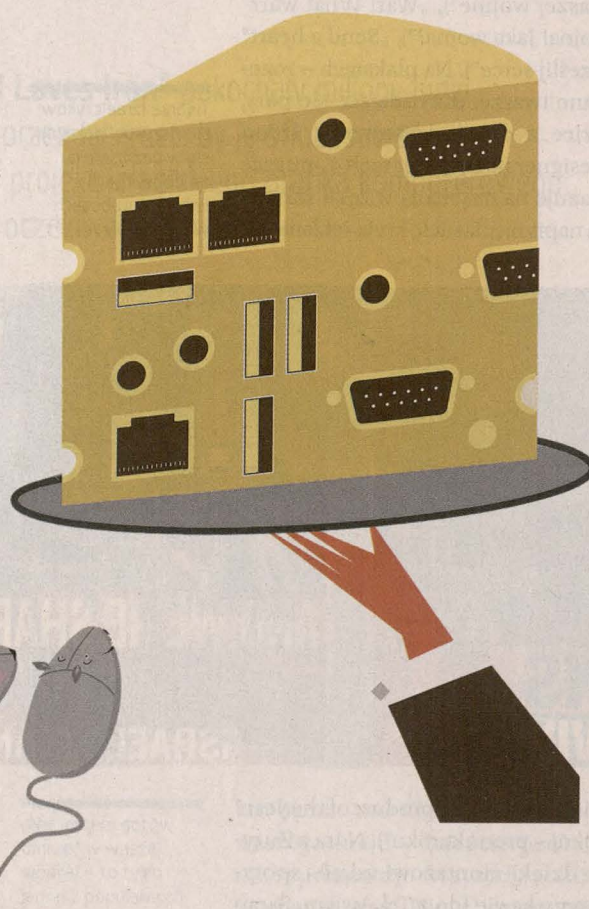
– Moim marzeniem jest, żeby życie w tej części świata stało się takie, jak u was w Europie – z otwartymi granicami i narodami żyjącymi w spokoju obok siebie. Z zachowaniem pełnej pamięci o przeszłości, ale przy wzajemnym przebaczeniu – mówi.

Arabska wiosna pokazała, że media społecznościowe mogą obalać rządy – Ronny wierzy więc, że mogłyby też pomóc w osiągnięciu sukcesu w procesie pokojowym.

ALEKSANDRA STANISŁAWSKA

Maraton po własny start-up

Rozkręcasz firmę z branży internetowej, mobilnej czy IT? Potrzebujesz więc pieniędzy. Jeśli masz świetny pomysł i chcesz go realizować również poza Polską, **postaraj się o wsparcie**, które oferują akceleratorzy start-upów.



Patronat nad nimi sprawują fundusze venture capital, czyli podwyższonego ryzyka. Oprócz finansowania dają też wiedzę z zakresu przedsiębiorczości i wykorzystują synergię pracy grupowej. To daje start-upom niezły rozpęd.

– Nasz program akcelacyjny przypomina intensywne kilkutygodniowe szkolenie kosmiczne na pustyni Mojave, które przechodzą przyszli astronauta – mówi Krzysztof Kowalczyk, partner zarządzający funduszu HardGamma Ventures. Do tej pory fundusz

wspierał młode firmy technologiczne kilkoma milionami złotych. I nie zamierza na tym poprzestać. Właśnie rozpoczyna kolejną edycję akceleratora start-upów GammaRebels, w której zainwestuje do 120 tys. euro. Program potrwa do stycznia 2013 r., a jego partnerami są m.in. Google i Microsoft.

– W akceleratorze inwestujemy w najbardziej ambitne zespoły, które biznesowo znajdują się na wczesnym etapie rozwoju, ale już dysponują atrakcyjnym, działającym prototypem własnego produktu, a więc najczęściej aplikacją czy

usługą internetową lub mobilną – tłumaczy Kowalczyk. I precyzuje: – Poszukujemy osób, które mają coś do zaoferowania światu i chcą z tym szybko zaistnieć na arenie międzynarodowej.

Wszystko zaczyna się od procesu rekrutacyjnego. Na podstawie przysłanej prezentacji oraz późniejszej rozmowy typuje się kandydatów do programu akcelacyjnego. W przypadku GammaRebels (który ma w tym roku swoją drugą edycję) wyłanianych jest około 10 zespołów, które przyjeżdżają na trening do warszawskiej siedziby funduszu. W polskich akceleratorach start-upów technologicznych, wśród których warto wymienić też Huge Thing czy Startup School, takie szkolenie zajmuje od sześciu do 24 tygodni. Zwieńczeniem każdej edycji programu jest Demo Day, podczas którego uczestnicy mogą zaprezentować realizowane projekty przedstawicielom funduszy venture capital i aniołom biznesu. Cel to pozyskanie inwestora i ruszenie z biznesem w świat.

– Wybranych przez nas zespołom oferujemy trzymiesięczne intensywne prace nad rozwojem produktu pod okiem doświadczonych mentorów, czyli światowej klasy ekspertów branży IT, venture capital i specjalistów marketingu – mówi Kowalczyk. – W każdej z wybranych spółek fundusz HardGamma Ventures obejmuje 10 proc. udziałów za 12 tys. euro. Jeśli start-up okaże się sukcesem, nie wykluczamy i dalszych inwestycji.

Dodatkowo uczestnicy GammaRebels otrzymają do 80 tys. dol. w usługach dostarczanych przez Google oraz Microsoft.

We wrześniu zakończyła się też pierwsza edycja poznańskiego akceleratora Huge Thing. Jego uczestnicy

przeszli intensywne szkolenia z zakresu przedsiębiorczości, strategii biznesowej, sprzedaży marketingu, HR i zarządzania finansami. Otrzymali dofinansowanie od organizatora imprezy, który objął w spółkach po 10 proc. udziałów za kwotę 30 tys. zł.

Program akcelacyjny to uczta dla młodych start-upowców, żądnych kontaktów z wielkim światem i wpływowymi ludźmi z branży. Każdego z zaproszonych specjalistów można dokładnie wypytać o rady dotyczące rozwoju własnego projektu. Zadaniem zespołów start-upowych jest dopracowanie prototypów, ukształtowanie pomysłów na biznes i dopasowanie ich do potrzeb rynku.

Brzmi nieźle, ale osoby, które zdecydowały się skorzystać z tej szansy, muszą być naprawdę zmotywowane do tego, aby rozwinąć w krótkim czasie własny pomysł. Na czas kilku-kilkunastu tygodni muszą porzucić dotychczasowe za-

Nasz program przypomina intensywne kilkutygodniowe szkolenie kosmiczne na pustyni Mojave, które przechodzą przyszli astronauta.

jęcia. Do tego dochodzi kwestia utrzymania się w obcym dla wielu zespołów mieście – akcelerator zapewnia bowiem siedzibę i finansowanie projektu, ale nie mieszkanie i jedzenie.

– Do tego trzeba sporej motywacji i skrajnego skupienia na celu, jakim jest realizacja projektu – wyznaje Piotr Tuszyński z firmy Appvetica, która z sukcesem przeszła przez program GammaRebels. – W zamian dostaje się ogromny zastrzyk wiedzy, szerokie kontakty biznesowe i perspektywy rozwoju, o których wcześniej można było tylko marzyć. Teraz myślimy o rynku globalnie, a nie lokalnie.

– Dzięki udziałowi w pierwszej edycji GammaRebels Appvetica jest dziś jednym z najprężniejszych laboratoriów mobilnych w Europie Środkowo-Wschodniej – chwali Kowalczyk. – Ma w portfolio kilkanaście własnych aplikacji skierowanych na rynek światowy.

Firma zdobywa kolejne laury w międzynarodowych konkursach programistycznych, takich jak Facebook Hack czy Pioneers Festival Hackathon. Fundusz HardGamma Ventures ma obecnie znacznie większe udziały w tej spółce niż po zakończeniu programu GammaRebels. Aplikacje mobilne Appvetiki dostępne są w 156 krajach, a Tytype, jej edytor tekstu na iPada, w ciągu dwóch miesięcy został pobrany około 60 tys. razy.

To pokazuje, że „program kosmiczny”, w którym biorą udział najlepsze start-upy, nadaje im odpowiedni pęd i kierunek.

PARKIET z tego wnioskuje

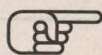


–Chłopcy, zachowujcie się cicho, tatuś jest teraz w pracy

parkiet.com

18
LAT
NA RYNKU

- INWESTYCJE
- REKOMENDACJE
- SPÓŁKI
- NOTOWANIA
- ANALIZY
- OPINIE
- GOSPODARKA
- RYNKI



GRZEGORZ PIĄTEK

Ikony i ruiny

Brutalistyczną halę dworca w Katowicach zburzono wśród protestów. 29 października na jej miejscu otwarto nową stację, której konstrukcja naśladuje poprzednią. Czy ta częściowa odbudowa to początek dobrych wiadomości dla **polskich ikon modernizmu**? Które z nich mogą liczyć na remont, a które czekają już tylko na rozbiórkę?

W pierwszej dekadzie XXI w. rozpędził się walec zgniatający modernistyczną architekturę z okresu PRL. Usunięcie starego, często źle utrzymanego budynku, zastąpienie go nowym i większym wydawało się początkowo oznaką postępu. To, że przy okazji kasowano bezpowrotnie kawałek historii, świadectwo tego, że nawet w ciężkich czasach mieliśmy oświeconych architektów, nikogo specjalnie nie obchodziło.

Supersam: kikuty bestii

Przełomem był chyba dopiero rok 2006 i rozbiórka warszawskiego Supersamu.

Lekki pawilon projektu Jerzego Hryniewieckiego oraz Ewy i Macieja Krasieńskich, pierwszy polski supermarket, służył mieszkańcom stolicy nieprzerwanie od 1962 r. Wprawiał w zachwyt fantastycznym kształtem i konstrukcją dachu. Obłożony boazerią krzywoliniowy strop oglądany od dołu przypominał cielsko fantastycznej bestii. Właściciel pawilonu, pospółmowska Spółdzielnia Spożyców Supersam, znalazł jednak partnera w BB Investment – polskiej grupie inwestycyjnej robiącej interesy i na nieruchomościach, i na paszach czy elektrowniach wiatrowych. Obie firmy nie miały wąt-

Betonowe słupy w kształcie kielichów były znakiem rozpoznawczym katowickiego dworca. Po rozbiórce odtworzono kilka z nich – resztę terenu zajmuje nowe centrum handlowe.

pliwości, że obiekt trzeba zburzyć. Właściciel powoływał się na zły stan konstrukcji dachu i postarał się nawet o nakaz zamknięcia budynku z powodu zagrożenia, jakie obiekt miał stwarzać dla ludzi. Wspomnienie katastrofy budowlanej na targach katowickich wciąż było świeże. Na wieść o planach rozbiórki grupa społeczników, na czele z historykiem sztuki Pawłem Giergoniem, rozpoczęła starania o wpis do rejestru zabytków. Dla jednych była to walka o dziedzictwo architektury, dla innych kwestia sentymentu – próba zachowania miejsca, wokół którego od 40 lat kręciło się życie tej części miasta. Petycję poparło, za pomocą e-maili, ponad 2 tys. osób. Dziś, gdy w ciągu paru godzin łatwo wywołać facebookową histerię, te dane nie powalają. Wtedy robiły wrażenie, niestety nie na urzędnikach. Wojewódzki konserwator zabytków Ryszard Głowacz odmówił objęcia ochroną Supersamu, mimo jego niekwestionowanego miejsca w historii architektury. W myśl ustawy o ochronie zabytków można za takie uznać tylko obiekty, które są świadectwem zamkniętego okresu w historii sztuki, a modernizm – jego zdaniem – jeszcze się nie skończył. Pod koniec 2006 r. z Supersamu zostały już tylko kikuty. Dziś na placu pozostał tylko wre praca nad wysokim biurowcem z galerią handlową. Budynek poległ, ale poruszenie, jakie wywołała jego rozbiórka, oznaczało, że już żaden

enny modernistyczny budynek nie zniknie bezgłośnie.

Czyszczenie Warszawy

Stolica, która obecnie liczbą budowanej powierzchni biurowej ustępuje w Europie jedynie Londynowi, to miasto, w którym walec pędzi szczególnie szybko. Opublikowana w 2003 r. przez warszawski SARP „lista dziedzictwa kultury współczesnej”, będąca w zamyśle początkiem rejestru zabytków, obejmuje ponad 120 budynków i osiedli zbudowanych od 1945 r. do lat 70. W ciągu 10 lat od jej opublikowania ochroną konserwatorską objęto wprawdzie Pałac Kultury czy Dom Partii, a kino Stolica, które już miało ustąpić miejsca apartamentowcowi, lśni świeżymi tynkami, ale lista dziedzictwa i tak przypomina tablicę z nekrologami. Oprócz Supersamu bez śladu zniknęły pawilon Chemii, kino Praha i kino Skarpa. Z Domów Towarowych Centrum zostały tylko bryła i konstrukcja, z sąsiedniego pasażu Wiecha nazwa, a ze Stadionu Dziesięciolecia, przykrytego Narodowym, padł wejście od strony Wisły. Czasami wrogiem architektury jest nie chciwość, ale remontowa nadgorliwość. Rządowy hotel na Klonowej został ocieplony i tym samym zmienił się nie do poznania, a wnętrze kościoła Miłosierdzia Bożego na Żytniej, które tworzyły wypalone podczas powstania warszawskiego mury poprzedniego kościoła, zostało przemalowane przez proboszcza pedanta.

Centralny po liftingu

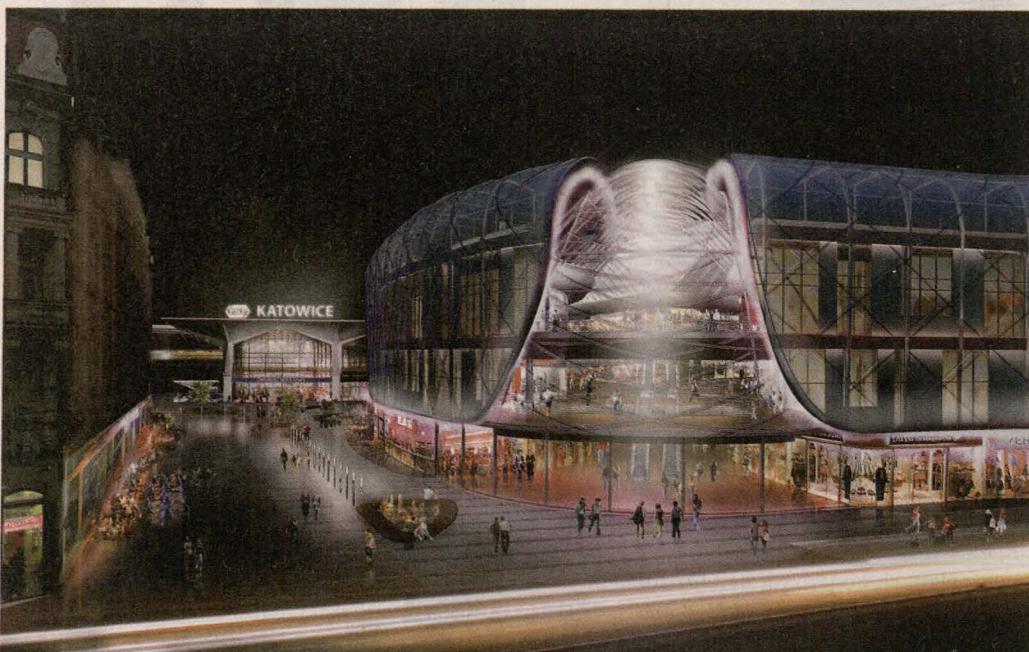
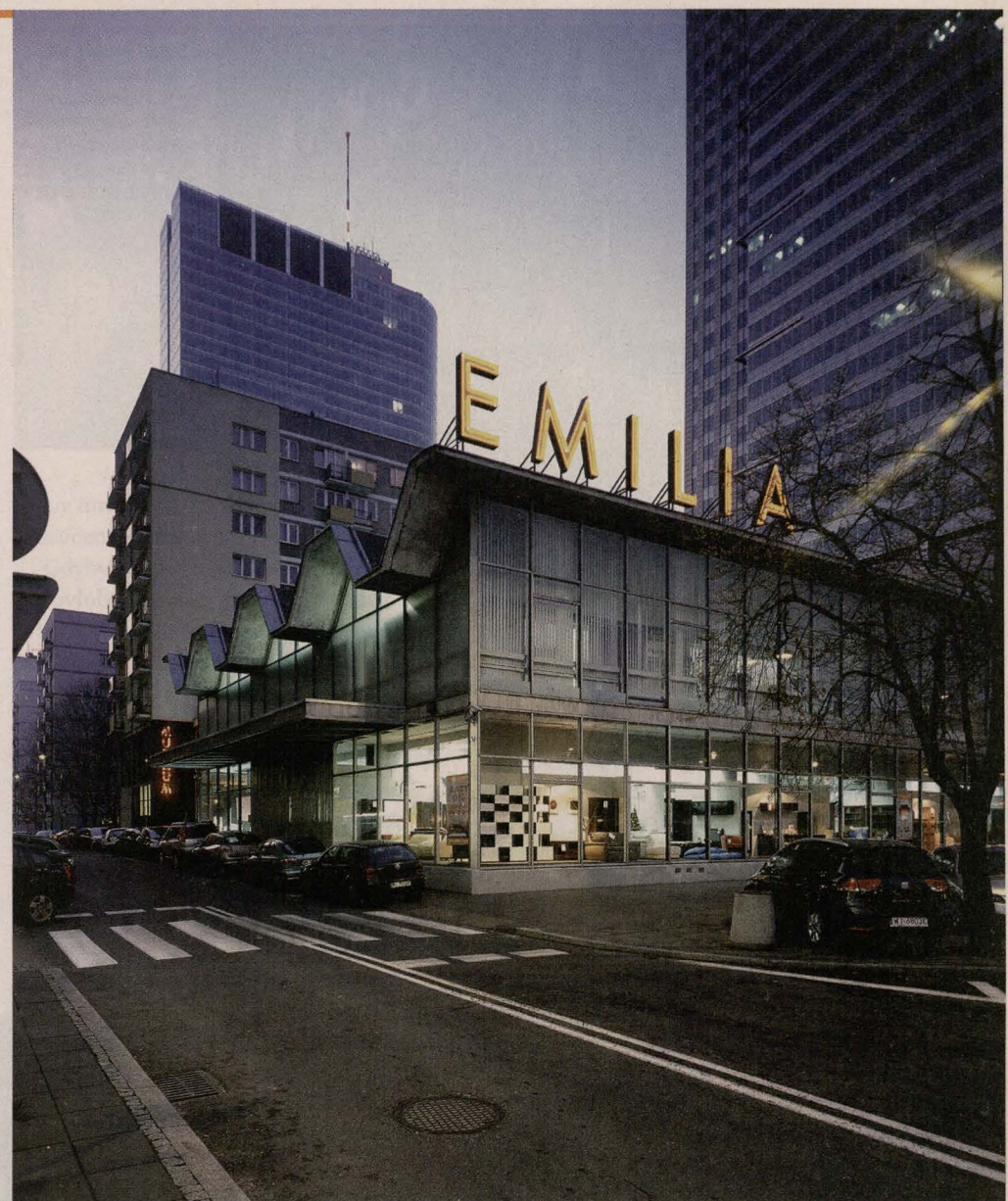
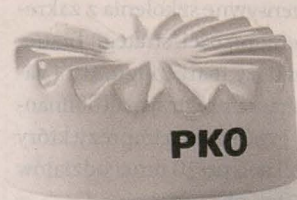
Zdarzają się i krzepiące przykłady, ale nie są one wynikiem przemyślanej polityki konserwatorskiej, tylko szczęśliwych zbiegów okoliczności. Stacja kolejowa Warszawa-Powisłe, podzielona w wyniku restrukturyzacji PKP między kilku zarządców, nie została całokształowo wyremontowana, ale renowacji doczekały się oba pawilony z kasami. Jeden – dzięki zaangażowaniu projektantów, warszawskiej pracowni MAAS – został wykończony

Nowy właściciel warszawskiej Emilii nie chce pogodzić się z tym, że uznano ją za zabytek. Sam najchętniej by ją zburzył.

nowymi materiałami, ale bliskimi oryginalnym. Drugi – znów dzięki świadomym architektom (Centrala) oraz najemcom (Bartek Kraciuk i Norbert Redkie) – poddany niskobudżetowemu remontowi z poszanowaniem oryginalnych elementów i zamieniony w kultowy bar Warszawa-Powisłe. Mniej szczęścia mają perony. Z okazji festiwalu Warszawa w Budowie w 2010 r. udało się odsłonić oryginalne wykończenie ścian wzdłuż schodów: błyszczące kwadraciki z czarne-

go szkła w oprawie szorstkiego tynku. Ale już parę miesięcy później, w ramach akcji „Let's Color”, sponsorowanej przez jednego z wiodących producentów farb, zamalowano je czymś w rodzaju street artu. Mniej więcej po roku, podczas nerwowych porządków przed Euro 2012, również te wątpliwe ozdoby pokryto farbą, tym razem jasnoszarą. Zasmarowano nią nie tylko ściany, ale nawet okna – po to chyba, żeby nie było widać, gdzie wstawiona jest szyba, a gdzie dykta.

Przypadkowym zwycięzcą Euro 2012 jest natomiast Dworzec Central-





TOMASZ PACZOS/FORUM

ny. Do niedawna trudno było kogokolwiek przekonać, że ten podziwiany 30 lat temu budynek ma jeszcze jakąś wartość. Gdyby nie poczucie obciachu związane z przyjazdem zagranicznych kibiców i jednocześnie posucha na rynku nieruchomości, albo niszczałby dalej, albo byłby już burzony, by zrobić miejsce dla nowej inwestycji. Tymczasem kosztem co najmniej 50 mln zł z Centralnym zrobiono to, o co prosił się od lat – umyto go, podmalowano, uporządkowano. PKP odgrają się, że nie porzuciły planów zastąpienia dworca nowym, znacznie większym budynkiem. Pozostaje nadzieja, że teraz, gdy nawet królowie malkontentów, czyli warszawscy taksówkarze, cmokają z podziwu, trudno będzie przekonać opinię publiczną, by się w dworcu odkochała.

Żużel zamiast pałacu

Takiego szczęścia w nieszczęściu nie miał dworzec w Katowicach. Słusznie znienawidzony przez podróżnych za wyjątkowo obskurne warunki, zarazem uwielbiany przez znawców architektury za wyrafinowaną konstrukcję i chropowatą fakturę „brutalnego” betonu, trafił na inwestora, księcia z bajki, który postanowił do spółki z PKP poca-

łować żabę i zamienić ją w księżniczkę. W zasadzie katowicki dworzec powtórzył los warszawskiego Supersamu. Były i ekspertyza techniczna wskazująca na zły stan budynku (według jej autorów – cytowana wybiórczo oraz tendencyjnie), i prasowa kampania żerująca na poczuciu wstydu z powodu opłakanego stanu budynku (nikt nie postawił pytania, czy burzenie jest jedynym sposobem na poprawę jego wyglądu). Odpór dawali znani architekci, na czele z Robertem Koniecznym, była też akcja na Facebooku pod hasłem „Brutal z Katowic”. Decydujący cios zadał wojewódzki konserwator zabytków, odmawiając objęcia ochroną nawet najcenniejszego fragmentu dworca – przeszkłonej hali z betonowymi słupami w kształcie kielichów. Dziś dworzec, a właściwie centrum handlowe z częścią dworcową, lśni nowością. Zaprojektowała go wielka pracownia Sud Architects, która ma na swoim koncie m.in. łódzką Manufakturę, przy współpracy uznanej śląskiej pracowni Medusa Group. Słupy kielichy zbudowano od nowa i wkomponowano w nową bryłę. Nie mają już ani chropowatej faktury, ani tego samego sensu konstrukcyjnego. To duch, hologram starego budynku, wmontowany w zupełnie nową strukturę, któ-

Stacja Powiśle już nie straszy – bar jest obowiązkowym punktem na nocnej mapie Warszawy, a sam pawilon wyrasta na atrakcję turystyczną.

ry tym się różni od poprzedniej, co fabrycznie słodzone cappuccino z proszku od prawdziwego, gorzkiego espresso. To powojenna architektura tworzy wizerunek i klimat dużej części Katowic, przypominając o czasach, gdy Śląsk jako strategiczny region PRL, dynamicznie rozwijał się pod okiem wojewody Ziętka i sekretarza Gierka. Nie dziwnego, że wszystko, co dotyczy dziedzictwa tamtych czasów, wzbudza emocje. Dworca nie udało się obronić przed wyburzeniem, ale za to Spodek – po protestach – oparł się wymianie elewacji i innym radykalnym przeróbkom. Niestety, latem 2011 r. legł w gruzach pobliski Pałac Słubów – z zewnątrz niepozorny pawilon, wewnątrz wypełniony psychodeliczną, opartowską dekoracją, rodem z „Złotej łodzi podwodnej”. Najsmutniejsze jest to, że nie ma pomysłu na to, co zrobić z samą działką, a za rozbiórką nie stoi żaden krwiożerczy inwestor, tylko... samorząd. Dziś na miejscu pałacu jest żużlowy parking.

Okrągłak jak Kopciuszek

Los katowickiego dworca i Supersamu mógł podzielić poznański Okrągłak. Niezwykły dom towarowy projektu Marka Leykama otwarto w połowie lat

Kiedyś dom towarowy, dziś biurowiec – poznański Okrągłak sprawdza się w każdej roli.



90. i od razu stał się on wizytówką stolicy Wielkopolski. Żelbetowy walec, kunszownie wstawiony między stare kamienice, do dziś imponuje swoją regularną, precyzyjną formą. Mimo to jeszcze 10 lat temu deweloper obracający resztkami PRL-owskiego imperium Domów Towarowych Centrum przekonywał, że budynek do niczego się nie nadaje, i blokował wpis do rejestru zabytków. Na szczęście urzędnicy wykazali się dużą odpowiedzialnością i asertywnością, a właściciel z czasem przestał postrzegać Okrągłaka jako obciążenie. Przeciwnie – zachował formę i nazwę budynku. Po zakończonym właśnie remoncie dom towarowy stał się wprawdzie biurowcem, ale od dziesięcioleci nie wyglądał tak dobrze. Inwestorzy i architekci (najpierw warszawska pracownia JEMS, potem RKW) nie mieli odwagi, by wrócić do oryginalnego, kontrowersyjnego koloru stolarki okiennej i zamiast w zieleń poszli w grzeczną, urzędniczą szarość, ale to nuanse. Okrągłaka spotkało zakończenie rodem z „Kopciuszka”.

Apel poległych

Szczęśliwe zakończenia, jak widać, się zdarzają, ale nie można liczyć na to, że będą regułą. Zbyt wiele zależy od zbiegów okoliczności i osobistego zaangażowania właścicieli czy architektów. Ciągłe bowiem nie ma mechanizmu ochrony powojennego dziedzictwa, brakuje niekwestionowanych kryteriów oceny tego, co należy zachować, a co można bez żalu złożyć w ofierze na ołtarzu wzrostu gospodarczego. Zwłaszcza że za statusem zabytku nie idą wbrew legendzie same kłopoty, ale ulgi podatkowe (na przykład właściele mieszkań w budynkach zabytkowych nie muszą płacić podatku od nieruchomości), i dotacje na remonty. Nie chodzi przecież o to, by przywiązywać się łańcuchami do każdego gomułkowskiego pawilonu, tylko – wyprzedzając



SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AG

plany inwestorów – objąć ochroną to, co najcenniejsze.

Gdybyśmy mieli takie mechanizmy, nie byłoby kryzysu, którym żyje teraz Warszawa. W pawilonie handlowym Emilia, zwanym pieszczotliwie Emilką, dwa pokolenia warszawiaków kupowały meble. Budynek z początku lat 70., dziś używany przez Muzeum Sztuki Nowoczesnej, po prywatyzacji sklepu meblowego trafił w ręce spółki deweloperskiej Griffin. Pawilon wkrótce wymagać będzie remontu, ale deweloper nie ukrywa, że woli go zburzyć. Trudno mu się pogodzić z tym, że budynek, który kupił za miliony złotych, wymagający kolejnych nakładów na remonty, został właśnie wpisany do rejestru zabytków, że wart jest ochrony. A jest! Ma unikalną konstrukcję i wyrafinowane rozwiązania przestrzenne, które sprawiają, że dach wydaje się unosić w powietrzu. Gdyby pawilon od dawna był w ewidencji, dyskusja byłaby niepotrzebna. Deweloper obszedłby Emilię szerokim łukiem. Zamiast liczyć na kolejne szczęśliwe zbiegi okoliczności, warto powalczyć o politykę konserwatorską, która pozwoli wyprzedzić kryzysy. Może wtedy skompilowana 10 lat temu lista dziedzictwa współczesnej architektury byłaby prawdziwą listą ikon, a nie apelem poległych czy listą kandydatów do odstrzału.

Happy end – te budynki uniknęły kilofa

Kino Stolica, Warszawa – mało brakowało, a byłby apartamentowiec. Wpis do rejestru zabytków pokrzyżował plany dewelopera, a FilMOTEKA Narodowa 9.11 zakończyła konserwatorski remont budynku, w którym stałą siedzibę znajdzie studyjne kino Iluzjon.

Okrągłak, Poznań – wpis do rejestru uratował 50-letni budynek przed rozbiórką. Lada chwila zapelnia się powierzchnie biurowe z widokami na zabytkowe centrum Poznania.

Kino Kosmos, Szczecin – w 1959 r. szczecinianie pękali z dumy i podziwiali nowoczesne mozaiki. Od 2003 r. kino zamknięte jest na glucho. Miała być rozbiezka, ale budynek wpisano do rejestru zabytków i właściciel musi się temu podporządkować. Niestety, nikt nie ma dobrego pomysłu na przyszłość pawilonu.

Dworzec Centralny, Warszawa – pośpiech przed Euro 2012 spowodował, że dworzec wyremontowano, zamiast go zburzyć. Dziś budynek znów zachwyca i chyba łatwo każdego przekonać, że zasługuje na wpis do rejestru zabytków.

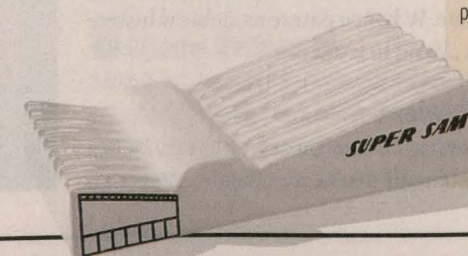
Pod znakiem zapytania – o nie jeszcze stoczy się walka

Pawilon Alga, Sopot – lekka konstrukcja jest ledwie widoczna spod warstw szyldów i bannerów, a fantazyjne zadaszenie nad tarasem zdemontowano dawno temu. Szkoda, można by z niego popatrzeć z wyższością na nowe, kiczowate budynki przy Monciaku.

Dworzec kolejowy, Tarnów-Mościce – dziś na stacji w Mościcach nie wysiadają już tłumy, ostatnio zamknięto nawet kasę, a imponujący pawilon z lat 70. stoi pusty. Kolej próbuje go sprzedać, ale (może na szczęście) nie ma chętnych.

Dworzec PKS, Kielce – futurystyczny terminal w kształcie UFO, z peronami na dachu, trzyma się nieźle. Ale czy gdy pojawi się inwestor z walizką pieniędzy, ktoś będzie go powstrzymywał przed rozbiórką?

Pawilon Emilia, Warszawa – wyrafinowane rozwiązania przestrzenne sprawiają, że dach Emilki wydaje się unosić w powietrzu, a podziemie nie jest ponurym lochem; przeciwnie – jest jasne i optycznie większe wnętrze niewielkiego pawilonu.



Sen o Warszawie” Magdaleny Estery kapińskiej to projekt sześciu ceramicznych miniatur modernistycznych perełek Warszawy. Powstał w 2009 r. jako projekt studencki, który został wdrożony do produkcji, i szybko stał się bardzo popularny wśród warszawiaków i nie tylko.

KAROLINA SULEJ

Na siodełku i w siodle

Masłowskiej rośnie konkurencja. Dominika Dymińska może wyglądać jak słodkie dziewczę, ale ma ostry języczek i równie zadziorne pióro. Jej „Mięso” to literacki debiut tej jesieni. Właśnie została uhonorowana nagrodą Warszawskiej Premiery Literackiej.

Powieść z pozoru przypomina pisaninę egzaltowanej licealistki, ale pod płaszczykiem pretensjonalności skrywa bezkompromisową ironię i dojrzałą przenikliwość. Dominika Dymińska z równą dezynwolturą bawi się tak polszczyzną, co czytelnikami. Dość bezczelna osóbką z tej młodej panienki. Jak stwierdziła w jednym z wywiadów: „Kobiety nie są od wyrażania opinii. Ostre spojrzenie nie jest dla kobiet”. Oczywiście miała na myśli coś wręcz przeciwnego. Oto, co kocha „stacyczna panienka”.

1 iPad

Zanim go kupiłam, wydawał mi się kompletnie niefunkcyjnym, lannerskim gadżetem. Od roku jednak się z nim nie rozstaje. To intuicyjne, funkcjonalne, prześliczne urządzenie, umożliwiające mi kontakt z całym światem, no może z wyłączeniem mojej macierzystej uczelni, Wydziału Lingwistyki Stosowanej, gdzie Internet często nie działa.

2 Jeździectwo

Na ten temat mam tak dużo do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć. Na pewno mogę zdementować ostatnie plotki, wedle których miałam rzucić jeździectwo. Będę jeździć nadal, ale mniej intensywnie. Nie potrzebuję tego tak bardzo, jak przed wydaniem „Mięsa”. Wtedy jazda konna strukturyzowała mój dzień, była punktem odniesienia, terapią. Teraz czuję się ze sobą lepiej, jestem sobie pewna, odważniejsza i mogę traktować jeździectwo już tylko jako przyjemność, a nie konieczność. Przede wszystkim chcę praco-

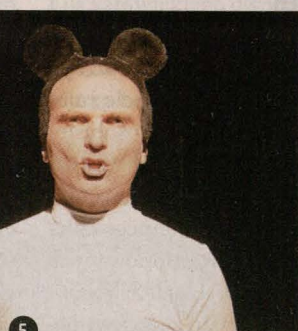
wać z moim młodym koniem, którego przywiozłam kiedyś z Mazur i wszystkiego sama od początku nauczyłam. W jeździectwie nie pociągają mnie ani romantyczne przejażdżki po lesie, ani kontakt z naturą, ani styl życia tzw. koniarzy, ale przebywanie z moim zwierzęciem, które jest ufnie, pojętne, z którym wspinałam się dogaduję. O wiele lepiej niż z ludźmi.

3 Samba

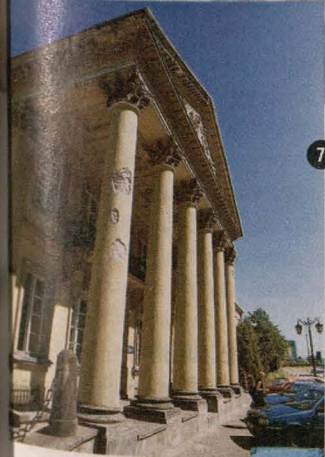
Tańczę od roku i pozostaję zafascynowana. Nie lubię fitnessu i siłowni, męczą mnie monotonia i hałas. Samba zaś jest pozytywnie transowa. Na pierwsze zajęcia poszłam trochę dla żartu. Zakochałam się jednak w instruktorce, bezpretensjonalnej, uroczej dziewczynie, i przychodziłam, aby na nią popatrzeć. Wciągnęłam się. Jestem dość sprawna fizycznie, ale ten taniec sprawiał mi na początku wiele trudności. Główne wyzwanie to osiągnięcie lekkości w ruchach, które mają wyglądać na naturalnie dynamiczne, chociaż w istocie są bardzo męczące. Niektórzy nigdy nie osiągną tej lekkości i będą zawsze wyglądać ciężkawo. To jest na tyle trudne, że patrzysz na siebie w lustrze i myślisz: „Cholera, co za porażka! Nigdy nie będę wyglądać, jak trzeba”. Teraz na szczęście nie jest już tak dramatycznie. W końcu patrzę na siebie w lustrze i myślę: „Wow, to jest ładne”.

4 Białowieża

Jest świetna, bo tam niczego nie ma. Nawet żubrów tam nie ma, są gdzieś dalej. Wszystko



Dominika Dymińska (ur. 1991) – tłumaczka, recenzentka kulinarna. Autorka powieści „Mięso”, uznanej za jeden z najciekawszych debiutów tego roku. Prowadzi bloga o restauracjach: Tastespotting.wordpress.com. Trenuje jeździectwo. Nie lubi piwa i podróży.



wygląda jak wielki skansen, wszędzie są małe, drewniane domki, gdzie można sobie wynająć pokój za 40 zł, a nagle w tym wszystkim świetne restauracje z kaczkami i halibutami. Można też zrobić sobie grilla i iść na spacer do lasu, w którym pełno jest znaków prowadzących do rozmaitych „miejsz mocy”, gdzie leżą piramidki z kamieni. Jest kompletnie bezsensowne i do bólu polsko. Wszystko w Białowieży jest znajdowaniem czegoś, gdzie nic nie ma, udawaniem, że coś jest, kiedy są co najwyżej pustka i panie sprzedające miód przy drodze. Mogłabym tam mieszkać.

5 „Sierakowski” Komuny Warszawa

To najlepszy spektakl, na jakim byłam w życiu, stwierdzam to bez wahania. Śmiałam się ciągle. Komuna jeździ po całym świecie, na edynburskim festiwalu teatralnym Fringe, najbardziej prestiżowym w branży, wszyscy się nią zachwycali. W Polsce nie wzbudziła takiego entuzjazmu. Krytyka Polityczna zaś się obraziła.

6 Miejskie rowery

Korzystałam z nich namiętnie, poki się troszkę nie obraziłam na Veturillo, bo system naliczał mi jakieś kosmiczne opłaty. Na szczęście udało się sprawę rozwiązać przez reklamację. Myślę, że jeśli ulepszą ten system na tyle, że będzie działał bez takich „kwiatków”, to te rowery naprawdę ułatwią nam życie. Faktem jednak pozostaje, że Warszawa nie jest miejscem dla rowerów i jazda chodnikiem, ślalomem między ludźmi, bywa średnią przyjemnością.

7 Liceum Bednarska

To miejsce wychowywania naprawdę świetnej młodzieży. Byłam tam na praktykach pedagogicznych i było fantastycznie. Ja do swojego liceum praktycznie nie chodziłam. Uważałam

za wielkie nieporozumienie, że mam chodzić do miejsca, gdzie ktoś mnie poniża, zmusza do robienia rzeczy, których nie potrzebuję i nie chcę. Nie uważam, żeby sposobem na motywowanie uczniów do pracy było wmawianie im, że mają zapieprzać, bo przecież są w elitarnym liceum. Miałam więc 30 proc. obecności w szkole. Nie wywalili mnie, bo to było bardzo dobre liceum, więc wyrzucenie kogoś byłoby ujmą na prestiżu. Sądję, że gdybym uczyła się na Bednarskiej, chodziłbym do szkoły regularnie. Uczniowie są tam traktowani jak ludzie, a nie jak dzieci. Widzi się jednostki, a nie „elitarne masy”. Nikt nie gada i nie przeszkadza na lekcjach, co najwyżej cicho skupia się na swoim telefonie. Grupy są małe, drzwi do sal otwarte, nie ma dzwonek, nie trzeba siedzieć na lekcji, jak się nie chce, można wyjść ze szkoły i iść do sklepu naprzeciwko. Jest bardziej jak na uczelni.

8 Restauracja Rozbrat 20

Klasa na tle warszawskich lokali, prawdziwie europejski poziom. Choć nadmiar krawaciarzy. W menu proste potrawy, jednak o wyrafinowanych smakach, dopracowane w każdym szczególe. Za każdym razem, kiedy tam idę, czuję się, jakbym sama sobie robiła prezent. Szczególnie lubię fantastyczną sałatę z wędzoną pierśią z kaczki. Zwykle nie chwale jednak tak chętnie. Rzadko na poważnie coś doceniam. Widać to na moim kulinarnym blogu – www.tastespotting.wordpress.com. Założyłam go, bo pomyślałam, że brakuje wpisów, które odbiegałyby od sztancy w rodzaju: „Na kulinarniej mapie Warszawy pojawiło się nowe, ciekawe miejsce” i wynurzeń dziewcząt, które chodzą do każdej nowo otwartej kawiarni i wszystko im smakuje. Mój blog jest zaś w konwencji, powiedzmy, subiektywno-złośliwej. Lubie chodzić po knajpach i odnotowywać wpadki, jedną za drugą, wytykać te małe porażki.



CEZARY POLAK

Apokalipsa dla nieletnich

Młodzież ma nowych bohaterów. Dystopie, futurystyczne powieści o ludziach walczących o przetrwanie w świecie zniszczonym przez wojny i katastrofy ekologiczne, lepiej **wyrażają lęki dzisiejszych nastolatków** niż opisy przygód czarodziejów i wampirów.

dla młodzieży. Na całym świecie trytomowa saga rozeszła się w ponad 50 milionach egzemplarzy. Szacuje się, że filmowa adaptacja pierwszej części książki z Jennifer Lawrence w roli głównej zarobiła ponad 700 mln dol. Zachęcone sukcesem amerykańsko-kanadyjskie studio Lionsgate szykuje ekranizację kolejnego tomu. „Igrzyska śmierci” są również bestsellerem na naszym rynku. Wydawnictwo Media Rodzina informuje, że nakład polskiego wydania zbliża się do 160 tys. egzemplarzy. Były już osobne publikacje trzech części sagi, luksusowa edycja całości w ozdobnym etui, „Igrzyskowy” e-book oraz audiobook. Teraz do księgarni trafiło nowe wydanie powieści. Tym razem w formie jednej książki, liczącej ponad tysiąc stron cegły, która zawiera całą trylogię.

Małoletni gladiatorzy

Szesnastoletnia Katniss Everdeen jest mieszkanką totalitarnego państwa przyszłości, które powstało na gruzach zniszczonych przez szereg katastrof Stanów Zjednoczonych. W państwie o nazwie Panem rządzi niesprawiedliwość społeczna. Składa się ono z 12 niewolniczych dystryktów, które są całkowicie podporządkowane Kapiitolowi i służą do zaspokajania potrzeb uprzywilejowanych mieszkańców stolicy. W przeszłości dystrykty wzniciły powstanie przeciwko nieludzkiej hegemonii. Bunt został jednak krwawo spacyfikowany przez centralę – w odwecie całkowicie zniszczony został 13. dystrykt. Dla upamiętnienia masakry, a zarazem w charakterze ostrzegawczego memento dla ewentualnych nowych rebeliantów, władze organizują coroczne Głodowe Igrzyska. Zawody nie mają nic wspólnego ze sportem – to krwawa rozgrywka, w której uczestniczą wyłącznie reprezentanci satelickich kolonii Kapiitolu. Każdy dystrykt zobowiązany jest wyasygnować chłopaka i dziewczynę w wieku 12–18 lat, którzy zamknieni na gigantycznej arenie, niczym gla-



diatorzy, walczą na śmierć i życie. Walczą nie tylko między sobą, muszą także uprawiać grę pozorów, żeby zdobyć przychylność widzów – całość jest bowiem ogromnym reality show transmitowanym przez telewizję. Zwycięzca bierze wszystko – luksusowy dom i zapas żywności dla całego dystryktu oraz wdzięczność swojej wygłodniałej społeczności. Ale to tylko jedna strona medalu. Katniss zgłasza się do zawodów na ochotnika, w zastępstwie za młodszą siostrę. Zakleszczona między życiem a śmiercią musi dokonywać dwuznacznych aliansów, wyborów mniej-szego zła i moralnych aberracji. Zawody potoczą się inaczej niż zwykle, Katniss stanie na czele antykapitolinśkiego powstania, dozna uczuciowej inicjacji w trójkącie, lawirując między dwoma absztyfikantami, wreszcie z chłopczycy wyćwiczonej w polowaniach na dzikie zwierzęta i wojowniczką, pogromczyni mutantów przestoczy się w piękną kobietę, salonową różę, zazna celebryckiej sławy i smaku władzy.

Zarówno problematyka, jak i sposób jej przedstawienia przekraczają standardy powieści dla nastolatków. „Igrzyska śmierci” to czołowy reprezentant najbardziej wyrazistego i chyba najpopularniejszego nurtu we współczesnej literaturze młodzieżowej – powieści dystopijnej. Young Adults, młodzi dorośli ze wszystkich kontynentów, niszczą wzrok, zaczytując się w ponurych wizjach społeczeństw przyszłości. Korzenie tych katastroficznych projekcji są dającym się logicznie wytłumaczyć następstwem współczesnych, dobrze znanych każdemu nastolatkowi problemów. W „Brzydkich”, „Ślicznych”, „Wyjątkowych”, „Nieważkich” Scotta Westerfelda jest to powszechna – nie tylko wśród trądzikowych i cherlawych uczniów – obsesja atrakcyjnego wyglądu. W „E-denie” Mikaela Olliviera i Raymonda Clarinarda – narkotyki, w „Nought and Crosse” Malorie Blackman – rasizm, w „Exodusie” Julii Ber-

Wyobraźcie sobie świat będący materializacją najczarniejszych przepowiedni, którymi straszą radykałowie różnej maści. Ci z lewa i z prawa, religijni talibowie i ateści, zwolennicy rządów silnej ręki i demokracji, ekolodzy i technokraci. Świat, który technologicznie góruje nad naszym tu i teraz, ale w sferze norm regulujących nie tylko życie społeczne, ale też kwestie prawa do biologicznego przetrwania, cofnął się do epoki feudalnej.

W takiej właśnie rzeczywistości musi się odnaleźć Katniss, bohaterka „Igrzysk śmierci” Suzanne Collins, najpopularniejszej powieści dystopijnej

tagny – problem starości i społeczne wykluczenie seniorów. „Dobrani” Ally Condie to rzecz o imperatywie samo-realizacji, konsekwencjach wolności wyboru i futurystycznym mezaliansie, zaś „Deklaracja” i „W sieci” Gemmy Malley opowiada o fatalnych konsekwencjach wynalezienia leku zapewniającego nieśmiertelność.

Cudotwórcy i mordercy

Brakującym ogniwem w tym zestawie jest – również dostępny w polsku – cykl „Gone” Michaela Granta. Oto pewnego dnia z typowego amerykańskiego miasteczka znikają wszyscy, którzy mają więcej niż 15 lat. Pozostali są zdani tylko na siebie – muszą na nowo zorganizować świat i uformować społeczeństwo. Sęk w tym, że nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Niektórzy objawiają cudotwórcze zdolności, inni natomiast skłonności do zabijania. Grant wpadł na genialny w swojej prostocie pomysł – jednym zabiegiem fabularnym opisał podstawowy lęk nastolatków, którym przestaje wystarczać lektura „Harry’ego Pottera”. Dla statystycznego 15-latką mającą w oddali dorosłość jest przecież nie tylko końcem dzieciństwa i przejściem na kolejny pułap życia, lecz końcem świata oswojonego i przewidywalnego.

W dobie recesji, kryzysu i rosnącego bezrobocia to przejście w dorosłość dla wielu młodych ludzi będzie traumą. A apokaliptyczne dystopie są barometrem tych nastrojów.

Autorzy dystopii bez ogródek przyznają, że ich książki mają także terapeutyczno-survivalowy charakter, oswajający czytelników z pogrzebanymi w epoce dobrobytu, a obecnie coraz bardziej realnymi wyzwaniami, które może postawić przed nimi rzeczywistość. – Współczesne dzieciaki nie przechodziły przez doświadczenie wojny, racjonowania i noszenia wody ze studni, nigdy też nie musiały troszczyć się o rozpalenie ognia i inne podobne sprawy, których doświad-



„Igrzyska śmierci” (reż. Gary Ross) weszły na ekrany polskich kin w marcu 2012 r. i już w pierwszy weekend obejrzało je ponad 90 tys. widzów. Na poprzedniej stronie: „Droga” (The Road”, reż. John Hillcoat), na podstawie powieści Cormaca McCarthy’ego, to jedna z najmocniejszych postapokaliptycznych wizji świata.

czyły wcześniejsze pokolenia. Dystopie pokazują świat z szerszej perspektywy – mówi Saci Lloyd, powieściopisarka i nauczycielka w szkole na londyńskim East Endzie, autorka „The Carbon Diaries”, o prawa do sfilmowania których bezskutecznie ubiegał się Johnny Depp.

– Wizje kreowane w dystopiach zderzają się z niepokojami młodych ludzi na temat ich przyszłości – dodaje Moira Young („Blood Red Road”). Meg Rosoff (m.in. „How I Live Now”) przekonuje, że lektura „romansu w warunkach przetrwania” działa na nastoletnie czytelniczki jak łagodzący balsam. – Kiedy utożsamiasz się z bohaterką, która ratuje świat, przestajesz się martwić tym, że nie masz chłopaka – mówi. Gemma Malley akcentuje rozrywkowy charakter lektury. – Dystopie zaspokajają apetyt nastolatków na adrenalinę – podsumowuje.

Trend ma płęć

Postapokaliptyczny trend w literaturze młodzieżowej ma płęć. Dystopijne powieści piszą głównie kobiety. I to właśnie im zawdzięczamy nowy typ bo-

haterki, której modelowym przykładem jest Katniss. To liderka w każdym calu: silna, zmotywowana w dążeniu do osiągnięcia celów, skutecznie rywalizująca z mężczyznami, a zarazem kobieca, delikatna, no i przede wszystkim skomplikowana. Bo Katniss nie pozwala zamknąć się w żadnym z paradigmatów i żadnej z odgórnie przypisanych społecznych ról. Nawet w roli współczesnej Julii – ma do dyspozycji dwóch Romeów i wcale nie jest skora oddać serce tylko jednemu z nich.

Część powieściowych dystopii pod względem czysto literackim to konfekcja. Przenosząc akcję w przyszłość, autorzy czują się zwolnieni z respektowania ciągu przyczynowo-skutkowego i grzęzną w nielogicznych konstruktach. Nawet „Igrzyska śmierci”, jeden z najciekawszych tytułów tego nurtu, można obśmiać za fabularne aberracje. Ale bardziej niż literaturoznawcy powinni pochylić się nad dystopiami raczej socjologowie. Tak czy owak, nie odganiajcie dzieciaków od dystopii. Raczej zastanówcie się, jakiego lekarstwa szukają w tej lekturze.

DOROTA CHROBAK

Sześć powodów, żeby zapaść w amerykański sen

American Film Festival to impreza terapeutyczna. Odbywa się w najpaskudniejszym okresie jesieni, gdy popołudnia są przygnębiająco krótkie, liście z drzew już pospadały, a śniegu jeszcze nie ma. Wówczas, gdy jedyne, na co mamy ochotę, to zapaść w sen zimowy, z ekranu spływa na nas amerykański sen. W dodatku za pośrednictwem filmów, których na co dzień w kinach się nie uświadczy. Oto nasz krótki przewodnik po trzeciej edycji AFF.



1 Jeśli masz szansę być na AFF od samego początku (od 13 listopada), wybierz się na seans otwarcia, czyli zwirowaną komedię Kochankowie z Księżycą. Moonrise Kingdom” jednego z najciekawszych reżyserów w amerykańskich, Wes Andersona. Obsada zapiera dech w piersiach: Edward Norton, Bruce Willis, Tilda Swinton, Bill Murray, ach...

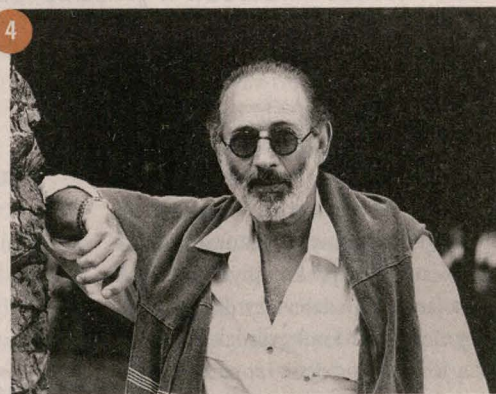


2 Przyjrzyj się bliżej sekcji „Spectrum”. To panorama niezależnego kina amerykańskiego z ostatniego roku, która z tym, co określamy mianem amerykańskiej komercji, ma niewiele wspólnego. Choć twarze, które patrzą na nas z ekranu, mogą się wydać znajome, jak ma to miejsce choćby w przypadku komediodramatu „Jeff wraca do domu” z Jasonem Segelem („Jak poznałem waszą matkę”) i Susan Sarandon w rolach głównych.



3 Spróbuj się dostać (choć zapewne nie będzie to łatwe) na jedyny, premierowy pokaz „Wielkiej powodzi”, najnowszego filmu jednego z najważniejszych współczesnych twórców awangardowych Billa Morrisona z muzyką na żywo w wykonaniu laureata nagrody Grammy Billa Frisella i zespołu. Pokaz połączony z koncertem odbędzie się 17 listopada o godz. 19 w kinie Nowe Horyzonty.

4 Porozmawiaj z gościem tegorocznego AFF i bohaterem retrospektywy, Jerym Schatzbergiem („Strach na wróble”, „Narkomani”). Legendarny, dziś już 85-letni reżyser jest ponoć także niezrównanym gawędziarzem, a anegdoty z życia jego licznych znajomych (m.in. Hendrix, Dylan, Zappa, Polański czy Coppola!) z powodzeniem mogłyby zapełnić opasłe tomiszcze.



5 Odwiedź klub festiwalowy Gradient (dawna Synergia) przy Rynku Solnym. W zeszłym roku furorę robił tu zwłaszcza drink na bazie pewnej irlandzkiej whiskey i soku żurawinowego. Pod jego wpływem nawet najbardziej zatwardziali wrogowie tańca pływali na parkiecie, a 100-procentowy introwertyk Todd Solondz („Happiness”, „Opowiadanie”) zaczął... mówić. I to jak interesująco!



Daj się ponieść magii kina. Znajdź wolną chwilę, przestuduj katalog festiwalu i wybierz te produkcje, które szczególnie cię pociągają (np. kultowe horrory z lat 30. XX w., m.in. „Dracula” Toda Browninga). Jest z czego wybierać. Podczas festiwalu zostaną pokazane 53 filmy, z których 35 będzie miało polskie premiery. Czasu też jest sporo. AFF potrwa do 18 listopada 2012 r.

PAWEŁ T. FELIS

Anderson kontra Anderson



Noszą to samo nazwisko, chociaż nie są spokrewnieni i nigdy się nie poznali. W swoich nowych filmach obaj podróżują w świat sprzed kilkudziesięciu lat, lecz inaczej. W „Kochankach z Księżyca” **Wes Anderson** patrzy na ten świat z nostalgią: był słodko-gorzki, ale piękny, bo uporządkowany i klarowny.

Paul Thomas Anderson w „Mistrzu” sugeruje coś przeciwnego – to po wojnie rzeczywistość stała się chaotyczna, niemożliwa do ogarnięcia. Czyli współczesna.

Początek „Kochanków z Księżyca” przypomina zaproszenie do zabawy, w której dzieci budują sobie model świata w miniaturowej kamerze przesuwającej się po kolejnych piętrach i pokojach domu dziewczynki o imieniu Suzy niczym po domku dla lalek. Zauważamy jej braci, rodziców i coraz więcej detali. Stół, bujany fotel, lornetka: wszystkie te elementy trzeba na siebie nałożyć, jak się nakłada instrumenty (informuje w tle audycja muzyczna), by powstała symfonia. Za chwilę ekscentryczny narrator powie, że mamy rok 1965, pokaże na mapie fikcyjną wyspę, gdzie wszystko jest logiczne, przejrzyste. Zarazem prawdziwe i bajkowe.

W „Mistrzu” odwrotnie: nie przejrzyste być nie chce. Zagadkowa jest już pierwsza scena – główny bohater Freddie (niezwykle „fizyczna” rola Joaquina Phoenixa) w towarzystwie kolegów udaje seks w wyrzeźbioną w piasku figurę nagiej kobiety. Przed chwilą zszedł z jednego statku, za moment wejdzie na następny. Skończyła się wojna, zaczął się powojenny chaos. I taki jest film Paula Thomasa Andersona: porwany, przeskakujący

z jednego epizodu do następnego, zmuszający widza, by z tych urywków, scen, obrazów, detali tworzył sobie fabułę niejako na własną rękę.

Ameryka w pogoni za autorytetem

Tytułowego „mistrza”, Lancastera Dodd’a, gra na przemian demoniczny i bezradny, cyniczny i pogubiony Philip Seymour Hoffman. Nawet jeśli doszukać można się w nim – jak plotkowano jeszcze przed

premiera – cech L. Rona Hubbarda, założyciela scjentologii, to postać u fikcyjności: guru, który otacza się bezwzględny wyznawcami i organizuje niemal mistyczne sesje pozwalające docierać do swoich poprzednich wcieleń. Przede wszystkim jednak showman, samozwańczy mędzec, który sprzedaje bajki, bo jego główna misja to uwodzić innych.

Uwiedziony zostaje również Freddie. Esencją filmu Paula Thomasa Andersona jest właśnie perwersyjna relacja prostego, złamanego wojną i życiem, zwierzęcego w odruchach wyrzutka bez swojego miejsca w świecie i jego nauczyciela – intelektualisty, manipulatora, który w swoim uczeniu – trochę synu, trochę służącym, trochę bodyguardem – zobowiązuje kogoś, kim sam chciałby być.

Perwersja tej relacji polega na tym, że chociaż Freddie nie wierzy w pretekstualne, parafilozoficzne i parareligijne idee szefa sekty, zarazem całkowicie ufa mistrzowi, poddaje się mu jak niewolnik. Od Freddiego uzależniony jest też Dodd: ten nieokrzesany chojrak jest dla niego większym wyzwaniem niż rzadziej pokornych wyznawców. Co dla Paula



GARETH MCCONNELL/EVINE/REX USA

Thomasa Andersona staje się pretekstem, by opowiedzieć o Ameryce: pogubionej, rozpaczliwie szukającej ratunku w autorytecie gotowej pójść za kimś, kto powie, jak żyć i co myśleć.

Schować się w... kinie

Jeśli kiedyś nauczysz się żyć bez mistrza, któremu służysz, daj nam znać, bo będziesz pierwszą taką osobą na świecie” – mówi do Freddiego Dodd. Bo w „Mistrzu” wolność jest iluzją – wszyscy funkcjonujemy w szponach jakiejś władzy, przejmujemy cudze myśli, wierzenia, idee. Tymczasem drugi z Andersonów, Wes, w „Kochankach z Księżyca” wie, że (albo udaje, że wierzy) w sytuację odwrotną: wobec chorej rzeczywistości, wobec tych, którzy nami sterują, można się zbuntować i żyć po swojemu. A przynajmniej trzeba się starać.

„Jesteś zdrajczynią naszej rodziny!” – rzuci do Suzy jej brat, na co ta odpowie: „Dobrze. Chcę nią być!”. Właśnie dlatego Suzy razem z Samem – para buntowników, jakich niby było wielu – uciekała. Mają 12 lat, ale wierzą, że będą się kochać już na zawsze. Ona zostawia infan-

tylnego ojca (Bill Murray), matkę (Frances McDormand) zdradzającą męża z policjantem (Bruce Willis) i codzienną nudę. On porzuca kolegów skautów uważających go za dziwaka i perspektywę powrotu do rodziny zastępczej, która – jak się okaże – wcale go nie chce. Mają namiot, kilka przedmiotów niezbędnych skautowi do przetrwania, sporo przygodowych książek. I ruszają przed siebie.

Gonią ich policja i szafująca groźbą elektrowstrząsów „opieka społeczna” uosobiona przez Tildę Swinton. Zaczną ingerować w ich przygody pioruny i huragany. Ale Suzy i Sam wydają się na wszystko odporni – nic ich zniszczyć nie może. Co nie znaczy, że „Kochankowie...” są błahą komedią z happy endem. Przeciwnie: Suzy i Sam to nadwrażliwcy notorycznie zderzani z okrucieństwem życia, które będzie ich „terroryzować” już zawsze. Ale reżyser daje im – a raczej nam, widzom – schronienie. Czyli wizjonersko i matematycznie rozpisany mikrokosmos zwany – kinem.

Mistrz arogancji w ekscentrycznym przebraniu

Kiedy dwa lata temu „Vanity Fair” opublikowało zestawienie najlepszych filmów dekady, pierwsze miejsce zajęło w nim „Aż poleje się krew” Paula Thomasa, a szóste – „Genialny klan” Wesa. Co nie znaczy, że ich pozycja w amerykańskim kinie nie jest kompletnie inna.

Filmy Paula Thomasa dostały 14 nominacji do Oscara, w tym dwie statuetki, a filmy Wesa – nominacji ledwie trzy. Pierw-

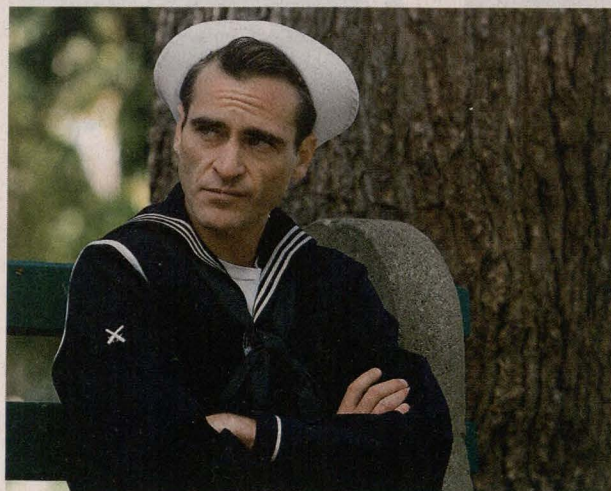
szy uważany jest za geniusza, współczesnego Stanleya Kubricka i Roberta Altmana, najlepszego żyjącego reżysera świata (według „Guardiana”). Drugi co prawda namaszczonego został przez Martina Scorsesse na swojego następcę, ale to wciąż twórca znacznie bardziej niszowy, artysta ekscentryk uwielbiany głównie przez swoich fanów.

W pewnym sensie są jak ogień i woda. Paul Thomas od dziecka niemal skazany był na sukces – wychowywał się w Kalifornii, a jego ojciec Ernie, aktor i lektor ABC, prowadził telewizyjny cykl prezentujący horrory, które nie tylko zapowiadał (często w ekscentrycznych przebraniach i charakterystycznych) ale też przeżywał w środku emisji swoimi komentarzami i żartami. Anderson znał wszystkich, których znać powinien, i wyrastał bez kompleksów. Przystojny mistrz arogancji (w jego wywiadach sprzed lat krytykował wszystkich oraz chętnie używał słowa „fuck”) i bywalec salonów: kiedy związany był z wokalistką Fioną Apple (wyreżyserował kilka jej klipów), nazywano ich „najseksowniejszą parą celebrytów lat 90.”

Dziś mieszka w Los Angeles – przy luksusowej San Fernando Valley. Od lat jego partnerką jest aktorka Maya Rudolph, skądinąd córka producenta filmowego i piosenkarki Minnie Riperton. Mają trójkę dzieci – o każdej z kolejnych ciąży Rudolph informowała przeciętnie w telewizyjnych wywiadach. Dojrzał, spoważniał, częściej przyznaje: „nie wiem” – mówią jego przyjaciele. Ale wciąż nietrudno wyprowadzić go z równowagi. Gdy zapytałem go, czy to prawda, że pokazał „Mistrza” na prywatnym pokazie Tomowi Cruise’owi, pierwszemu scjentologowi Hollywood, zachnął się: „A jak pan myśli? Proszę być wdzięczny, że pozwolę panu jeszcze dalej ze mną rozmawiać!”.

Szarmanski dandys z innej epoki

Wes to biegun przeciwny – zwykły, chorobliwie nieśmiały chłopak z Teksasu, który całe dzieciństwo marzył o posmakowaniu wielkiego świata, czyli Nowego Jorku. Być może w ogóle nie zostałby reżyserem, gdyby na uniwersytecie w Austin nie spo-



„Mistrz”, reż. Paul Thomas Anderson, USA 2012, Gutek Film, 137 min
 🍷 🍷 🍷 🍷

„Kochankowie z Księżyca”, reż. Wes Anderson, USA 2012, Kino Świat, 94 min
 🍷 🍷 🍷 🍷 🍷



tkał późniejszego aktora Owena Wilsona, z którym stali się najbliższymi przyjaciółmi i napisali razem pierwszy scenariusz: Wilson studiował anglistykę, Anderson – filozofię.

Jest jak szarmancki dandy z innej epoki: długie włosy, ubrania jak z lat 40., specyficzny, łagodny ton głosu i młodzięca twarz (choć jest rok starszy od Paula Thomasa, wygląda na co najmniej 10 lat młodszego). Stał się mistrzem ekscentrycznych, niepodrabialnych reklamówek, do których angażowali go m.in. producenci belgijskiego piwa, japońskich telefonów i Hyundai (w jednej z nich wystąpił sam Brad Pitt), ale budżety jego filmów są co najmniej dwa razy mniejsze niż twórcy „Magnolii” („Mistrz” kosztował 32 mln dol., „Kochankowie...” – 16).

Wes kręci zresztą zawsze w kręgu przyjaciół (najważniejsi z nich to Roman Coppola, brat Sofii i syn Francis Forda, oraz Jason Schwartzman). Siadają razem w kafejce, godzinami dyskutują, po czym Wes znika, bo musi „pobyć sam i zebrać myśli”. W ten sposób pracowali w Paryżu nad „Marią Antoniną” Sofii Coppoli, co Andersonowi tak się spodobało, że postanowił przeprowadzić się do francuskiej stolicy na stałe i zamieszkać na Montparnassie (to z tego mieszkania zdalnie sterował londyńską produkcją „Fantastycznego Pana Lisa”).

O Schwartzmanie Wes powiedział kiedyś: „Nie wiem, kto w tym związku jest dziewczyną, a kto chłopakiem”. Przy „Kochankach...” codziennym towarzyszem stał się Coppola: „Pracowaliśmy razem cały dzień, a wieczorem opowiadaliśmy sobie, co ugotowaliśmy dla naszych dziewczyn”. Bo „Kochanków...” Anderson dedykował Juman Malouf, pisarce i autorce książek dla dzieci, swojej wieloletniej partnerce („Bywa niewiarygodnie krytyczna, ale zawsze jest moją pierwszą publicznością”). „To ona pokazała mi, jak szczęśliwy może być związek i jaka może być siła miłości” – wyznał niedawno Wes. A jeszcze dwa lata temu opowiadał z gorczy: „Poświęciłem dla kina wiele: skończyłem 40 lat i nie mam dzieci – a pewnie bym miał, gdybym nie żył ciągle swoimi filmami”.

Dorota Chrobak o filmach



reż. Piotr Trzaskalski
Polska, 2012, 90 min,
dystryb. ITI Cinema
👍👍👍



reż. Victor Kossakovsky
Chile/Niemcy/Holandia/
Argentyna, 2011, 104 min,
dystryb. Against Gravity
👍👍👍👍

Katarzyna Nowakowska o serialach

Serialoterapia

W drugim sezonie „Bez tajemnic” na kozetce u Radziwiłowicza leczą się kolejne gwiazdy. Aż chciałoby się, by ten zdolny terapeuta uzdrowił pozostałe polskie serie.

Mamy dobrych aktorów, dobrych reżyserów, operatorów i nawet scenarzystów – choć wiecznie psioczemy na brak dobrych scenariuszy – też by się kilku znalazło. Ekipy techniczne nie są problemem, montażyści też raczej dają radę. Więc czemu te nieliczne polskie produkcje serialowe, które da się oglądać bez zgrzytania zębami, są przeważnie formatami jak „Krew z krwi” (Canal+) czy „Bez tajemnic” (HBO) właśnie? Czego, do diaska, nie umiemy? Może potrzebny jest producent – nie tylko majątny, jak te dwie wymienione stacje, ale też świadomy faktu, że realizacja serialu to sztuka? Nie tylko trudna i kosztowna, ale też bardzo zależna od dobrze napisanego skryptu. Zespoły scenarzystów pracujących nad świetnymi serialami to zazwyczaj niezłe think-tanki, złożone z utalentowanych fachowców, znających rzemiosło opowiadacza historii od podszewki. I dlatego, gdy oglądam „Bez tajemnic”, z przyjemnością wsłuchuję się w dialogi, podziwiam ich strukturę narracji, budowę opowieści. Tak skonstruowany scenariusz, wypełniony w dodatku niebiałymi treściami, można bez wstydu dać aktorom miary Radziwiłowicza, Jandy, Gajosa, Cieleckiej czy Stenki. Efekt na pewno będzie krzepiący.

„Bez tajemnic 2” (HBO) – 12 listopada

DRAMAT

Mój rower

Dziadek, ojciec, syn i pies – także płci męskiej – jadą na Mazury, by nakłonić seniorkę rodu do powrotu na łono rodziny. Wy-muszone spotkanie trzech pokoleń staje się okazją do rozliczenia z zadawnionych urazów. „Nieoczekiwana przerwa w życiu” to zawsze wdzięczny materiał dla filmowca (wyśmienite „Erratum”) – tym większa szkoda, że Trzaskalski nie pozwolił tej historii wybrzmieć. Zamiast zwolnić, skupić się na psychologii postaci i rozsmakować w urodzie wyrwanych codziennej rutynie chwil, mnoży sytuacje dramatyczne (zawłaszcza w końcówce). A swoich bohaterów filmuje z ręki, choć idealnie pasowałaby tu spokojna, statyczna kamera. Jest dobrze, choć mogło być świetnie.

DOCUMENT

Niech żyją antypody!

Dokument, a właściwie poemat dokumentalny, oparty na kapitalnym pomysle, znanym chyba każdemu z dzieciństwa: co by się stało, gdybyśmy przekopali się przez glob i znaleźli dokładnie po jego drugiej stronie? Kossakovsky konfrontuje cztery par takich miejsc i – chwała mu za to! – nie narzuca widzowi żadnej z góry przyjętej interpretacji. Obezwładnia za to urodą obrazów: soczystych, działających na wyobraźnię, momentami wręcz niepokojących (jęzory lawy na Hawajach wolno „pożerające” bujną przyrodę). Mniej wyrobionego widza może nieco zmęczyć kontemplacyjne tempo narracji, ale tych, którzy dadzą się uwieść, czeka wyjątkowo wysmakowane filmowe danie.



Crystal Castles „III”,
Universal
👍👍👍👍

PLYTA

Polityczne gry wideo

Z imprezy na barykady. Crystal Castles nagrali album zaangażowany. Chyba. Mówią, że ich „III” to płyta o opresji. Na okładce wykorzystali nagrodzone Press Photo zdjęcie Samuela Arandy, które przedstawia matkę obejmującą syna zagazowanego podczas zeszłorocznych demonstracji w Niemcnie. Ale największa wartość tego albumu polega na tym, że Crystal Castles przestali być zakładnikami wypracowanego wcześniej stylu. Kiedyś z uporem maniaka zapętlali melodyjki ze starych gier wideo, dziś ich znakiem rozpoznawczym wciąż jest ostry, przesterowany bit – tyle że więcej tu zimnych dźwięków budujących hipnotyczną przestrzeń. Teksty śpiewane przez Alice Glass, połowę kanadyjskiego duetu, niezmiennie są zagadką dla wyspecjalizowanych lingwistów – z tych jęków i wrzasków ciężko wyłapać treść. „III” to świetna, choć okrutnie hermetyczna płyta. Terror echa.

→ Angelika Kucińska

ONCZES

Hardcore’owy folk

W ich bujnych brodach najpewniej uwiły już sobie gniazda jaskółki, ale nie oceniajcie Dry The River po zarostach. Najciekawszy młody folkowy zespół zrobił furorę, bo z folkiem ma niewiele wspólnego.

Prawie 50 lat temu publiczność festiwalu w Newport wygwizdała Boba Dylana. Pówoł? Bob użył gitary elektrycznej, zdradzając muzykę zaangażowanych bardów – konfesyjną i akustyczną. Nie wiadomo, na ile to historyczne zdarzenie zainspirowało muzyków Dry The River, ale jedno jest pewne – pół wieku później nadal docenia się tych, którzy potrafią zamieszać. I choć kwintet z Londynu wizerunkiem, brzmieniem (gitary akustyczne, skrzypce, fałsety) oraz prostą melodyjnością piosenek idealnie wpisuje się w folkową estetykę, ich koncerty to zamach na stereotypowe wyobrażenie o gatunku. Podkreślone elektryczną gitarą i intensywnie emocjonalny rock and roll. Klasyka ascezyzmu plus niepasujących do siebie muzycznych wrażliwości zwrócił na nich uwagę organizatorów najważniejszych europejskich festiwali. W Polsce też już grali – na katowickim OFF-ie i gdyńskim Open’erze. Ci, którym nie było dane usłyszeć ich na żywo, mogą to nadrobić – Dry The River wracają do nas na kilka koncertów klubowych. To w końcu najbardziej nieobliczalny zespół ostatnich lat. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać. Poza brodami.

→ Angelika Kucińska

PLYTA

Na bogato

Drekoty zawzięcie sprawdzają, ile dźwięków da się upchać na jednej płycie. Miejmy nadzieję, że w przyszłości powalczą o inne muzyczne rekordy.

Brzmieniowy, barokowy przepych art popu konfrontuje się z zadziorem punk rocka i generalnym, ponadgatunkowym głodem eksperymentów. Prosta, taneczna motoryka gryzie się z nieprostymi, poetyckimi tekstami (poetyckimi nie tylko dlatego, że w kilku utworach wykorzystano poezję własną). Zgrzytliwe syntezatory wchodzą w sojusz z rozstrojonym pianinem. Słychać skrzypce, cytrę, kastaniety, radzieckie organy i parę innych rzeczy. Żeńskie Drekoty wydały przyzwoity debiut – „Persentyra” to dowód cudownie rozpasanej muzycznej wyobraźni i naturalnej, melodycznej swobody. Ale i niedoskonały – bo przegadany i przytłaczający nadmiarem wrażeń. Zamiast nagany apel na przyszłość – mniej zabawek, więcej konkretów.

→ Angelika Kucińska

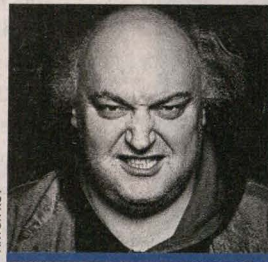


Maciej Nowak

Dlaczego Zadara to sukinkot?

Zadara jest strasznym sukinkotem. Ma wszystkie atuty w ręku. Jest świetnie i wszechstronnie wykształcony, choć nie w polskich standardach, dzięki czemu na naszą klasykę spogląda z dziecięcą pasją prostych pytań. Kto oprócz niego miał ostatnio odwagę wziąć się za „Odprawę posłów greckich”, która dla absolwentów polskich szkół ma wdzięk spękanego zbrojonego betonu? Gdy w Instytucie Teatralnym robiliśmy czytania wszystkich utworów scenicznych Słowackiego, on wybrał „Dziady”, bo słyszał, że to ważny tekst dla Polaków. Dopiero później zorientował się, że dziadów w naszej kulturze dostatek i te najważniejsze nie powstały pod piórem Słowackiego. Zna wszystkie języki świata, a przynajmniej te, które gwiazda salonów znać dzisiaj powinna. Jest czarujący, jest przystojny, a przy okazji posiada cechę, którą Rosjanie nazywają odarionnyj, czyli – obdarzony licznymi talentami. Najważniejszy z nich to małpia umiejętność robienia teatru.

Zainscenizuje wszystko. Kiedyś mówiło się o takich, że wyreżyserują nawet książkę telefoniczną. Dziś książek telefonicznych się nie używa, więc być może należałoby sprawdzić jego sceniczny instynkt na instrukcji obsługi drukarkoskanera, którego ja od miesiąca nie jestem w stanie uruchomić. Zresztą, co tu daleko szukać: w swoim dorobku ma spektakl oparty na wykonywanym na scenie badaniu USG. W rolach głównych wystąpili jego dopiero zbierający się na świat dzieciak oraz trzymająca go nadal w łonie mama, czyli wybitna aktorka, reżyserka i partnerka Zadary, Barbara Wysocka. Ciekawe, czy ich syn podziękuje rodzicom za tak wczesny debiut? Zadara jest też – i tę jego cechę lubię szczególnie – absolutnie nicobliczalny. Trzy czwarte środowiska teatralnego boczy się na zmiany w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, narasta coś, co nazwać można bojkotem, a tu Zadara chwali się, że napisał list do Tadeusza Słobodzianka z propozycją współpracy i będzie robił u niego „Płomienie” Brzozowskiego. Telefony się grzeją, skrzynki SMS-owe zapychają: „Zadara zdrajca”, „Zadara fiut”. A on przechodzi nad tym z uśmiechem genialnego sukinkota.



Kiedyś mówiło się o takich, że wyreżyserują nawet książkę telefoniczną.

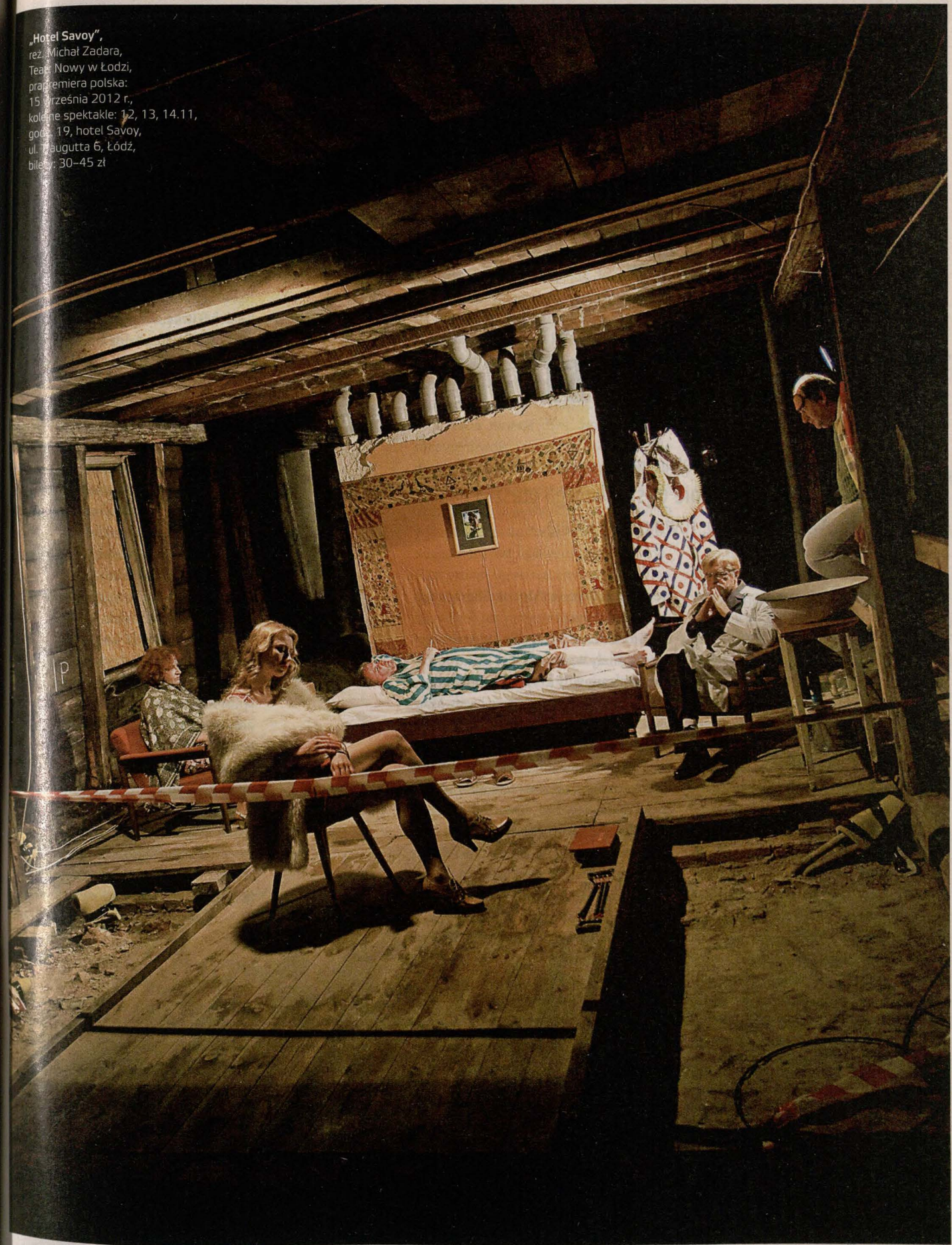
Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

Przymiotów w czepku urodzonego potrafi używać bezceremonialnie. Gdy w trakcie realizacji programu telewizyjnego o jego ostatniej premierze zdradziłem, że nigdy nie czytałem „Hotelu Savoy” Józefa Rotha, który właśnie zrealizował z aktorami Teatru Nowego w Łodzi, osmolił mnie wystrzałem z dwururki: – To bardzo charakterystyczne dla polskich intelektualistów, by lekceważyć utwory obcojęzyczne, które dotyczą Polski.

„Hotel Savoy” w reżyserii Zadary ma wszystkie zalety teatru robionego przez sukinkota. Oparty jest na pomysle prostym i sexy. Postaci i sceny zapisane przez Józefa Rotha rozsypano po wnętrzach mojego ulubionego łódzkiego hotelu Savoy. To w nim przed prawie 100 laty zatrzymał się Roth podczas powojennej ucieczki z Rosji na Zachód. Inscenizacja rozgrywająca się symultanicznie w kilkunastu miejscach nie daje możliwości odtworzenia akcji powieści, ale wprowadza w klimat Łodzi, w której u schyłku I wojny światowej z łoskotem otwierają się wrota piekła XX w. A spod tandetnej sukienki modernizacji w stylu polskiego biedakapitalizmu lat 90. wynurza się budynek nasycony wielkimi emocjami. To przypomina trochę reanimację pacjenta, na którym wszyscy postawili już krzyżyk. Ale nie Zadara. On walczy o Savoy. Podpowiedział nawet obecnym właścicielom, by do szafek nocnych w pokojach włożyli egzemplarze powieści Rotha, ale nie zrozumieli, o co mu chodzi. Zadara uwiódł za to zespół Teatru Nowego, który mieni się wszystkimi blaskami dobrze oszlifowanego brylantu. Latem w Edynburgu widziałem spektakl z udziałem grupy studentów łódzkiej filmówki. Byli śmiertelnie nudni. Pod ręką Zadary te same dzieciaki tworzą hotelowy band muzyczny i przeistaczają się w fascynujące osobowości, choć on sam twierdzi, że w tym projekcie reżyserowanie w ogóle go nie zajmowało.

Reżyser, któremu nie chce się reżyserować. Tak. Bo Zadara robi teatr od niechcenia. Na nic się nie sadzi, niczego nie udaje. Nie walczy o wielkie dzieła, opera magni, szedewry i totalne spełnienia. Od tego są inni artyści. Sukinkota to nie interesuje.

„Hotel Savoy”,
reż. Michał Zadara,
Teatr Nowy w Łodzi,
premiera polska:
15 września 2012 r.,
kolejne spektakle: 12, 13, 14.11,
godz. 19, hotel Savoy,
ul. Augustowa 6, Łódź,
bilety: 30–45 zł



MAŁGORZATA MINTA

Narodowy ptaszek na telefon

Amerykanie w listopadzie namiętnie jedzą indyki, a Polacy przypominają sobie, że oni nie gęsi i swojego ptaszka na okoliczność świąt narodowych, i nie tylko, również posiadają.

Kurczak – obowiązkowo. Kaczka? Bez większych problemów. A gęś? Jeszcze kilka lat temu dań opartych na gęsinie można było szukać w menu restauracji (nie licząc tych serwujących kuchnię żydowską) ze świecą. Jednak dziś, wraz z nadejściem jesieni, dania z gęsiny coraz częściej pojawiają się w menu jako sezonowy, tradycyjny specjał.

Biskup w szopie z gęsiami

Według popularnej legendy, wszystko zaczęło się od św. Marcina. Po śmierci biskupa z Tours Marcin został mianowany jego następcą, ale niezbyt się kwapił do przyjęcia powierzonej mu funkcji. By uniknąć czekającego go zaszczytu, postanowił schować się w klasztornej szopie i przecześć całą sytuację. Niestety, w szopie były gęsi, które na widok człowieka podniosły wrzawę i zdradziły miejsce jego pobytu. Marcin został biskupem, a pieczona gęś stała się tradycyjnym daniem, zwyczajowo podawanym 11 listopada, w dniu imienin świętego. Zwyczaj ten jest dzisiaj najbardziej roz-

powszechniony w Austrii, Niemczech oraz we Francji.

Niezależnie od tego, czy gęsi rzeczywiście miały wpływ na losy biskupa Tours, wiele prawdy kryje się w powiedzeniu, że „gęsiną jest najlepsza na św. Marcina”. A to dlatego, że po kilku miesiącach letniego i wczesnojesiennego wypasu gęś jest wówczas najtłustsza. Dawniej za ubojem u progu zimy przemawiały też względy praktyczne – przez zimę trudno było wszystkie gęsi wyżywić.

– Gęś była od wieków obecna na polskich stołach, ale zawsze raczej jako jedzenie odświętne – mówi „Przekrój” prof. Dumanowski.

wi” prof. Jarosław Dumanowski, historyk z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, badacz dawnych książek kucharskich. W najstarszej znanym polskiej książce kucharskiej, wydanej w 1682 r. „Compendium Ferculorum” Stanisława Czernieckiego (książkę we współczesnym opracowaniu wydało Muzeum-Pałac w Wilanowie) można znaleźć dwa przepisy na potrawę z gęsiną. W rozdziale „Additament albo przystawka”, traktującym o dodatkach serwowanych po głównych daniach, zamieszczono receptury na „Gęsi albo kaczki dzikie na zimno” oraz „Gęsi albo kaczki dzikie w winie na zimno”. – Tak naprawdę Czerniecki wykorzystuje gęś o wiele częściej, podpowiadając, że można ją używać wymiennie z kapłonami. Gęsiną stanowiła także składnik jego „falszowej”, bo gotowanej bez krwi czernicy, która zarówno w smaku, jak i wyglądzie jest zbliżona do tej prawdziwej – dodaje prof. Dumanowski. – Więcej gęsiny pojawia się w XVIII-wiecznym „Kucharszu doskonałym” Wojciecha Wielądki.

Jak przyznaje ekspert, gęsiną odgrywała ważną rolę na terenach dawnego zaboru pruskiego, co widać w tamtejszych książkach kucharskich z przełomu XIX i XX w. – Gęsiną była w nich wykorzystywana „do cna”, podawano w nich przepisy na potrawki, kielbaski, dania z gęsiną podrobów – wyjaśnia prof. Dumanowski.

Mimo wielkiej popularności w XIX w. (wówczas na giełdzie spożywczej w War-

szawie sprzedawano rocznie 3,5 ml sztuk żywych gęsi, głównie na rynek pruski) na początku XX w., po II wojnie światowej, gęś popadła w zapomnienie. Przewidywano, że nie stanie się industrializacja rolnictwa PRL (gęsi są dość „dzikie” i najlepiej mają na wolnym wybiegu), a potem zachłystnięcie się obcą kuchnią, z pizzą na czele. Jednak to się zmienia, a gęsiną w jesienno-zimowym menu Polaków pojawia się coraz powszechniej.

Po pierwsze: nie odgrzewać!

Gdy wspominam swoją rodzinną kuchnię, pamiętam głównie słoiczek z gęsim tłuszczem, który dodawano do kapuśniaku lub krupniku – opowiada Agata Wojda, szefowa kuchni warszawskiej restauracji Opasły Tom PIW. – Za to siostra mojej mamy miała zwyczaj podawać gęsiną na specjalne, uroczyste okazje, np. na świąteczny obiad w Boże Narodzenie. Ciotka przyrządzała ją bardzo klasycznie, z jabłkami i majerankiem. W jej kuchni był nawet specjalny podłużny piecyk, do którego wkładano brytfankę – dodaje specjalistka od sezonowej, slowfoodowej kuchni. Podobna gęś, z jabłkami i majerankiem, pojawia się we wspomnieniach Artura Moroz, szefa kuchni restauracji Bulaj w Sopocie. – Gęś pojawiała się u nas jesienią. Nie jełliśmy jej co tydzień czy co dwa tygodnie, ale na pewno od czasu do czasu lądowała na stole – mówi Moroz, który od kilku lat bierze udział w akcji promującej gęsinę. Kucharz podkreśla, że gęsiną to produkt bardzo sezonowy. – Jesienią i zimą nie mamy ochoty na lekkie dania, na przykład na ryby. Nasz organizm sam domaga się czegoś bardziej zdecydowanego, wysokokalorycznego, np. dziczyzny, kaczki czy właśnie gęsiny – mówi. Podobnego zdania jest Agata Wojda: – Gęsiną gości w menu Opasłego Tomu PIW od kilku lat. Serwujemy ją w listopadzie i grudniu. Ale niektórzy goście dopytują się o nią już w połowie października.

Jak opowiada restauratorka, 11 listopada, a więc w dniu św. Marcina, przychodzą goście całkowicie oddani gęsinie. Ale dania z gęsi cieszą się popularnością i później.

Ostatnio coraz częściej można gęsinę zamówić prosto z gospodarstw, wiadomość rozchodzi się pocztą pantoflową lub via Facebook.

Gęś na telefon

Wokół gęsiny narosło sporo mitów, np. że jest sucha i twarda. – Jest takie zabawne powiedzenie, że gęś będzie albo twarda, albo miękka i nigdy nie wiemy, na jakie mięso trafimy – opowiada Moroz. Na poważnie udziela kilku rad, o których warto pamiętać, zabierając się do przyrządzania gęsi w domu. – Po pierwsze, ważna jest temperatura: nie powinna być zbyt wysoka. Trzeba też zwrócić uwagę na sposób pieczenia. Na kilogram gęsi powinniśmy liczyć 45 minut pieczenia w temperaturze 160 stopni.

Zasada numer dwa: powstrzymać niecierpliwość i nie zaglądać co chwilę do piekarnika, by nie uwalniać pary. Dopiero na finiszu pieczenia można uchylić drzwiczki, by na przykład podlać mięso wytapiającym się tłuszczem. Innym rozwiązaniem jest upieczenie gęsi w – nomen omen – gęsiarce, czyli dużej żeliwnej brytfannie, która skutecznie zatrzyma wilgoć przy mięsie i zapobiegnie jego wysychaniu. – Gęś warto też faszerować – proponuje Agata Wojda. Kapustą kiszoną, owocami, kaszami. To chroni przed wysychaniem mięsa, ale też wzbogaca smak. Kolejna złota zasada – pieczonej gęsi nie odgrzewamy, bo to grozi tym, że mięso będzie twarde i mało smaczne. Z tego, co zostanie po gęsiu uciesze, można przyrządzić np. rodzaj cassoulet z fasolą albo mięsne nadzienie do pierożków.

Kupienie świeżej gęsi nie jest łatwe (ostatnio coraz częściej można ją zamówić prosto z gospodarstw, wiadomość rozchodzi się pocztą pantoflową lub via Facebook, a ostatnio ruszyła też strona www.gesnatelefon.pl z listą sklepów oferujących gęsinę). Mrożona też nie jest zła, jej mięso staje się kruche. Artur Moroz na koniec stwierdza, że w ostatnich latach przeszliśmy kulinarną rewolucję. Coraz chętniej wracamy do lokalnych, sezonowych smaków, np. pasternaku, polskich ryb czy właśnie gęsiny. – Mamy przecież przysłowie o podawaniu gęsiny na św. Marcina. Po co wymyślać nowe zwyczaje? Wystarczy trzymać się tradycji – zachęca Agata Wojda.

Autorka jest dziennikarką „Gazety Wyborczej” i „Wyborcza.pl”

Przepisy

Gęś konfitowana

Przepis Agaty Wojdy

- 4 udka lub piersi gęsie
- 2 główki czosnku (w łupince)
- cząber
- 1–1,5 kg gęsiego smalcu
- gruba sól
- młotkowany czarny pieprz

Mięso natrzeć solą, pieprzem, obsypać cząbrem i ząbkami czosnku w łupinie. Zostawić na noc w lodówce. Następnego dnia w solidnym garnku o grubym dnie rozpuścić smalec, do chłodnego tłuszczu włożyć mięso oraz czosnek. Podgrzewać na jak najmniejszym ogniu tak długo, aż mięso całkowicie zmięknie (może to zająć od dwóch do nawet czterech godzin). Tak przygotowaną gęsinę warto pozostawić w tłuszczu na noc i następnego dnia odgrzać w piekarniku (170° C) przez 20–25 minut. Mięso można zrumienić na suchej patelni. Podawać z puree z fasoli i duszonym jabłkiem.



Gęsiną w kiszonej kapuście

Przepis Artura Moroz

- 1 cała gęś (lub 4 udka)
- kapusta kiszona – tyle, ile gęsi
- pęczek włoszczyzny (z cebulą)
- mała garść suszonych grzybów
- kilka ziaren ziela angielskiego
- 2–3 liście laurowe, sól

Gęś pokroić na spore kawałki, natrzeć solą i odstawić na 30 minut. W międzyczasie nagrzać piekarnik do 220 stopni. Gęś piec przez 15 minut. Na dnie brytfanki ułożyć pokrojoną włoszczyznę. Na niej warstwę kiszonej kapusty z zieleń angielskim i listkiem laurowym oraz kilkoma suszonymi grzybami, następnie kawałki gęsi. Przykryć kapustą z przyprawami. Do garnka wlać tłuszcz i sok, jakie pozostały z opiekania gęsi, uzupełnić wodą. Ustawić brytfankę na kuchence i gotować na małym ogniu przez około 2,5 godziny. Ogień wyłączyć, gdy gęś będzie niemal gotowa – mięso dojdzie dzięki temperaturze utrzymującej się w garnku.



WOJCIECH BOŃKOWSKI

Więcej niż wino

Sto kroków dzieli dom Peppina Impastato od siedziby szefa lokalnej mafii. Codziennie te sto kroków przemierza ojciec Peppina, by zdawać raport bezwzględnemu Tano Badalamentiemu.

Jest przełom lat 60. i 70. Włochy rozrywane są polityczną walką chadecji i lewicy. Ale na Sycylii niepodzielnie rządzi mafia. Kontroluje wszystko – od lokalnego parlamentu i policji, przez przetargi, aż po najdrobniejszy przejaw życia codziennego. Od mafii zależy, czy otworzysz bar, zdasz na uniwersytet, zostaniesz dopuszczony do polowu tuńczyka. W rodzinie Peppina do mafii należą i od mafii zależą wszyscy. Ojciec jest płótką w strukturach organizacji w Cinisi, mieście położonej niedaleko Palermo. Kuzyn ojca, Cesare Manzella, jest za to ważną figurą w cosa nostrze. Kontroluje przemysł heroiny do Ameryki. Pada ofiarą mafijnej wojny na górze. Pewnego pięknego kwietniowego ranka 1963 r. wsiada do swojego alfa romeo i wylatuje w powietrze.

W 15-letnim Peppinie Impastato coś wtedy pęka. Buntuje się przeciwko brutalności mafii, zrywa stosunki z ojcem. Zostaje aktywistą lewicy, najpierw organizuje koncerty i wieczory dyskusyjne, w 1978 r. wykonuje kolejny krok – zakłada rozgłośnię Radio Aut, która staje się tubą antymafijnego protestu. Z pozoru satyryczne audycje w istocie demaskują system mafijnej władzy. Z największą pasją Peppino obnaża występki znienawidzonego Badalamentiego. Radio Aut to jeden krok za daleko. Impastato zostaje zgładzony przez mafie w maju 1978 r. Ma 30 lat. Spotyka go w dodatku perfidna ironia losu – tego samego dnia gi-

nie z rąk Czerwonych Brygad premier Aldo Moro i losem lokalnego bohatera z Sycylii nikt się nie interesuje. Postać Impastato przypominał dopiero film „Sto kroków” z 2000 r. (reż. Marco Tullio Giordana).

Dzisiaj władza mafii na Sycylii kruszy się powoli, ale nieubłaganie. Za sprawą bohaterów śledczych, takich jak Giovanni Falcone, struktury cosy nostry zostały w dużym stopniu zlikwidowane. Przy okazji tej likwidacji mafii konfiskuje się ogromne dobra – nie tylko gotówkę, ale i ziemię. A na tej ziemi rodzi się wino. Zarządza nią fundacja Libera, która powołała do życia Centopassi, spółdzielnię rolną, gdzie na 90 hektarach dawnych nieużytków uprawia się winorośl.

I to jak się uprawia! Od pierwszych roczników te wina zrobiły w Italii furorę. Piłem je niedawno w Palermo i padłem z wrażenia. Wyglądają pięknie, przykuwają oko wysmakowaną szatą graficzną, a w butelce też bomba. Wina białe i czerwone, od taniutkiego Centopassi aż po droższe etykiety, nazwane od poszczególnych posiadłości skonfiskowanych mafii i imionami bohaterów walki z wszechpotężną organizacją. Typowe sycylijskie Nero d'Avola, zwykle wino smaczne, owocowe, ale cokolwiek nudne, tutaj nabiera nieoczekiwanych barw: smakuje czarnym pieprzem, tytoniem, kaziidłem, garbniki są delikatne, całość ożywia przyjemny kwas (trudny do uzyska-



- 1. San Patrignano Aulente Rosso 2010, ok. 45 zł
- 2. Centopassi Rosso 2011, ok. 5,50 €
- 3. Centopassi Catarratto Terre Rosse di Giubbascio 2011, ok. 10 €



WOJCIECH BOŃKOWSKI

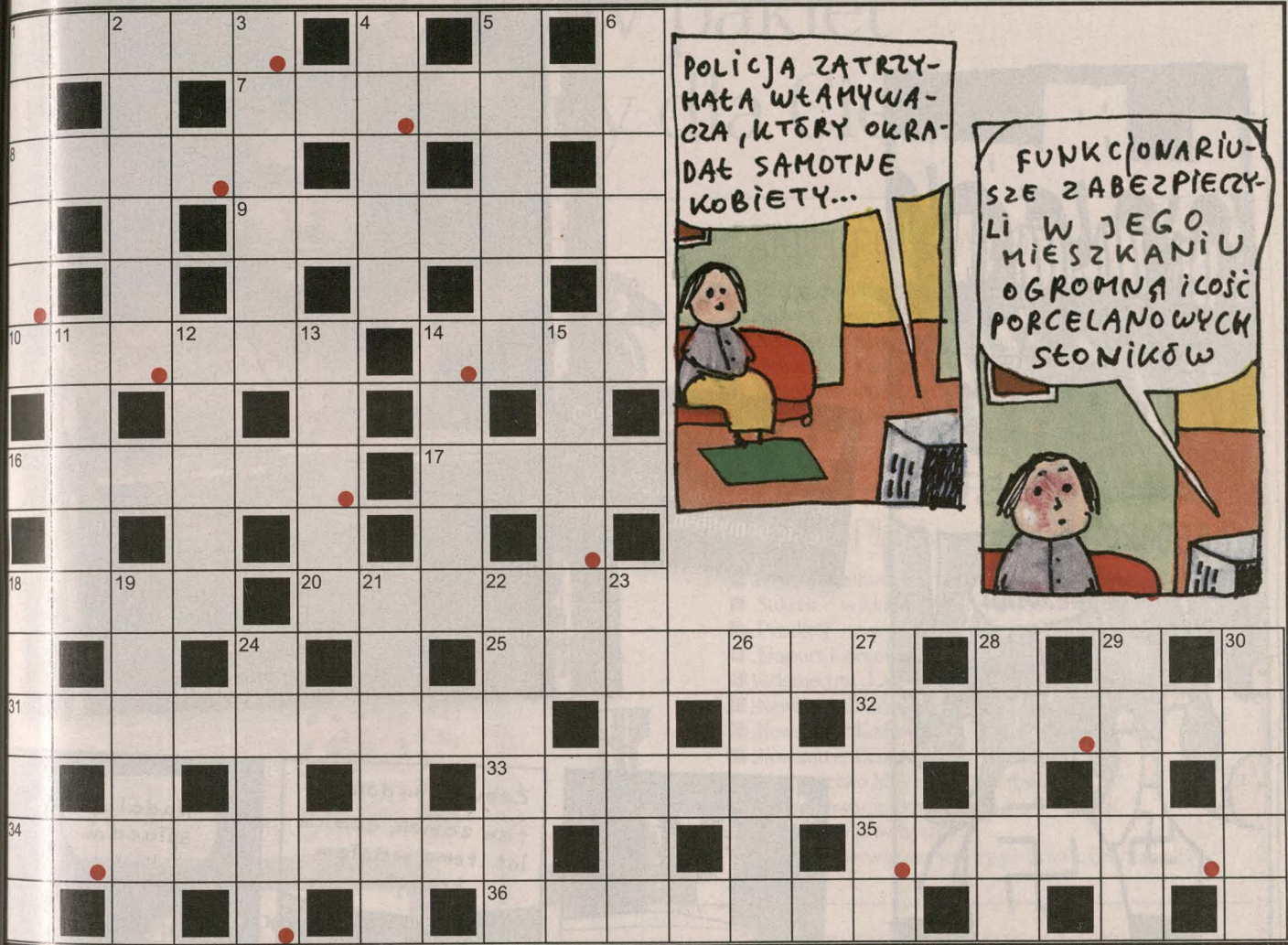
Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winicjatywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

nia w Nero d'Avola). Białe wina z sycylijskich szczepów Catarratto i Grillo nie przypominają samych siebie – zamiast mdłych cukiereczków wlewają się w gardło z dynamiką Jerzego Janowicza, do słodkawej brzoskwin dodają cytrynę i intrygujące nuty słone. Mają być dostępne w Polsce za kilka miesięcy.

Winnice leżą w północnej części Sycylii, na południe od Palermo w okolicach miasteczek Corleone i Piana degli Albanesi. Niby blisko morza, a tak naprawdę pejzaż jest górski, różnice wysokości ogromne, wiodą zapierają dech w piersiach. Winnice na stromych stokach trudno jest uprawiać, ale chętnych do pracy nie brakuje. Niezwykła historia Centopassi przypominała mi inny podobny projekt we Włoszech – San Patrignano, winiarnię prowadzoną jako terapię dla eksnarkomanów na odwyku. Tam w 100 proc. prywatny ośrodek rehabilitacji osób uzależnionych poprzez pracę ma ogromne sukcesy np. w hodowli psów przewodników i wyścigowych koni. Robi także bardzo dobre wina. m.in. popularne już w Polsce Aulente, Avi i Noi. Są to bardzo udane butelki w konkurencyjnych cenach. Ale przecież nie tylko o to chodzi. Kupując wino San Patrignano czy Centopassi, dostajemy coś więcej niż wino.

www.centopassisisicilia.it
www.sanpatrignano.org

Wskazywane przez kropki pola w krzyżówce tworzą rozwiązanie.



POZIOMO:

- 1. MAŁY ARAB
- 7. WYCHODZI DO OGRODU
- 8. SUNIE SANIE
- 9. Z ARCHIWUM X
- 10. MAŁY SZ
- 14. DO DIABŁA Z NIM
- 16. DRAŻY SKAŁĘ
- 17. DO OBRANIA, GOTOWANIA
- 18. COŚ OD CZAPY

- 20. W ŻŁOBKU LEŻY
- 25. ODKŁADANY NA BOKU
- 31. GROMY Z AMBONY
- 32. GDZIE KRÓL Z PIECHOTĄ CHODZI
- 33. GOŁOSŁOWNY RAZ W MIESIĄCU
- 34. BĘDZIE MISTRZEM
- 35. KOŃ Z POWYŁAMYWANYMI NOGAMI
- 36. WYSZEDŁ NA STRONĘ

PIONOWO:

- 1. ZACHCIEK
- 2. RYBKA ZWANA LAMPĄ
- 3. W W KARCIE
- 4. MUS NA KRUS
- 5. MASZYNA DO ŁAMANIA
- 6. PAN PRZY KOŚCI
- 11. TAŃCZY NA RURZE
- 12. OWCZY PĘD

- 13. KROWI KOLOR
- 14. OT CO W OCCIE
- 15. CZŁOWIEK GWIAZDA
- 18. Z RODZINY WAŁĘSÓW
- 19. CHOINKĘ BOMBKAMI, ŁOBUZIE
- 21. POŚCIELÓWA
- 22. CZĘŚĆ CIAŁA REDAKCYJNEGO

- 23. SAMIEC KUKUŁKI
- 24. CZARNY I TWARDY
- 26. SŁABA TRÓJKA Z ANATOMII
- 27. ZNAWCA DROGI DO RAJU BRAM
- 28. CIENKA KSIĄŻKA
- 29. ODGŁOS KLAPY
- 30. I UMARŁKA



Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Równoleżnik zero” Olgierda Budrewicza wyd. Global PWN. Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: Presspublica sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 46”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 18 listopada 2012 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Presspublica sp. z o.o. jest organizatorem konkursu z nagrodami rzeczowymi. Aby wziąć w nim udział, należy w trakcie trwania konkursu prawidłowo rozwiązać krzyżówkę publikowaną w tygodniku „Przekrój”. Rozwiązanie krzyżówki należy przesać na kartce pocztowej na adres redakcji. Zwycięzcy zostaną wyłonieni po zakończeniu konkursu w drodze losowania. W przypadku wygranej imię i nazwisko laureata oraz miejscowość jego zamieszkania zostaną opublikowane w tygodniku „Przekrój”. Udział w konkursie i przesłanie kartki pocztowej z rozwiązaniem krzyżówki są jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.

LAUREACI Z NR. 43

Ewa Ziety, Mragowo; Justyna Golowczyk, Kamienna Góra; Mariusz Sepiolo, Warszawa; Anna Postolowska, Wałbrzych; Wojciech Szmyt, Bydgoszcz; Maria Bajerska, Piła; Dorota Piasecka, Szprotawa; Dorota Smoczyńska, Warszawa; Alicja Knoll, Jelenia Góra; Anna Zaluska, Ostrołęka

ROZWIĄZANIE Z NR. 44

KRZYŻÓWKA: DO MATKI POLKI

POZIOMO: 1. PRZERAŻA GRZYBIARZA – BAGNO 7. PIOSENKA NA BAL – BALLADA 8. STRZEŻONEGO STRZEŻE – DOZÓR 9. JEGO ZAWSZE NA WIERZCHU – OKRYCIE 10. ZIOMEK BABCI – RODAK 13. KAMIEŃ MLYNARSKI – AGAT 14. KULA U NOGI, KAMIEŃ U SZYI – BALAST 17. ROZRZUTEK – MARNOTRAWCA 18. PRZYNOSI PATYK NA PLAŻY – FALA 20. MODA PO GOLENIU – KRAWAT 25. CIĄGNIĘTY ZA JĘZYK W SZKOLE – TRAMPEK 31. CZARNY BANDERAS – KORSARZ 32. NATURALNY DOPALACZ – ANIMUSZ 33. CZŁOWIEK Z DOBRĄ KARMA – KARMICIEL 34. PODKOŁANÓWKA – JEZDNIA 35. O ZDOBNE – INICJAŁ 36. KOBIETA ALBO PARA – ZAKOCHANA

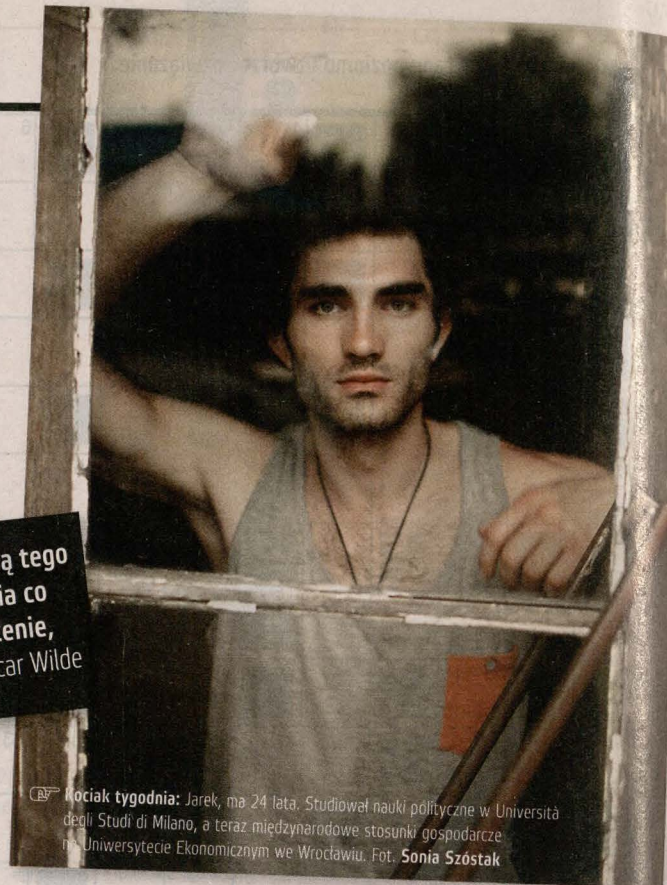
PIONOWO: 1. KAWAŁEK STEKU – BZDURA 2. NA GÓRZE KURZE – GRZĘDA 3. KORBO, W DRUGĄ STRONĘ – OBROK 4. CHWAŁA KOBIETĄ – GLORIA 5. NABITA W BUTELKĘ – KAUCJA 6. DAR POMOCZE – TALENT 11. WYPADA PRZY STOLE – OGLADA 12. AKROPOLANKA – ATENKA 14. GATKI SZMATKI – BUTIK 15. NA PNIE PNIE SIĘ – LIANA 16. TWARDY DO ZGRZYBIENIA – SUCHAR 18. KONFABUŁA – FIKCJA 19. TKLIWIZM – LIRYZM 21. WYDANY PRZEC SWOICH – ROZKAZ 22. TE W WORKU – WTÓREK 23. POLONEZ BABUNI – TANIEC 24. ANNA KULIGOWA – SANNA 26. MODNY GNIOZ – PLISA 27. GOZDZIK DO TRUMNY – KALIA 28. PAS JUDOKI – KIBIC 29. ZJEDNOCZENIE BRONI – FUZJA 30. JEDEN Z CZTERECH PANCERNYCH – CZOLG

ROZMAITOŚCI



Marek Raczkowski

” Kiedy ludzie są tego samego zdania co ja, mam zawsze wrażenie, że się pomyliłem. Oscar Wilde



Kociak tygodnia: Jarek, ma 24 lata. Studiował nauki polityczne w Università degli Studi di Milano, a teraz międzynarodowe stosunki gospodarcze na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu. Fot. **Sonia Szóstak**



głosy mojej głowie.pl



FOTO: THE BIG SLEEP (1946), BOGART AND BACALL

Szarmantkie ssaki

Co robi dama z zepsutym dżentelmenem?

Dżentelmeni, jak większość dóbr na tym świecie, czasem się psują. Niektórzy jednak psują się kategorycznie, zamieniając się w producentów kobiecej rozpacz. Dlaczego tak wadliwe jednostki nadal cieszą się wzięciem na rynku? Przyczyna tkwi w niepokornym zacięciu do czynności reperacyjnych, jakim dysponują damy. Poznając zepsute indywiduum, dama o ambicjach naprawczych od razu konstruuje plan szybkiej reperacji i oczami wyobraźni patrzy na zepsuty obiekt męski tak, jakby był już nareperowany. Kiedy renowacja się nie wiezie, dama zamiast uciekać, często przyjmuje zasadę, że do wszystkiego w tym życiu można przywyknąć. Bywa, że dopiero po jakimś czasie udręczenia do cna wzgardzi męką reperacyjną i zapragnie się z niej wyzwolić. O ileś łatwiej byłoby jej żyć, gdyby swoje ambicje naprawcze przekierowała na inne dziedziny życia niż jednostki na puscie szczególnie podatne? Wiadomo na pewno, że przykre skutki posiadania tychże ambicji zheblowały już nerwy niejednej damy. Brak natomiast danych o przypadkach spektakularnych męskich naprawień. Dlatego lepiej, żeby dama zamiast majsterkować przy zepsutym dżentelmenie, od razu poszukała innego. → Ula Ryciak

PRENUMERATA 2013

Zamów pakiet optymalny dla Ciebie!

do prenumeraty papierowej wersja elektroniczna **GRATIS!**



Oszczędź do 20%
kupując wersję elektroniczną



dynamiczny rozwój

PAKIET PODSTAWOWY

- „Rzeczpospolita” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Sukces” – e-wydanie
- „Newsletter Księgowego”
- „Newsletter Kadrowego”
- „Newsletter Orzecznictwo”
- Dostęp do serwisów: rp.pl, rp.pl/prawo, Ekonomia24
- E-learning – szkolenia on-line



mocne podstawy

PAKIET PLUS

- „Rzeczpospolita” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Sukces” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Przekrój” – e-wydanie
- „Ekspert Księgowego”
- Vademecum „Kadry i płace w firmie”
- „Newsletter Księgowego”
- „Newsletter Kadrowego”
- „Newsletter Orzecznictwo”
- Orzecznictwo NSA i SN – dwa roczniki
- „Podsumowanie prawne miesiąca” – e-book
- Baza aktów prawnych
- Dostęp do serwisów: rp.pl, rp.pl/prawo, Ekonomia24



profesjonalizm w biznesie

PAKIET PROFESJONALISTA

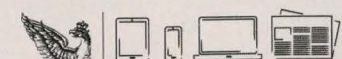
- „Rzeczpospolita” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Parkiet” – e-wydanie
- „Sukces” – wydanie papierowe i elektroniczne
- „Uważam Rze”, „Uważam Rze Historia” – e-wydanie
- „Przekrój” – e-wydanie
- „Ekspert Księgowego”
- Vademecum „Kadry i płace w firmie”
- „Newsletter Księgowego”
- „Newsletter Kadrowego”
- „Newsletter Orzecznictwo”
- Orzecznictwo NSA i SN – dwa roczniki
- „Podsumowanie prawne miesiąca” – e-book
- Baza aktów prawnych
- Dostęp do serwisów: rp.pl, rp.pl/prawo, Ekonomia24

Zadzwoń pod **800 120 195** lub wejdź na www.rp.pl/prenumerata

Pobudzamy myślenie



RZECZPOSPOLITA



Tworzymy
chemię,
która sprawia,
że komary
uwielbiają
trzymać się
z daleka.



Wioski, gdzie malaria stanowi śmiertelne zagrożenie, zaopatrujemy w moskitiery Interceptor®, które powstrzymują komary i zapewniają bezpieczeństwo dzieciom. Siatki nie tylko ratują im życie. W wyniku znacznego spadku zakażeń, dzieci mogą znów się bawić i chodzić do szkoły. Zdrowsze, bardziej wykształcone społeczeństwo to klucz do obniżenia poziomu biedy. Gdy moskitiery umożliwiają rozwój społeczności, to dlatego, że w BASF tworzymy chemię.

www.wecreatechemistry.com

 **BASF**
The Chemical Company